



CHARCZYŃ

CHARCYZY

<http://rcin.org.pl>

Fr. Rawita

CHARCZY

Powieść historyczną z XVIII-go wieku, na
tle rzezi humańskiej.



INSTITUT
BADAŃ LINGWISTYCZNYCH I
BIBLIOTEKA

ul. Nowy Świat Nr 72
00-710 Warszawa

Tel. 26-68-63, 26-52-31 w. 42

DRUK SYNÓW ST. NIEMIRY. WARSZAWA, PLAC WARECKI 4.

<http://rcin.org.pl>



834

I.

Koniec zimy w roku Pańskim 1768 na Ukrainie był bardzo ciężki, bo nie brakło ani mrozu ani śniegu. Jak ścisnął mróz ziemię po świętym Dmytrze, tak trzymał, niby w kleszczach, bezustannie. Ile razy powietrze trochę złagodniało—śnieg sypnął taki, że aż hej! Niedaremnie padał — za każdym razem przybywało co najmniej pół łokcia, a wtedy dopiero mróz przychodził. I tak naprzemian. Na stepie sterczały tylko gdzieniegdzie głowy bodiaków lub badyle burjanów kołysały się od wiatru, a zresztą — biało i gładko, choć jajkiem potoczyć.

Ku końcowi lutego błysnęło nagle słońce — jasne, złote, ciepłe, wesołe! Promienie jego na wylot przeszywały grube pokłady śniegu, jakby im tęskno było co rychlej dostać się do matki ziemi, i, śpiącą w objęciach mrozu, obudzić. Złote strzały słoneczne dziurawiły śnieg biały, ścinały z jego powierzchni gładkość i połysk świeży i zdrowy tak, że po kilku dniach nie można było już poznać tej groźnej do niedawna powłoki, a tu i ówdzie przeglądały już z pod śniegu czarne szczyty pagórków i kretowisk. Prze-

dziurawiona jak sito śnieżna pokrywa ziemi, połykiwała od słońca resztkami stopionego śniegu i zmniejszała się co moment.

W pomoc wiosennemu słońcu przychodził wiatr od Niżu ciepły, świeży, który niósł ze sobą jakąś ostrość i siłę: świstał na stepie, pędząc niepowstrzymany szeroką płaszczyzną od Czarnego morza, i, rozhulany, hasał swobodnie, sam sobie do tego wiosennego tańca przygrywając, lub wpadłszy między burjany i łobodę, jęczał w tych sieciach niby dusza zakłęta. Dopomagał on słońcu do stopienia śniegów. To też pierwszych dni marca rzeczki i rzeki wezbrały, rozlały szeroko, a po bałkach i jarach potworzyły się nieprzebyte jeziora.

Na stepach ani ludzi, ani bydła nie było jeszcze widać, ale od Dzikich pól leciało już ptactwo, gwarem napelniając bajraki i zarośla, gromadziły się stadami kruki i wrony, krążąc po nad każdą większą kępą drzew.

Tak się zapowiadała wiosna na samem pograniczu prawie Dzikich pól z Czechryńszczyzną, między wierzchowiną Wysy, Martwej wody, wielkiego Ingułu i Taśminą.

Na pustych, smutnych stepach czasem przemknął się spłoszony suhak, nad wielką białą płaszczyzną kołował orzeł, zataczając szerokie promienie lub zawisał w powietrzu, zapuszczając bystry wzrok w burjany, czy tam nie dojrzy śpiącego zająca, w okrąg zaś panowała cisza, pokryta jasno-lazurowem sklepieniem.

Cichym tym stepem wędrował jakiś człowiek drogą z Czechrynia na północo-zachód. Wyglądał z daleka na białym olśniewającym tle śniegu niby punkt ciemny; można go było tak dobrze wziąć za człowieka, jak za wilka lub orła, wiszącego tuż nad ziemią. Że to był przedmiot żywotny, znać było po tem tylko, że się poruszał. Wpatrując się bliżej w ten punkt, bystry wzrok dopiero mógł dostrzedz kontury ludzkie.

Był to w samej rzeczy człowiek, błędzący po stepie tak samo samopas, jak dzicy towarzysze jego wilcy, często głodny, tak samo jak oni, unikający dziennego spotkania z innymi. Noc dopiero i ciemność dodawała mu odwagi. Podróżny ten wędrował na przelaj stepem, od czasu do czasu zatrzymywał się tylko, rozglądał się dokoła pilnie — i dalej szedł powoli ociężałym krokiem, ale spokojnym i pewnym. Może mu te miejsca znane były, a może tylko wiedział w jakim kierunku iść mu należy — resztę na los zdawał.

Idąc tedy powoli, kroki swe kierował ku wielkiej mogile, połyskującej śnieżystą powłoką od słońca.

Był to człowiek młody, dwudziestokilkoletni, ale strasznie zmizerowany i obdarty. Miał chudą, ściągłą, smagłą twarz o bardzo regularnych rysach i czarnym wąsie — brodę golił, włosy przystrzygał, chociaż mu z pod baraniej, siwej, ale dobrze już znoszonej czapki, wyglądały bujne, skłaczone czarne kudły. Na plecach licha, szara świta, mocno poła-

tana na ramionach i rękawach, podpasana zwykłym sznurem, stanowiła cały jego strój, jeżeli o stroju może tu być mowa. Świta owa nie była zapięta, tak że zarysowywały się wyraźnie odkryte, zarosłe i osmalone od wiatru piersi, wyglądające z pod lekko ściągniętej na sznureczek koszuli. Ciemno-kasztanowatej barwy koszula i takiej samej barwy grubsze dziesiątkzane hajdawery, w buty spuszczone, stanowiły to, co można byłoby nazwać ubraniem. Brunatny kolor bielizny pozwalał się domyślać, że podróżny drugiej, tak zwanej „pary“, do zmiany nie miał, a wybierając się w daleką drogę i pragnąc zabezpieczyć się od napaści rozmaitego robactwa, które ciało ludzkie napastować lubi, bieliznę, zanim na siebie włożył, wymoczył należycie w dziegiu. Dębowy, sękaty kij, grubością i długością przewyższający zwykle używane laski, pozwalał przypuszczać, że go podróżny nie z potrzeby podpierania się nosił, ale raczej w charakterze broni. Torba z grubnego, konopnego płótna, wisząca na sznurze przez plecy, stanowiła cały jego majątek.

Na pierwszy rzut oka wydawał się on jednym z tych włóczęgów, którzy w rozterce z prawem i sumieniem szwendali się po stepach w pojedynkę i szukali się wzajemnie jak wilcy, łączący się w gromadę dlatego, ażeby tem śmieiej walczyć mogli o zdobycz.

Zwykłym, równym, ale powolnym krokiem zbliżył się on do mogiły, o kij opierając się, wdrapał

się na sam szczyt, a stanawszy na najwyższym czubie, po okolicy rozglądać się począł.

Patrzył pilnie, bystro, badając każdy kierunek, w którym oko jego biegło i widocznie sam przed sobą ze spostrzeżeń swoich i uwag sprawę zdawał, bo pomrukiwał co chwila. Potem do słońca się zwrócił. Podniósł rękę do góry, dłoń rozszerzył i ustawił ją, oparłszy o czoło, przed oczyma tak, że mu słońce zakrywała, potem zniżał ją trochę, aż dopóki górna linia palca wskaziciela nie znalazła się pod najniższym punktem tarczy słonecznej. Wtenczas prawą dłoń podniósł, skierował górną powierzchnię do słońca i ulokował ją pod lewą dłonią, potem odjął tę i ułożył pod prawą, wreszcie zrobił to samo z prawą, potem znowu z lewą — i zatrzymał się. Dolna linia palca serdecznego stanęła na jednym poziomie z linią horyzontu.

Cała ta manipulacya, wyglądająca na pozór dziwnie i niezrozumiale, miała jednak swoją racyę. Podróżny w ten sposób czas mierzył. Ile razy dłoń przełożył, zwrócony ku zachodowi, od słońca do horyzontu, tyle jeszcze godzin zostawało do wieczora; taki sam rachunek od wschodniej strony, dawał wskazówkę, ile godzin upłynęło od wschodu słońca do południa.

Zegar włóczęgów wskazał podróżnemu, że jeszcze było trzy godziny do zachodu słońca.

Widocznie niepodobało mu się to. Poskrobał się z tyłu głowy, przesunął nerwowym ruchem czapkę baranią z jednej strony na drugą i zaklął pod no-

sem. Powiódł dokoła wzrokiem, na słońce spojrzął, po niebie spojrzeniem powiódł, jakby pogodę na przyszłość badał i, zwrócony niespokojnie na południe, na miejscu się zatrzymał. Wiatr niżowy w samą twarz mu świstał.

Ten wiatr nie w porę przyszedł.

— Oto! — zawołał niecierpliwie, — żeby choć Wedmeżą bałkę jeszcze przejść za dnia.

Wskazywało to poniekąd kierunek, w jakim dążył.

Obawa, jaką wyraził głośno, była mu bodźcem. Zeszedł pospiesznie z mogiły i w północno-zachodnim kierunku podążył szybciej, niż szedł dotychczas, tym samym szczerym, dziewiczym stepem, na którym ślady jego nóg były jedynymi, niezatartymi jeszcze śladami człowieka.

Tymczasem słońce schylało się coraz niżej, w złoto-purpurowe smugi przystrajając zachód; na dalekiem tle nieba, niby sine dymy, unosiły się mgły wieczorne, pierwsze zwiastuny wiosny, a pod nogami podróznego ścieliły się szerokie, czerwone promienie słoneczne. W powietrzu było ciepło, pomimo, że dokoła śnieg leżał, a wiatr niżowy niósł ze sobą zapach wiosny.

— Gdyby choć na noc mróz — mruczał podrózny.

Ale na mróz nie zanosilo się wcale.

Wreszcie zmierzch szary zaczął padać. Noc była już za pasem. Podrózny przyspieszał kroku, wpatrzony przed siebie, pilnie bacząc, czy gdzie nie

dostrzeże znanych sobie oznak. Widocznie jednak nie dostrzegął, coby go pocieszyć i uspokoić mogło.

Więc się znów w głowę niecierpliwie poskrobał i zaklął:

— Masz tobie! Jeszcze zbłądziłem w dodatku. Nie tracił jednak energii i kroku przyspieszał.

Wtem spostrzegł, że się płaszczyczna pochyłać nieco poczyna ku stronie, w jaką podążał.

— A może to Wedmeża bałka? licha go wie... Ręką machnął niechętnie.

— Gdzież u bisa Medwedówka?

Stanął, patrzył, przysłuchiwał się.

— Ani pies nie hawknie!

Tymczasem istotnie zbliżał się nad brzeg szerokiego, mało nie pół wiorsty jaru, który w półcieniu wieczornym dość wyraźnie jeszcze zarysowywał się. Daleko, na lewo, widać było niby zarośla nad skrajem jaru, niby kity oczeretów, na prawo ciągnął się jar w głębokie łożysko schowany.

— Toż ona i jest ta bałka Wedmeża, ale gdzież mnie czortiaka zaniósł! Zamiast na początek, znalazłem w sam środek...

Poskrobał się znowu w głowę i zaklął:

— Sto czortyw-by...

Ale to sytuacji nie poprawiało. Od strony jaru szum go dolatywał.

— Pustyło... — rzekł z pewną rezygnacją. — Teraz choć siadaj i płacz...

Nie usiadł jednak i nie płakał. Kra dużemi kawałami płynęła, a raczej przesuwała się przed nim powoli, a on stał zamyślony nad tem, co robić i jak wybrnąć z ciężkiego położenia? — Dałby sobie radę, gdyby nie noc! Tymczasem noc zarzucała na wszystko swoją zaslonę szarą. Wiatr wiał ciągle od niżu ciepły, gwiazdy się pokazywać zaczęły — a tu przed nim nieprzebyta przepaść! Mógłby ją obejść — ale całą noc iść trzeba, a on tymczasem był już znużony i głodny. Mruczał, kłął, ostatecznie jednak zdecydował się na to, iż musi dążyć ku wierchowińie bałki.

Usiadł więc nad brzegiem jaru, zdjął torbę, wydobyl z niej pół bochna chleba, kawał słoniny, główkę czosnku, w szmatce konopnej zawiązaną sól— i zabrał się do przygotowania się do posiłku. Przygotowania te szły powoli, nawet leniwie. Odkroił kromkę chleba, wysmarował skórynekę z jednej i z drugiej strony słoniną, potem główkę czosnku obrał i skórynekę natarł znowu z obu stron czosnkiem, wreszcie, wzięwszy chleb do lewej ręki a słoninę do prawej, kęsał naprzemian jedno lub drugie, żuł powoli, jakby go noc, która się nad nim wyiskrzyła gwiazdami, nie obchodziła wcale i zamyślonem okiem przed siebie patrzył. Trwał ten posiłek może pół godziny, a może więcej, poczem podróżny z taką samą skrupulatnością wszystko zawinął, do torby włożył, na plecach zawiesił, wstał, przeżegnał się, i powoli pod górę cofać się począł.

Stanąwszy znowu na stepie, nad bałką ,badał

wzrokiem stronę, w jaką się miał udać. Nad łożami i oczeretami noc już zawisła.

Ruszył wreszcie z miejsca, Wtem od łoż dało się słyszeć wycie wilka. Na razie nie zwrócił nawet uwagi na to. Wilk na stepie — tyle, co wróbel w mieście. Miał dobrą, sękatą dębinę w rękę, potrafi się nią obronić i dwóm nawet. Przysłuchiwał się więc obojętnie tej muzyce, jaką wywołało wycie wilka. Głos jego huczał i drżał w powietrzu, a wtórowały mu echa stepowe, które odzywały się zdaleka, płynęły w czystym powietrzu, niesione na falach niżowego wiatru i w otchłani nocy rozpływały się. Ale jeszcze nie skończyło zupełnie echo pierwszego głosu, gdy dał się słyszeć drugi, trzeci, dziesiąty... aż wreszcie chór cały się stworzył i wygrywał piekielną symfonię, którą dźwięki echa potęgowały stokrotnie.

Podróżny stanął na miejscu, głową skinął i wycedził przez zęby:

— Pohano! Kiczka...

Tymczasem echo grało i grało, a wycie wilków szło wyraźnie z tej strony, w którą podróżny kroki swoje skierował. Iść tam — znaczyłoby leżeć w paszczę.

Więc znowu rozglądać się począł i namyślać się, co ma robić. Pozycya była bez wyjścia. Iść drogą, na której gromady wilków huczne sobie sprawiały wesele, nie mógł, przedostać się zaś na drugą stronę bałki zdawało się prawdziwym niebezpieczeństwem. Kra już pękła, a woda w jarze podniosła się

co chwila wyżej, gdyż ze wszech stron śnieg tajał pod silnym i ciepłym podmuchem niżowego wiatru, a wodą z roztopów śniegowych wypełniał bałkę. Gdyby się przedostał na drugą stronę — wiedziałby jak i któredy trafić!

Stał więc i dumał, a tymczasem zdawało mu się, że granie wilków coraz jaśniej i wyraźniej obija się o uszy, jakby cała *kiczka*, żer uczuwszy, dążyła do niego. Kręcił tedy głową, myślał i, tak wahając się, mimowolnie wrócił na to samo miejsce, gdzie niedawno posiłek spożywał. Stanął nad brzegiem bałki i kijem dębowym trącał z pewnem zastanowieniem ten lub ów kawał przepływającej obok niego kry, jakby chciał w ten sposób jej wielkość wypróbować.

Zdawało się, że robił to bezmyślnie.

Nagle na jeden z takich kawałów skoczył — zaszumiała woda, kra zanurzyła się do połowy, a w ciemności nocy ledwie dostrzedz można było chwiejącą się czas pewien postać podróżnego, szukającego równowagi. Linie jego ruchów ledwie się odcinały na ciemnym tle nocy, ledwie słychać było zgrzyt dębowego kija, szukającego oparcia o lód, lub plusk woły, ile razy kij po bryle lodu poślizgnął się. Elastyczne ciało co chwila wyginało się w różne linie lekko, zgrabnie, swobodnie, tylko rozkraczone nogi i lewa ręka nieco podniesiona do góry, balansująca w powietrzu i pewne ruchy prawej ręki, w której kij dębowy trzymał, świadczyły, że to nie był taniec o gładkich ruchach, lecz walka o śmierć lub życie.

Bieg wody unosił go coraz dalej, a podróżny, przeskakując z jednej kry na drugą, szukając kijem najgrubszego i największego kawałka z przepływających koło niego, w ten sposób zbliżał się powoli do drugiego brzegu bałki.

Była to walka, podjęta z konieczności, świadoma niebezpieczeństwa, ale też świadoma i tego, że innego punktu wyjścia z niebezpieczeństwa nie było. Podróżny więc skupił całą uwagę na jednej tylko myśli: — wyszukania najlepszego kawałka kry, wykonania najzgrabniejszego skoku, najłatwiejszego utrzymania się na powierzchni wody.

Już o kilka kroków był od brzegu. Odetchnął tedy rzeźwiej, swobodniej. Jeden skok dobry ratował go od śmierci. Nie ryzykował jednak i teraz — mógł się poślizgnąć, upaść, a wtedy kra byłaby go porwała za sobą i uniosła. Począł więc z wysiłkiem wpatrywać się w brzeg bałki, ledwie o parę kroków od niego oddalony, upatrując najlepsze miejsce do skoku.

Tymczasem na przeciwnym brzegu posłyszał łomot jakiś, jak gdyby stado koni pędziło—podniósł mimowolnie oczy, odwrócił się spojrział — i zdało mu się, że naraz ktoś tysiące ogni tam zapalił. Ognie te migotały, błyszczały, rozszerzały się, gasły, rozpierzchały się nad brzegiem, skupiały się, znowu wydłużały się w jedną linię i szły równolegle do niego.

Podróżny wzrok miał bystry — zdało mu się wyraźnie, że widzi także jakieś szare punktw, poruszające się na brzegu.

Wiedział on, co to za ogniki. To na drugiej stronie bałki świeciły ślepią wilcze i ścigały wymykającą się im z kłów ofiarę.

— Zapóźno przyszłście — pomyślał. — Wiedziałem, że przyjdziecie...

Wtem odezwało się przeciągłe, żałosne wycie — jedno, drugie, trzecie — dziesięć głosów, a każdy inny, zlewały się w jeden, biegły doliną bałki, a plusk wody, zgrzyt trących się o siebie kawałów kry i echa dalekie, razem tworzyły dziką nocną muzykę śród stepowej nocy zimowej.

Podróżny przez chwilę wiódł badawczym wzrokiem za ognikami, posuwającymi się z przeciwnej strony bałki, potem nagle rzucił okiem przed siebie i spostrzegł, że kra, na której stał o kij oparty zbliżyła się nieco do brzegu. Jednym rzutem oka zmierzył przestrzeń, dzielącą go od brzegu. Przysiadł trochę, pochylił cały korpus naprzód, na prawej nodze go opierając, a lewą w tył wysunął, kij podniósł do góry i jak ryś zaczajony, dał susa na brzeg.

Pomimo całej elastyczności skoku, nie stanął suchą nogą na brzegu — przestrzeń był za wielka. Słyszał było plusk wody, szelest, borykanie się jakiegoś, — i po chwili na wzgórzu ukazała się postać ludzka.

Dotknąwszy się lądu, parę kroków zrobił naprzód, jak gdyby instynktownie pragnął zabezpieczyć się od kry, ocierającej się o same brzegi, i stanął. Skok nie był szczęśliwy, bo podróżny do pasa zanurzył się w wodzie. Stanąwszy, otrząsał się,

postał chwilkę, potem usiadł na śniegu, zdjął buty, wylał z nich wodę, powykrczał onuce, wycisnął wodę z hajdawerów, o ile się dało i znowu ubierać się począł.

Robił to spokojnie, rozważnie, leniwie nawet nieco, nie zwracając zupełnie uwagi na przeraźliwe i długie wycie wilków na przeciwnej stronie bałki. Oporządziwszy się, ile mógł, poszedł powolnym krokiem pod górę, ażeby się na step dostać i drugą stronę bałki podążyć ku Medwedówce.

Wiatr niżowy Bóg wie z kąd napędzał chmury, skupiał je na niebie i w czasie, kiedy podróżny całą energię wysilał na to, ażeby się na drugi brzeg bałki przedostać, one skłębiać się zaczęły i gęste, ciemno-ółowiane, zawisły nad stepem. Gwiazdy schowały się kędyś i po jasnym, pięknym, słonecznym dniu ani śladu nie zostało.

Podróżny, wydostawszy się na płaszczyznę stepową, przystanął trochę — odpocząć pragnął i zorientować się. Na odpoczynek jednak nie miał czasu, a zorientowanie się było niemożliwe, gdyż noc, zapowiadająca się na jasną i gwiazdzistą, stała się tak ciemną, że choć oczy wykół.

Co tu robić? nasuwało mu się mimowoli pytanie. Wiedział tylko, że wzdłuż bałki iść musi, ale jakże tu iść w ciemną i głuchą noc? Gdyby choć jaki bajrak po drodze się trafił, albo łozy nadbrzeżne, przykucnąłby gdzieś pod drzewem i przedrzemał do rana.

Szedł markotny, samotny, zamyślony — i głód mu już dokuczać począł, a tu — pod nogami biała płachta topniejącego śniegu, a nad głową gęste, aż czarne chmury, które tak blisko zda się przepływały nad ziemią, że słyszał ich szelest. Śród ciszy nocnej i głuchej odzywał się tylko jęk czajki, która zbudzona w oczeretach, płakała.

Utkwił mimowolnie spojrzenie w ciemną otchłań nocy, rozwieszoną nad stepem i zdało mu się, że gdzieś daleko, bardzo daleko, mignęło światełko. Więc się zatrzymał i w punkt ten skierował spojrzenie. Prawda, światełko...

— Masz tobie...—wyrwało mu się mimowoli—
Od jednej kiczki uciekłem, a tu druga.

Spostrzegł jednak, że światełko owe nieruchome. To mu dało do myślenia.

Stał i patrzył, patrzył, patrzył... Światełko zawsze w jednym punkcie tkwiło.

— Może jaki kureń albo karczma... kto wie? Jeżeli wilcy... to i tu mnie znajdą, jeżeli kureń.. to się przecie obsuszę i prześpię.

Widocznie to rozumowanie trafiło mu do przekonania, bo po krótkim namyśle w tę stronę, gdzie światełko błyszczało, poszedł.

Przecucie i rachuba nie zawiodły go. Szedł wprost na światełko — i przekonywał się coraz bardziej, że się nie mylił. Nie były to ślepie wilcze, ale co? Nie wiedział jeszcze. Z początku zdawało mu się, że to spóźniona wałka czumaków podąża może z rybą i solą na jarmark do Mirgorodu lub Smiły

i nocuje w stepie — więc czumacy rozniecili ogień i krupnik warzą. Myśl o jedzeniu wywołała w nim wrazenie głodu; para jaglanego krupniku, dobrze okraszonego słoniną, zapachniała mu w powietrzu i z tą myślą podązał naprzód. Im się ku temu światłu bardziej zbliżał, tem się w przekonaniu więcej umacniał, że to nie wałka czumacka: ognisko pali się nierównym płomieniem — przygasa to wybucha, a owe światło, które przy samej ziemi błyszczało, świeciło jednostajnie, równo.

Nasunęła mu się myśl, że to pewnie kureń lub karczemka stepowa, jedna z tych, co to siedzą, jak purchawka, przy ziemi i tylko w nocy wabią ku sobie włóczęgów ognikiem.

W samej rzeczy była to tak zwana „ziemlan-ka“, mieszkanie ludzkie w ziemi zupełnie wykopa-
ne, — tylko płaski dach i małe okienko, w którem kaganiec się palił, trochę po nad ziemię wystawały. Natknąwszy się, że tak powiem, nosem na taką ziemlankę, domyśleć się można było, że jest to mieszkanie ludzkie. W lecie koło niej, tak samo jak na dachu, porastały łopiany, bodiaki, dziewanny, burkuny i zakrywały zupełnie. Tylko gromadka wron, kraczących opodal, ćwierkające trznadle na szeroko-ramiennych łodygach burkunu, świadczyły, że niedaleko być musi siedziba ludzka.

W zimie jedna wspólna całemu stepowi płachta śniegowa pokrywała ją i od wzroku ludzkiego chroniła.

A jednak była ona przytuliskiem ludzi i dla ludzi wykopano ją.

Podróżny ucieszył się, przekonawszy się, że istotnie jest to kureń stepowy. Znał takie kurenie, wiedział, że tu żaden porucznik, ani nawet namiestnik nie wstąpi na czele szwadronu rajtaryi i tym, co przyszli w kureniu szukać odpoczynku, odpoczywać nie przeszkodzi.

Ledwie tedy dobrnął do tego kurenia. I chłód, i zimno, i zmęczenie dokuczały mu.

Dokoła było pusto, głucho, pies nawet na jego powitanie nie szczeknął.

Powoli, ociężałym, zmęczonym krokiem, zeszedł po wschodkach w ziemi wyciosanych, a prowadzących do kurenia, i do drzwi zastukał. Cisza. Zastukał więc raz drugi i trzeci.

Wreszcie szelest posłyszał za drzwiami.

— A kto to? — zapytał głos jakiś ochrypły.

— Podróżny... puśćcie *diadku* podnocować...

Znowu cisza nastąpiła.

— A wy sami? bo kureń nie wielki.

— Sam.

Rygiel się odsunął i drzwi skrzypiąc, otwarły się.

Podróżny znalazł się w ciemnej sionce. Uczuł jakieś błogie uczucie zbliżającej się chwili spoczynku.

Wtem głos ochrypły odezwał się w ciemności:

— Oś zaraz chatę otworzę...

Począł ręką drzwi namacywać. Znalazł rygiel i odsunął.

Z otworzonej izby buchnęła ciepła para gorzalczana i zapach kiszzonej kapusty, a jednocześnie od fali wiatru zamigotał czerwonym płomykiem kaganek stojący na oknie.

Podróżny, do izby wszedłszy zdjął czapkę, przeżegnał się, potem zwróciwszy się do gospodarza, ukłonił się.

— Daj Boże *zdorowla*...

— Daj Boże i wam.

Jednym rzutem oka objął całe wnętrze karzemki stepowej.

— *Didu*, pozwolicie mi przenocować tutaj?

Gospodarz obojętnie napozór, głową na znak zgody skinął.

— Podnocujcie... któżby teraz po nocy szwendał się po stepie.

Słowa nie zdradzały ich myśli, ale zdradzały oczy. Oczyma badali siebie i poznawali się. Każdy z nich starał się zdać sobie sprawę z kim ma do czynienia. Obwąchiwali się, jak dwa wilki, które na dzikim stepie spotkały się znieńacka.

Gospodarz kurenia był człowiekiem strym, mocno przygarbionym, na twarzy, przez czoło, miał głęgoki szram, niegdyś widać silne cięcie szablą, które ślad wyżłobiło na całe życie; ubrany był lichy w wytarty i spłowiały kontusz, który jak świtkę nosił, pasem się podpasując. Tylko mu oczy świeciły jeszcze mocno i wyglądały jak dwa świdry, które starają się przeniknąć w głębię duszy ludzkiej.

Odpowiadając na zapytania podróżnego cofał się do kąta, gdzie za osztachetowaną przegródką stała na podwyższeniu beczułka z gorzałką, kilka szklaneczek, a w samym kącie ława, na której gospodarz do spoczynku legiwał. Nie było na niej żadnego pokrycia, ani poduszki, ani nawet łączyka od siodła, który zwykle ludziom stepowym za poduszkę służy. Mocno wytarte dębowe deski ławy świadczyły swoim połyskiem, że wprost za posłanie służyły.

Usiadł tedy na ławie i, patrząc badawczem spojrzeniem na przybysza, flegmatycznie sięgnął do kieszeni, wydobyl garść tytoniu i lulkę i najspokojniej w świecie, jak gdyby nikogo w izbie nie było, jął kruszyć na dłoni tytoń i do lulki napychać palcem. Robił to powoli, obojętnie, apatycznie trochę— jak gdyby dlatego, że nic innego nie miał do roboty.

W drugiej połowie izby żadnych mebli i sprzętów nie było. Przy ścianie tylko, oświetlonej czemś podobnem do okienka, na czterech wbitych w ziemię kołach, umocowany był stół, także od siekiery ciosany, jak i łoże gospodarza, a z dwóch stron tego stołu, od ściany i od izby, takie same ławy—mniej tylko

Stary ziewną obojętnie.

izby usiadł podróżny. Zdjął już torbę ze siebie, o stół się oparł i trochę osowiałem spojrzeniem przed siebie patrzył. Był zmęczony i nie wyzwolony jeszcze z pod wpływu tylko co przebytych wrażeń.

Mimowolnie podniósł oczy i spojrzął na siedzącego gospodarza, który lulkę w ręku trzymając, z ukosa spoglądał na towarzysza.

— Nie macie hubki? — zapytał.

Stary ziewnął obojętnie.

— Ba ni, mam... ale jeszcze nie wyschła... Dziś zjadłem... suszy się na piecu.

— Dajcie kawałek łuczywa, to wam przy kaganku zapalę.

— *Spasybi.*

Wstał powoli, zgiął się, z pod ławki kawałek łuczywa wyciągnął i z lulką w jednym ręku, a z łuczyciwem w drugim, do kaganka ociężałym krokiem poszedł.

Zapalił lulkę.

— A wy? — zapytał, zwracając się do podróżnego.

Była to propozycja zapalenia.

— Jeszcze nie mogę odsapać — odrzekł przybyły.

I jął opowiadać długo i szeroko swoją podróż stepem, noc, przeprawę przez jar, wypełniony krą płynącą, towarzystwo wilków i nareszcie uciążliwe przybycie do kurenia.

Dziada zainteresowało opowiadanie. Usiadł naprzeciwko przybyłego, z lulki pykał powoli i oczu nie spuszczał z niego.

Tymczasem podróżny torbę rozwiązał, wydobyl z niej resztki chleba, słoniny i czosnku, i do spożycia zabierał się.

— A *horyłki* do tego... nie?—spytał gospodarz.

— Czort ma pieniądze na horyłkę!

Dziad wstał z za stołu.

— Góra z górą się nie zejdzie, a człowiek z człowiekiem może—rzekł sentencyjonalnie.—Chodźcie wypić. Będziecie mieli z czego, a spotkamy się... to zapłacicie.

Dybał powoli do beczutki z gorzałką. Gość wahał się.

— Chodźcie, chodźcie... — zachęcał gospodarz — kozak horyłki nie powinien curać.

— Kiedy dają... czemu nie pić? — perswadował sobie filozoficznie podróżny.

Zbliżył się, nalany półkwaterek wypił, rękawem usta otarł i splunął.

Dziad drugi nalewał.

— Rozgrzejcie się trochę... — rzekł.

Gość certował się. Gospodarz w rękę kieliszek wódki trzymał.

— Ale to na borg, *didu?*

— Na borg, na borg.

To go uspokoiło. Wziął kieliszek z rąk dida, wychylił i, kiwnąwszy mu głową, wrócił do stołu.

Dziad siedział na swoim tapczanie, lulkę kurzył i jeść począł.

Dziad siedział na swoim tapczanie, lulkę kurzył i milcząc spoglądał na gościa, zajadającego z apetytem chleb z czosnkiem i słoniną.

Po długim milczeniu odezwał się:

— Niewygodnie wam tu będzie kozacze spać na tej ławie.

— A na stepie lepiejby było? Dzięki Bogu, że się kureń trafił.

Rozmowa się urwała.

— Wam daleko jeszcze? — spytał dziad znowu.

Rad był się dowiedzieć, co to był za jeden i dokąd dąży.

Podróżny, którego gospodarz tytułował kozakiem, milczał długą chwilę, zajadając powolnie, ale z apetytem chleb ze słoniną, potem rzekł, niby sam do siebie, w oczy gospodarzowi nie patrząc:

— Albo ja wiem...

Zapanowało znowu milczenie.

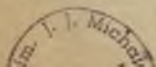
Stary „did“ miarkował sobie, co mogą te słowa znaczyć: podróżny albo nie chciał mu powiedzieć, albo może istotnie nie wiedział dokąd idzie? I takich było niemało, którzy szli, gdzie oczy niosą, przypadek łączył ich w mniejszą lub większą kupę, a wtedy przemyśliwali — gdzie, kiedy i na kogo jak najlepiej napaść.

Robili tak, jak wilcy: każdy w pojedynkę od człowieka stronił i chował się, ale kiedy się w kupie znaleźli, nabierali odwagi i rzucali się z całą dzikością na zdobycz, jaką im wypadek zesał.

— Może to jaki włóczęga — myślał dziad, — który ślad za sobą chce znylić i szuka nowego przytuliska, nowej „woli“, albo nowej awantury. Kto go tam wie.

Zaciekawiał go ten człowiek młody, odważny, rzucający się w step na bezdroże w porze najniebezpieczniejszej.

Dziad z kurenia był także „projdyświatem“ nielada. Ktoby go dobrze opatrzył, byłby znalazł nie tylko ów szram na czole i twarzy, ale niejednej rany



od spisy i kuli domacał się. Młodość spędził na Sicy, sam jak palec na świecie, a teraz samotnej dożywał starości ot w tym kurenium, sprzedając gorzałkę włóczęgom stepowym i Zaporozcom, nietyle z chęci zysku, ile z nałogu ciągłego stykania się i życia z ludźmi tej sfery, wśród której lata jego młode minęły.

Krótko mówiąc, ułatwiał rozmaitym włóczęgom schodzenie się i porozumienie się ze sobą. Cieszyło go to, gdy spotykał ludzi, którzy ważą życie tam, gdzie on niegdyś ważył. Na kilkanaście mil dokoła nikt lepiej od niego nie wiedział, po jakich czacharach i łożach, w jakich lasach i oczeretach przeziadują *charczyzy*, których wilkami stepowymi nazywali ludzie osiedli i spokojni, — ilu ich było, kto tam był watażką i w jaką stronę wybierano się po zdobycz. Kto szukał kupy, a nie wiedział do jakiej przystać — dziad mu napewno wskazał.

W takim położeniu trochę był i podróżny. Miał on cel, wiedział, gdzie idzie, płatało mu się nawet w myśli to i owo nazwisko, ale wiadomości pewnych nie posiadał, nie wiedział, gdzie się zatrzyma i co ze sobą zrobi. Zapachniała mu swoboda pod nosem, więc się z miejsca zerwał i pędził przed siebie: zupełnie tak, jak suhak na stepie, — wiatr go spłoszył, więc podniósł głowę do góry, rozwarł nozdrza i leciał, nie wiedząc, gdzie się zatrzyma i po co.

Rzucił więc umyślnie dwuznaczną odpowiedź dziadowi, ażeby się czegoś dowiedzieć od niego.

Dziad trochę się tego domyślał. W chwili więc kiedy podróżny milczał, zajadając chleb ze słoniną,

dziad pykał z lulki, palcem we wnętrzu glinianki postukiwał, i od czasu do czasu nosem czmychał.

— A ja myślałem—zauważył flegmatycznie— że może... do monasteru.

Mówiąc to, pilnie w podróżnego wpatrywał się. Uwaga ta wywarła wrażenie.

Podróżny podniósł nagle oczy od chleba i spojrzenie jego spotkało się z utkwionym w niego wzrokiem dziada.

— Jakiego? — spytał trochę zdziwiony.

Dziad pomyślał sobie: — A ha, już cię mam...

Nie dał jednak tego po sobie poznać.

— Albo ja wiem... — odrzekł spokojnie i obojętnie — stąd i Łebedyński niedaleko, i Motroneński niedaleko.

Zamilkli na chwilę.

— Motroneński — odezwał się podróżny — to gdzieś tak, jak do Medwedówki... co?

— Ta-że tak...

— Możebym jutro na południe tam i zaszedł?

— O joj! Macie kogo w monasterze?

— Nie.

— Pomodlić się pewnie? — spytał dziad złośliwie.

— Eheż...

Z tonu jednak odpowiedzi gospodarz nie powziął wielkiego przeświadczenia o nabożności podróżnego.

Zrozumieli się obydwaj.

— A do kogóżby tam trafić — dopytywał się podróżny, nie zdradzając się zupełnie ze swoją myślą.

— Dopytacie się do monacha Mołdowana... ten wam wszystko pokaże... i moszczy i... ludzi... a może i ihumen dawny przyjechał... bo i ten z Perejasławia dowiadyuje się.

Tymczasem podróżny ucztę swoją zakończył.

Dziad podniósł się z ławy. Już wszystko wiedział, co mu potrzeba.

— Zanim się tam dobierzecie, tymczasem odpocząć trzeba — zakończył zwykłym swoim spokojnym głosem. — Kładnijcie się na ławie... *taj hodi*. I moje stare kości spoczynku potrzebują.

Mówiąc to, wysunął się pomaleńku z za stołu i parę kroków na środek izby zrobiwszy, stanął.

— Trochę tu zimno, — zauważył.

— Prześpię się jakoś.

— Poczekajcie — rzekł po namyśle *did*—mam tu starą kozuszyne, ale lepsza stara, niż żadna... zawsze się przykryć nią trochę można.

Podybał powoli do sieni, kozuszyne ową przyniósł i na ławie przed podróżnym położył.

— A teraz tnij sobie kozacze chrapaka!

— Kaganek można zgasić?

— Na co? Może jeszcze kto przybłąka się. Kozacy w nocy do światła jak komary lecą.

Powiedziawszy to, poczłapał do swego kąta.

Podróżny rozciągnął się na ławie jak długi, czapkę i kułak pod głowę podłożył, kożuchem dziada przykrył się i, ledwie pacierz jeden minął, a w izbie rozległo się przeciągłe chrapanie.

II.

Oby wa — i gość, i gospodarz, spali dobrze. Kaganek, stojący na okienku, wypalił się, wytłął, zgasł — i zapachem wstrętnym całą izbę napełnił, ale nikt na to uwagi nie zwrócił. Jeszcze z godzinę było może do świtu, gdy się obydwaj pobudzili, pozapalali lulki i leżąc na wznak na ławach, rozmawiali.

— Teraz już nie zbłądzicie — rzekł dziad — miniecie Medwedówkę, i prosto do monasteru.

Kozak coś mruknął pod nosem.

— A toż koniecznie trzeba na Medwedówkę?

Stary zrozumiał znaczenie tego pytania.

— Potrzeba nie potrzeba, kto chce, to może minąć. Jak ujdziecie ze dwie hony stepem, bałki się trzymając, to nie idźcie na lewo, ale na prawo wprost do bajraku; potem miniecie bajrak... i hen-hen daleko las będzie widać... Do tego lasu prosto i hajda!

— A gdzież się tam zatrzymać... jak miarkujecie *diad'ku*.

Stary na razie nie odpowiadał. Pomrukiwał tylko.

— Mówiłem wam, pytajcie monacha Mołodwana.... będziecie pamiętać? Mołodwana... Mołodwana... — powtarzał z naciskiem.

— Zapamiętam...

— Powiedzcie, że mu się dziad z kurenia siczowego kłaniał... on wie, co to za kureń... Sicz wprawdzie daleko od nas, ale kureń siczowy znają ludzie... oho - ho - ho... znają! Powiedzcie, że szukacie roboty, taj hodi, on wie co robić trzeba. A jeżeli tam spotkacie Szełesta, albo Maksyma, to się kłaniajcie ode mnie.

Nazwiska te nieznane były kozakowi.

— Któż to taki? *monachi*?

— Nie, nie monachi, ale przychodzą do monasteru, zwyczajnie, jak do monasteru.

Dziad poczęstował kozaka dobrym kielichem gorzały, dał kawał chleba, a ledwie dzień się zrobił, w drogę wyprawił.

Kozak znowu przez step ruszył zwykłym swoim powolnym nieco, ociążalym i równym krokiem.

Bajrak ów minął, potem szedł znowu, las ujrzął — znowu spory kawał czasu wędrował, aż nareszcie przed wieczorem, na jakie dwie godziny może, do lasu dodybał.

Słońce dobrze jeszcze przygrzewało, śniegi w mgnieniu oka nikły, ale ciemna smuga, wijąca się po stepie, ukazywała wyraźnie drogę.

— Pewnie do monasteru prowadzi... — pomyślał podróżny.

Poszedł tą drogą i nie zbłądził; w istocie do monasteru wiodła.

Szedł jeszcze dobrą godzinę lasem, aż wreszcie między dęby i jawory poczęły migać smugi białe: były to białe ściany zabudowań.

Zbliżając się do monasteru, widział z daleka obszerny dziedziniec, w głębi którego stało kilka większych i mniejszych budynków; niektóre w zrąb były budowane, inne z cegły. Tuż za cerkwią ciągnęły się, w dwie linie, parterowe domy, długie, jak pod sznur wyciągnięte, białe, jednostajne, z ganeczkami i ławeczkami — były to cele monachów.

Cicho, głucho było dokoła, tylko słońce zachodzące oświetlało jasno wielką polanę leśną, wśród której stał klasztor. Podróżny wszedł na dziedziniec, stanął pośrodku i rozglądał się, czy gdzie żywej ludzkiej duszy nie zobaczy, ażeby o owego Mołdowana zapytać.

Wtem wśród ciszy wieczornej dzwon się odezwał — zajęczał raz, drugi, dziesiąty, równie, miarowe wybijając rytmy: było to wezwanie na nabożeństwo wieczorne.

Zdaje się, że owo dzwonicie wywarło decydujący wpływ na podróżnego, bo się wprost do cerkwi skierował.

W tej chwili właśnie z cerkwi wyszedł jakiś „posłusznik“, w długi barani kozuch, na biało wyprawiony, ubrany; tylko czarny kołpak świadczył, że to był monach. Przerzucili się spojrzeniem i przed samą cerkwią spotkali się.

Kozak zdjęciem czapki pozdrowił monacha i o Mołdowana zapytał.

— Jest, jest taki — odrzekł zapytany powoli, w twarz przybyłego patrząc badawczo — to nasz

doktor. Gdyby nie on, niejeden już gryzłby czarną ziemię.

Monach okazał się bardzo chętnym do gawędy.

— Dlatego i nasz ihumen kocha jego i żałuje...

Ty znasz ihumena Melchizedeka?

Kozak nie odpowiadał. Monach ciągnął dalej:

— Nie lubił on Lachów, oj nie lubił, to też wygryźli go z monasteru, ale go carowa pod swoją łaskę wzięła... w Perejasławiu z Garwasiuszem siedzi, a my go zawsze swoim ihumenem nazywamy.

Spostrzegł wreszcie, że odbiegł od rzeczy i kozak milczy zwrócił się do niego z innej beczki:

— A ty do ojca Mołdowana w gości czy co?

— Ba ni... *diło*...

W odpowiedzi brzmiała nuta niecierpliwości.

— Ehe! *diło*... Ale u niego teraz *tyboń* Maksym jest.

Nazwisko to przypomniało mu dziada z kurenia siczowego.

— Którędyż mam iść?

Monach kilka kroków naprzód postąpił, pośrodku dziedzińca stanął i rękę wyciągając w kierunku podłużnego budynku z ganeczkami, mówił:

— Liczcie te ganki od prawej strony...

— Nu?

— Widzicie je?

— Widzę.

— Więc liczcie... raz, dwa, trzy, cztery, pięć... o! uważajcie, piąty! Wejdziecie do sieni, a tam na lewo...

— Bóg zapłać.

— Niema za co.

Poszedł, trafił akuratnie i do drzwi zastukał.

Otworzył mu monach średnich lat, z ładną czarną brodą, o rysach smagłych, wschodnich, pięknych. Zdziwiony był trochę, że jakiś obdartus zgłasza się do niego, więc go ukradkiem badał, czy nie jest to czasem jaki poseł lub szpieg.

W trakcie rozmowy podróżny powołał się na *didę* z kurenia siczowego.

— Także i gadaj — zawołał ojciec Mołdowan.

Powołanie się owo było dla monacha błyskiem, który ciemności rozświeca.

Odchylił się trochę w tył do drugiej izby i odezwał się donośnie:

— Panie Maksymie, gość do was! A chodźcie no tutaj.

W tej chwili na progu ukazała się postać pięknego i młodego jeszcze mężczyzny, bo nie więcej nad trzydzieści pięć lat mógł liczyć. Twarz miał trochę okrągłą, sumiaste czarne wąsy, a nosił się po chłopsku. Bura świta, podpasana pasem czerwonym, nan-kinowe, ciemno-szafirowe spodnie w buty, oto był cały strój jego.

Zbliżył się do oja Mołdowana i głową skinął ku stojącemu podróżnemu.

— A wam czego trzeba? — zwrócił się do niego.

Kozak nie miał jasno sformułowanej odpowiedzi.

— Roboty... abo co...

— Roboty? Robota będzie mój kochany kozacze, ale teraz i na Siczy „bajdyki bjut“. Jakiejże tobie roboty? — dopytywał się.

Chciał poprostu wiedzieć, z kim miał do czynienia.

— Mówią, że się ludzie na Tatarów czy na Turków zbierają... to i jabym poszedł.

Maksym głową kręcił i coś pomrukiwał.

— Na Tatarów i na Turków... może, a może i nie...

— Choćby i na czorta! — zawołał kozak rezolutnie.

Ojciec Mołdowan i Maksym uśmiechnęli się. Podobał się im taki oczajdusza, a przytem człowiek ostrożny.

— No, kiedy tak, kozacze — rzekł Maksym zachęcająco — to poczekajcie, będzie robota.

Nagle, jakby coś sobie przypomniał, do przybyłego z zapytaniem się zwrócił:

— A powiedzże nam, kozacze — skąd ty? i jak zwać ciebie mamy?

— O ja z daleka? Aż z Kijowa.

— Gdzieżeś ty bywał, co robił? Trzeba nam wiedzieć, coś ty za jeden.

Przybyły wahał się chwilę, a może w pamięci pragnął skupić ważniejsze wypadki swego życia.

Maksym byłby może o *curriculum vitae* podróznego nie pytał, jak nie pytał nigdy innych, gdyby nie zafrapowała go twarz kozaka pełna energii i siły,

a przytem cała postać jego piękna i zgrabna.

— Urodziłem się w Kijowie — zaczął z pewnem wahaniem się — a nazywają mię Danyłko, po przezwisku Bandurka. Ojca nie mam, a matka była poddanką wydubyckiego monasteru. U dziada ślepego uczyłem się w Bohusławiu grać na bandurze, a wyuczywszy się, wróciłem do domu...

Maksym po ramieniu go poufale uderzył.

— Doskonale! Nam tu właśnie bandurzysta potrzebny. Chłopcy skarżą się, że niema komu grać do tańca.

Kozak w tył głowy poskrobał się.

— A w Kijowie cóżeś robił?

— Zabrał mnie gubernator Leontjew... Musiałem grać, a on pił i hulał.. alem tylko trzy lata mu grał. Sprzykrzyło się... nu, jego! Nie chciało się grać, uciekłem na Sicz, tam kozakom grałem.

— A śpiewać umiesz?

— Potrafię, byleby tylko bandurę dostać.

Danyłko ciągnął dalej. Czuł potrzebę wygadania się:

— Z Hryćkiem Hrywą, z Sawką Kisiem, z Wasylem Puhaczem, szwendałem się po stepach, zaglądałem do Polszczy, byłem w Bohusławiu, w Smile, na Suhaklei, a nachodziwszy się do woli, poszedłem na zimowik do korsuńskiego kurenia, bom tam siano sobie kosił. Siedziałem spokojnie, aż przychodzi pieczętka z Siczy, aby mię zakuć... Wydał ktoś... Ataman kureny Szwydki zakuł... to prawda... alem się i z tej biedy wyplątał, i znowu wolny...

Opowiadanie to podobało się Maksymowi.

— Tu będziesz miał spokój — rzekł, — zbie-
dniałeś, to prawda, ale niezadługo zpodpomożesz się
znowu.

Do Mołdowana się zwrócił:

— Ojcie Serhiju, czy waszego chłopca do Si-
czy posłać można?

Danyłko nie wiedział o jakiej to Siczy mowa.

— Można, można...

Mołdawan w ścianę postukał kułakiem. Był to
widocznie sposób przywoływania służby, bo po chwili
chłopiec się zjawił.

Zaprowadź tego kozaka do pana Szele-
sta — rzekł Maksym.

Danyłko głową skinął na znak podziękowania.

— Tam to już wszystko dostaniesz, co trzeba.

I poszli obaj — i bandurzysta i chłopiec ojca
Mołdowana.

Weszli w głąbię lasu. W dole cicho było, śnieg
tylko, na poły stopniały, chrzęst wydawał pod noga-
mi idących, a górą wiatr niżowy chodził, zaczepiał
o suche gałęzie dębów, targał je, resztki zeschniętych
liści obrywał i na ziemię rzucał. Co chwila napły-
wała silniejsza fala jego, uderzała gwałtownie o ko-
rony dębów, a zwichrzywszy je, zgiąwszy, z jękiem
i świstem uciekała dalej.

Z pół godziny już może szli lasem wąską ścież-
ką, wydeptaną w śniegu, gdy zdaleka pomiędzy dę-
bami, mignęła postać ludzka.

— Ktoś idzie — zauważył Danyłko

— To swoi — dodał uspokajająco chłopak.

Nie minęło więcej jak pół Ojczyzny, gdy chłopiec zawołał:

— Oto *tyboń* i Szelest...

Przywitali się.

— Ataman do was posyła kozaka.

— Dobrze! Dobrze! — rzekł Szelest, przelotnym, ale badawczym spojrzeniem obrzucając kozaka.—Chciałem się z atamanem widzieć... ale zobaczę się jutro...

Ten, którego chłopiec Szelestem nazwał, był już człowiekiem wcale niemłodym, wyglądał niepozornie i nosił się ubogo. Czarna, połatana świtka na nim, wytarta czapka barania, płócienne konopne spodnie w buty... oto cały strój był jego. Tylko mu oczy błyszczały i migały, jak dwa ogniki, a kilka szramów na ogorzalej twarzy świadczyło, że niespokojny duch w tym niepozornym człowieczku kołatał.

Szelest odesłał chłopca do domu.

Idąc dalej, do Danyłka się zwrócił:

— Ty z daleka pewnie wędrujesz?

— Z daleka.

Opowiedział w krótkości wędrowki swoje.

Wysłuchawszy opowiadania, Szelest rzekł:

— Tu będziesz spokojny... do lasu żaden Lach nosa nie wścibi... a da Bóg doczekamy wiosny... wtedy zobaczymy.

Już zmierzch wieczorny siadać począł, gdy z pomiędzy drzew mignęło coś na podobieństwo budynku... niby baszta, niby dzwonnica.

Danyłka to zainteresowało. Przypatrywać się począł.

Szelest zainteresowanie to spostrzegł.

— A umiesz ty milczeć, kozacze? — zapytał.

— Potrafię!

— Nu, pamiętaj, bo jeżeli tylko masz długi — tu język wysunął i po języku palcem się uderzył — to się pohajdasz na pierwszym lepszym dębie...

I giest i słowa Szelesta były bardzo wymowne i zrozumiałe.

— Nie bójcie się... — zapewniał Danyłko.

Tymczasem z po za drzew występowały coraz bardziej widocznie kontury baszty bramnej.

Szelest, widząc zainteresowanie się Danyłka, rzekł spokojnie.

— To nasza *Sicz*...

Teraz dopiero zrozumiał o jakiej *Siczy* Maksym mówił.

Milcząc wpatrywał się zaciekawiony, a Szelest ciągnął dalej:

— Uważasz... ten cały bajrak... to *Sicz*... z trzech stron jar głęboki, a tu wrota łańcuchowe... Dyabła zjedzą, jeżeli się do nas dostaną prędko.

Brzmiała w tych słowach starego Szelesta taka determinacya i groźba, iż łatwo można było zgadnąć, że podobnych oczajduszów nie można byle jak ująć.

W miarę zbliżania się do wrót *Siczy*, Danyłko rozglądał się coraz ciekawiej. Istotnie jary były jak

przepaście szerokie i głębokie, u góry porośłe klonem, grabiną, dębem—u spodu rozsiadły się krzaki leszczyny, kaliny i paprocie. Samo dno jaru świeciło białą smugą piasku. Po nad jarem, między krzaki leszczyny, okalające bajrak, w którym Sicz mieściła się, migały dębowe koły zasiek, broniących dostępu do niej; zasieki owe dla lepszej obrony tworzyły dwa szeregi — jeden niższy, a drugi o sążęń może oddalony od pierwszego, zewnętrzny — wyższy.

Na owej wieży bramnej, stał strażnik, który ujrawszy Szełesta, zawołał na towarzyszy, ażeby otworzono furtę.

Danyłko był zachwycony tem wszystkiem, co widział i nie mógł podziwienia swego ukryć.

— To Sicz prawdziwa! — wołał.

Szełest z uśmiechem zadowolenia pochwałę tę przyjął — bo Sicz Motroneńska była całkowicie jego dziełem.

Weszli do wnętrza.

Na wielkiej płaszczyźnie, po której tu i owdzie rozłożyste dęby siedziały, stało kilka szop, skleconych byle jak, o ścianach z chrustu.

Szełest zatrzymał się.

Dalej nie pójdziemy... niema czasu... Ale... widzisz te szopy?

— Widzę.

— Tam są siodła, spisy, czapraki, szable, noże... wszystko jest... Nie brak nam i samopałów, i koni, i ludzi... w i o s n y tylko potrzeba. Pohulamy

sobie tak, jak dawno już nie hulali na Ukrainie kozacy!

Danyłkowi twarz promieniała.

— No, teraz dosyć... — rzekł Szełest, — pójdziemy teraz na Bajkową łukę.

Wiedział że ma przed sobą bywalca i pragnął mu zaimponować.

— A cóż to za Bajkowa łuka? — spytał Bandurka.

— To *bajrak*, gdzie się znajduje *sklik*.

Zanim się wydostali z Siczy, już i noc zapadła. Naszczęście ich, wypłynął księżyc i drogę rozświecał.

Danyłko tak był zainteresowany tym wszystkim co oglądał, że nie czuł na razie ani znużenia, ani głodu.

Z Siczy się wydostawszy, w las weszli i lasem wędrowali dalej Danyłko rozgadał się o swoich przygodach, o pobycie na służbie u Leontjewa — zaciekał Szełesta i zjednął go sobie

Tymczasem las rzednieć zaczął odkrywała się obszerna polana, pośrodku której stał dąb olbrzymi, szeroki, rozłożysty. Wiatr się zmniejszył, przymrozek ścisnął śnieg, który chrupał pod nogami, a księżyc oświecał jasno całą polanę, kładąc na białej płaszczyźnie śniegu cienie dębów, otaczających ją.

— Otóż i Bajkowa łuka! — rzekł Szełest, kierując kroki swoje wprost do olbrzymiego dębu, stojącego śród polany.

— Uważasz... — zwrócił się Szelest do Bandurki. Danyłko patrzył — i oprócz dębu, nic nie widział.

— Co, batku?

Szelest wyciągnął rękę i milcząc wskazał ciemny punkt na dębie.

Istotnie—od jasno oświetlonych księżycem gałęzi dębu, odbijał jakiś przedmiot ciemny i duży, zawieszony na gałęzi.

— Widzisz?

— Widzę...

Wydało mu się, że trup kołysze się. Może to trup zdrajcy, a Szelest umyślnie go tu przyprowadził, ażeby pokazać, co zdrajców czeka.

— Dobrze widzisz?

— Nie, nie tego

— Otóż to!

Zbliżali się coraz bardziej do owego dębu, a ciemny przedmiot, zawieszony na gałęzi, nabierał innych, okrągłych kształtów.

Szelest rozwiązał wątpliwość Danyłka.

— To *sklik* — rzekł z naciskiem.

Na wielkiej gałęzi dębu wisiał, przywiązany za dużkę, ogromny *kazan*, a tuż obok na sznurze, młot drewniany.

Danyłko wiedział, co to wszystko znaczy; przebywając na wielkiej Siczy, ze zwyczajami siczowemi zapoznał się.

Otóż w razie niebezpieczeństwa, lub innej potrzeby, każdy mógł zaalarmować całą Sicz: przysy-

łał kogoś lub przybiegał sam i młotem w kocioł walił, — stłumione echa rozlegały się na kilka wiorst dokoła i gromadziły rozpierzchłych kozaków do obrony. Wówczas każdy chwycił swego konia, pędził do bitwy, lub uciekał.

— Sicz prawdziwa... prawdziwa... — szeptał Danyłko.

— To jeszcze nie wszystko, kozacze — rzekł zadowolony Szełest, — oto widzi na prawo, za tą polaną, jest i znaczek... tam na wiosnę konie się pasą... a dalej i *kurenie* kozackie... Czekamy tylko wiosny, a tam—co Bóg da: na Tnrka, to na Turka, na Moskwę, to na Moskwę, a jak na Lachów trzeba będzie pójść, to i Lachów się *nie curamy*... byle daremnie chleba nie jeść. Lachy jak zające siedzą, nie spodziewają się niczego! Komenda żabotyńska nigdy się nawet do lasu nie zbliża, a im tu po co? Oni wolą pić i w kości grać... niech piją, niech grają...

— Oby tylko wiosny doczekać! — zauważył Danyłko.

— Doczekamy!.

Nagle do towarzysza się zwrócił:

— Ale ty kozacze potrzebujesz odpocząć, a może co i przegryźć... Jeszcze trochę, trochę... za znaczkiem, w samym gąszczu, są *kurenie*... tam odpocznieś...

Wyszli z polany i w gęstwinie leśnej zniknęli. Szełest poprowadził Danyłka do *kurenia*.

III.

Jak wiosną płyną powietrzem echa, niby śpiewy, niewiadomo skąd pochodzące, niby głosy Bóg wie czyje — tak rozbrzmiewały kresy Rzeczypospolitej różnemi wieściami.

Nikt nie umiał powiedzieć—ani wiele w nich prawdy, ani skąd one pochodzą; powtarzano je sobie jednak często z nadzieją, częściej z trwogą i smutnem przecuciem.

Jak czuć w powietrzu burzę i pioruny, chociaż niewiadomo kiedy deszcz lunie i błyskawice zamigocą, tak czuć i nieszczęścia wielkie. Zdawałoby się, że całą naturę przenika jakieś drżenie tajemnicze, które niewidzialnie udziela się i ludziom.

Uczucie to było przykre, smutne, pogńębające — a nie można mu się było oprzeć. Mimowolnie oczy wszystkich zwracały się ku niebu, szukając tam komety, przewodniczki nieszczęścia, lub jakiegoś znaku Bożego, ostrzegającego ludzi.

Na niebie nie świecił jednak ani miecz ognisty, ani kometa żaden nie zawiesił swojej kity jarzącej.

Chociaż był to już koniec marca, oracze nie spieszyli jakoś w pole — ten i ów zorał skibę — i rzucił.

Tak samo działo się u JMć Pana Olszewskiego, dziedzica małej osady, a wielkiego kawałka ziemi, niedaleko Bohusławia, przy drodze korsuńskiej, którą sam założył i od swego imienia nazwał Janówką.

Przed paru dniami wystął pługi w step — miał dłużyć pod jęczmień. Kazał sobie kasztanka osiodłać i do pługów w pole wyjechać. Był to ranek różowy, świeży, tchnący aromatem wiosny i tą pełnią życia, którą nie zawsze dostrzedz można w naturze, ale zawsze można odczuć.

Jechał powoli stepem. Trawa bujnemi zdźbłami strzeliła do góry; kasztan prychał, zginał instynktownie głowę, pragnąc uchwycić pęk młodej trawy, na horyzoncie różowiły się resztki obłoków porannych, resztki mgieł, niby babie lato przez wiatr unoszone, płynęły do góry, zwijały się w kłęby, wydłużały się w przezroczyście wstęgi i w promieniach słonecznych nikły.

Pomimo jednak pięknego wiosennego poranku, czuć było dookoła smutek ciszy. Nie śpiewały skowronki, jakby się chroniły umyślnie, nie ćwierkało ptactwo stepowe, tylko od południa chmury kruków i wron leciały, kracząc złowróźnie.

JMć Pan Olszewski, człowiek stary, poważny, z wielką siwą brodą, niby dziad pasiecznik, jechał pod niemiłym wrażeniem, jakie go otaczało i wzrokiem coraz bardziej natężonym w jeden punkt patrzył.

— Stoją! — mruknął sam do siebie.

Dał ostrogi koniowi i w parę minut był już przy pługach.

Pługi nie orały. Woły wyprzągłszy się z jarzma, nie skubały młodej trawy, tylko w ziemię pyłki pospuszczawszy, pienily się i pomrukiwały, albo

leżały obojętnie, bezmyślnem spojrzeniem w step zielony patrząc. Czeladź, usiadłszy na wijach, ledwie od czasu do czasu przerzucała się jakim słowem.

Dziedziec nadjechał.

— A czegoż to stoicie? — zapytał dozorca.

— Albo ja wiem... Ot tak czegoś, ludzie ruszyć się nie mogą.

Olszewski krzyknął na poganiaczów, którzy do jarzm i wołów rzucili się — ale posępnie, ociężale.

— *Pohano, pane...* — zauważył jeden.

Dozorca dorzucił:

— Coś tak wygląda, jakby Tatarzy mieli się zjawić... Ani ludzie, ani bydło nie mają ochoty.

Olszewski był także pod wpływem tego nieokreślonego wrażenia, nie odpowiedział nic jednak, nie chcąc zniechęcać czeladzi.

Jakoż pługi zaprzężono — i ruszyły.

Pod przykrem wrażeniem poranka, do domu wrócił i jak nie swój cały dzień chodził, czekając przybycia IMci pana Szelepińskiego, przyszłego zięcia swego, który dla zasięgnięcia pewniejszych wiadomości, do Humania przed kilku dniami pojechał, a z powrotem do Janówki miał wstąpić.

Lada dzień spodziewano się jego przyjazdu. Tymczasem dni mijały, a IMci pana Piotra Szelepińskiego jak nie było, tak i nie było.

Niepokoilo to Olszewskiego.

Wieczorem cała rodzina zebrała się na ganku dla pogawędki.

Był to pierwszy wiosenny wieczór ciepły, po-

godny, cichy. Czuć było w powietrzu zapach młodej trawy, wiatrem od stepu przyniesiony, balsamiczną woń otwierających się pąków topolowych.

Olszewski siedział na jednej ławeczce, przy nim mamka.... chłopka, karmiła piersią wnuka, który namiętnie pijąc pokarm, aż mu się mleko w kątach ust pokazywało, strzelał okiem w bok, wpatrując się w siwą brodę dziadka, lub spojrzenie utkwione nieruchomie trzymał na twarzy siedzącego tuż koło mamki wyrostka Jurka, najmłodszego syna Olszewskich.

Z przeciwnej strony, na drugiej ławeczce, siedziały kobiety: żona Olszewskiego, narzeczona pana Piotra i starsza jej siostra, z pięcioletnim synkiem na kolanach, bawiąca w gościnie u rodziców.

Słońce zachodziło krwawo, ale spokojnie. Wszyscy byli w nastroju nie wesołym i rozmowa zawiązać się nie mogła.

Burek, przechadzając się na środku dziedzińca, zwrócony ku krwawym smugom zachodzącego słońca, usiadł na tylnych łapach i pysk podniósłszy do góry, wył przeraźliwie, przeciągle, jakby płakał lży tłumiąc.

Wycie to wszystkim sprawiało wielką przykrość... nikt jednak nie dał poznać tego po sobie.

Najmłodszy z rodzeństwa, Jurek, okazał się najniecierpliwszym.

— Burek!... —krzyknął — otoś się wybrał!

Ale Burek, posłuszny głosowi wewnętrznemu, nie słyszał nawoływań Jurka, wył ciągle, modulując głos swój na różne tony.

— Daj mu pokój!... — odezwała się matka.

Jakoż wkrótce Burek sam przez się przestał, zbliżył się do całego towarzystwa i przed progiem ganku się położył.

Wołała go na pieszczoty Marynia, wołał Jurek, ale Burek pokiwał tylko poważnie ogonem i położył się, wyciągnawszy głowę i oparłszy ją na przednich łapach.

Zmierzch już zapadł. Słychać było od folwarku poryk wracających z roboty wołów, rzenie koni, nawoływanie parobków.

Wszystkie te głosy w ciszy wieczornej nabierały dźwięczności, siły, lotności i przez powietrze czyste płynęły Bóg wie jak daleko.

Do chóru tych głosów przybył nowy.

Na kluczynie stajni, oddalonej o jakie sto kroków zaledwie od dworku, usiadł puhacz i hukac żałośnie począł.

Pierwsze odezwanie się jego, jak iskra elektryczna, przebiegło po ciele siedzących.

— Oce! — rzekła z akcentem zdziwienia i smutku mamka. Nie umiała zapanować nad sobą.

Wiedziano, że jęk puhacza zwiastuje rodzinie nieszczęście jakieś; nie chciano jednak wymieniać wyrazu: nieszczęście.

Olszewski w żart chciał obrócić wykrzyknik mamki.

— Nie słyszeliście nigdy puhacza, czy co?

Mamka nie zwróciła na pytanie uwagi. Wiara jej była niezachwiana.

— Ktoś umrze! — rzekła niby sama do siebie i instynktownie przycisnęła dziecko do piersi.

— Co wam Pan Bóg dał, Horpyno! — odezwała się pani Czarnecka z akcentem wyrzutu.

— *Bih-me* umrze. Alboż to pani nie wie, że jak zaraz po zachodzie słońca puhacz huka... to śmierć pewnikiem.

— Nie gniewajcie Boga.

Wtem Jurek porwał się.

— Mam właśnie flintę nabitą, zaraz tego proka z kluczyny zsadzę.

Już był we drzwiach, kiedy go głos ojca zatrzymał.

— Poczekaj... zostaw go w spokoju... — rzekł poważnie. — Co ma być, to będzie.

Jurek usiadł i zamilkł.

Odezwanie się mamki niezmiernie przykre wrażenie sprawiło na wszystkich; każdy jednak żalność swoją ukrył jak najgłębiej, ani słówkiem jej nie zdradził, chociaż można ją było odgadnąć z posępnie zamyślonych twarzy i z milczenia.

Śród ciszy, Burek nagle podniósł głowę do góry i nasłuchiwał chwilę, potem schylił znowu i na łapach spokojnie położył.

Nikt na ten ruch Burka uwagi nie zwrócił. Tylko obserwował go stary Olszewski, a po chwili nieznacznie głowę odchylił w stronę stepu i słuch natężył.

On wiedział, dlaczego Burek głowę podnosił.

Po krótkim nasłuchiwaniu odezwał się:

— Ktoś jedzie...

Słowa te, zdawało się, obudziły ze snu wszystkich. Głowy zwróciły się mimowolnie w stronę szlaku Humańskiego. Olszewska przyłożyła dłoń do ucha, ażeby lepiej słyszeć.

— Jedzie...

— Pewnie Piotr... dodała Marynia.

Mimowolny rumieniec twarz jej oblał.

Olszewski nic nie mówił, w milczeniu obserwując zachowanie się Burka, który leżał obojętny, zamyślony, nieporuszony.

— To nie Piotr... ktoś obcy — rzekł stanowczym głosem.

Istotnie słyhać było z daleka lekki turkot kół, ale jakiś głuchy, powolny.

— Może Piotr... zobaczymy.

Czekano niecierpliwie długą chwilę. Wreszcie Burek znowu głowę podniósł, szczeknął i w tej samej pozycji co dawniej, położył się.

— Ktoś znajomy, ale nie Piotr — zawyrokował Olszewski. — Przecież Piotr konno pojechał.

Nie zawiódł go Burek. Już było szaro, kiedy przed bramą zaturkotały koła i ukazała się biedka, w jednego konia zaprzężona.

— Arendarz! — zawołała Marynia z akcentem rozczarowania.

Tak, był to Salomon, arendarz karczmy Janowskiej na trakcie korsuńskim.

Salomon biedkę z koniem zostawił za bramą,

sam, z batogiem w rękę, przelaz przestąpił i do ganku dążył.

Burek z miejsca się nie ruszył, widocznie znał dobrze przybyłego gościa.

Salomon dwukrotnie pokłonił się przed gankiem, zdjął czapkę i pozdrowił wszystkich.

Był to Żyd w tym wieku, co Olszewski — sześćdziesiątkę dobrze minął i taką samą, jak dziedzic Janówki miał długą, siwą brodę.

Po przywitaniu się, nastąpiło zwykłe pytanie:
— Co słyszeć nowego?

Arendarz dawniej krótko odpowiadał: nic i przystępował do wyłożenia sprawy, czy interesu, bo bez potrzeby nigdy do dworu nie przyjeżdżał.

Tym razem słowa mu się jakoś nie układały. Miał się, ważył się, brodę skubał, wyrzekł nareszcie:
— Źle, panie...

Widać, że mu się słowa ledwie przez gardło przecisnęły.

Wszystkich spojrzenia zwróciły się nagle ku niemu, jakby żądając pewnych wyjaśnień.

Nikt jednak nie śmiał przerywać milczenia.

Stary Olszewski siedział zasepiony i w ziemię patrzył. Wreszcie głowę podniósł i oczy w Salomona utkwił.

— Cóż przecie?

— Nasze Żydki od Czehrynia, od Czerkas, od śmiły uciekają...

— Jeszcze w tem nic złego niema — odezwał się Olszewski, jakby umyślnie dla uspokojenia niewiast.

Ale arendarza nurtowała obawa, według niego uzasadniona, więc się z tropu zbić nie dał. Miał swoją logikę.

— Nu? Gdyby szło dobrze, po coby ludzie uciekali? Uciekają przed nieszczęściem, a siedzą kiedy jest spokój.

Mówił to poważnie, tonem głębokiego przeświadczenia.

Uwaga jednak arendarza zniecierpliwiła Olshewskiego.

— Tchórze jesteście i byle przed sroką uciekacie, roznosząc po całym kraju alarm i niepokój.

Salomon brodę pogładził i niedobre spojrzenie rzucił na dziedzica.

— Proszę jaśnie pana i tchórze nie uciekają, kiedy niema czego. A czegoż te hultaje. jak wilki, po stepach się włóczą? Najstarsi ludzie nie pamiętają, żeby kiedy było tyle charczyzów, co teraz. A dlaczego? Ja panu zaraz powiem. Moskwa u siebie wszystkich włóczęgów za łeb wzięła, nu, cóż oni mają robić? *Woni* muszą uciekać tam, gdzie ich za łeb, za pozwoleniem, nie biorą. Na to nie trzeba wielkiego rozumu.

— Przecież od trzydziestu lat to samo się dzieje. Nad granicą co innego: tam co wiosnę jakaś kupka przez granicę przejdzie, ukradnie komuś woły, albo dom zrabuje... cóż na to poradzić? My Bogu dzięki od granicy mieszkamy daleko, a od wielu lat nie było wypadku, ażeby charczyzy kogoś zrabowali.

Mowa ta jednak nie trafiła do przekonania Salomona. Niecierpliwił się, cmokał, głową kiwał.

— Aj, aj, aj, co Wielmożny Pan mówi... Prawda, że jak kawałeczek palca uciąć, to człowiek może żyć, bo i głowa cała i nogi całe, gdyż są daleko od palca, a przecież człowiek ból czuje, bo i palec, to kawałeczek człowieka. Gdyby tak ktoś ciukał po kawałeczku palca ciągle, to się dziesięć razy sztuka uda, a za jedenastym przyjdzie gangrena... i koniec, i całego człeka dyabli wezmą. Ja nie jestem żaden polityk, ani żołnierz, tylko arendarz, ale proszę wielmożnego pana i arendarz może mieć trochę chłopskiego prostego rozumu. Na co ludzie mają czekać, aż przyjdzie jaki charcyz — przy tem słowie splunął i powiedział: tfu na tych paskudników — i poskubie ich; kto może... ucieka.

Filozofia Salomona nie podobała się trochę Olaszewskiemu i obrażała jego dumę szlachecką, chociaż sens jej był bardzo prosty: Każdy z was myśli tylko o sobie, lecz nie wszyscy o wszystkich i dlatego prędzej lub później zginiecie marnie.

— Z tego jeszcze nie wynika — rzekł — ażeby się działo coś niebezpiecznego.

Niewiasty w milczeniu i ze skupioną uwagą przysłuchiwały się tej rozmowie.

— Człowiek nigdy nie wie—odpowiedział arendarz — z czego będzie bieda, bo inaczej nie wywoływałyby wilka z lasu. Ja tylko panu powiem, że my mamy pewne wieści przez Tatarów i Turków, co z nami handlują, że nad Ingulem, nad Martwą wodą, od

dzikich stepów coś się gotuje: charczyzy szwendają się i obwąchują się, jak psy, za pozwoleniem.

— Przecież są komendy pograniczne, są kozacy dworscy!

Salomon ręką skinął z rezygnacją.

— Komendy nie mają czasu porządku pilnować, bo tam same poruczniki, a towarzysze, którym miód i fartuszki białogłowskie wystarczą za szablę...

Gryząca ironia Salomona ubodła Olszewskiego.

— Pleciesz co ci ślina na język przyniesie..

— Niech i tak będzie... ale co do kozaków dworskich... *woni* pójdą do swoich. Albo Wielmożny Pan zeszłego roku nie wychował na dworze wilka: taki był łagodny i dobry, że nigdy *gęsi* nie zadusił, a z rąk pannuńci — tu ręką skinął ku Maryi — przysmaki jadał, a gdzież ten wilk za pozwoleniem pana? Do lasu uciekł. Tak samo będzie i z kozakami.

Pani Olszewska milcząc potakiwała głową Salomonowi. To mu dodawało otuchy nieco — więc rezolutniej głowę podniósł, śmieiej na wszystkich spojrzął i zapytał:

— Czy nie tak?

Ogólne milczenie było niejako potwierdzeniem, że miał rację.

Salomon na tem jednak nie poprzestał. Po chwili milczenia znowu głos zabrał:

— Ja wielmożnemu panu jeszcze coś powiem...

— No?

— Wielmożny pan pamięta tego Maksyma...

Olszewski głowę podniósł, brwi ściągnął i spojrzenie pytające, jakby pragnął przypomnieć o kim to mówi Salomon, zwrócił do arendarza.

— Co za Maksym?

— Syn tego kowala...

— Żelaźniaka — podpowiedziała Marynia.

— A... a... a... żelaźniaka... pamiętam... więc cóż?

— On zwykle po sól i po ryby jeździł do Siczy.

— Jeździł.

— Ale od lat pięciu już go niema...

— No, zdechł gdzieś na Siczy, albo mu Tatarzyn łeb urwał... i koniec, — rzekł niecierpliwie Olszewski.

Salomon, spojrzawszy na starego dziedzica ironicznie, pomyślał sobie: ślepi, albo sobie oczy dobrowolnie zamykają.

Nie powiedział jednak tego, co myślał.

— Nie zdechł, proszę wielmożnego pana i Tatarzyn łba mu nie urwał. Wczoraj nocował u mnie żydek z Kryłowa i powiadał, że ów Maksym watahę zbiera... że ją podzielił na kilka oddziałów... jeden zimował na siczowych zimowiskach, drugi w lesie Łebedyńskim, trzeci w Motroneskim.

Olszewski niecierpliwie głową pokiwał i z akcentem wymówki do Salomona się zwrócił:

— Ależ bajki wierutne, bajki! Wiedzieliby coś przecie o tem gubernatorzy pograniczni, wiedziałyby komenda... U stracha wielkie oczy... i tyle. Marzą wam się rzezcie, bunty... bałamucicie się sami

i niepokoicie innych. Poczekaj Waść, panie Salomonie... pan Piotr pojechał do Humania: stamtąd chyba od Mładanowicza przywiezie coś pewnego... lada dzień go czekamy.

Arendarz słuchał spokojnie; na poważnej jego twarzy widać było skupienie, ale nie było tam wiary w słowa dziedzica.

Wysłuchawszy słów powyższych, z żelazną, chorobliwą prawie konsekwencyą, popierał dalej swoje dowody.

— Poczekamy na przyjazd pana Piotra... Bóg da, nie dziś, to jutro powróci. Ale czy wielmożny pan wie o tem, że chłopci z okolicznych wsi uciekają?

— Przecież co roku znikają... Ale czemu ty nie liczysz tych, którzy na „woli“ siadają corocznie?

— Liczę... Otóż w tym roku w Janówce nikt nie osiadł, a trzech parobków zbiegło.

Wiadomość ta zaniepokoiła Olszewskiego. Nie z racyi obawy o charczyzów, bo pod tym względem był optymistą, ale że mu siły robocze od ziemi odrywały się.

Stante pede zawołał chłopaka i kazał mu, ażeby na jutro rano stawił się do dworu osadczy, który pełnił urząd wójta, w celu sprawdzenia tego, co mówił arendarz.

Jmć pan Olszewski, uspokoiwszy się nieco, znowu się do arendarza zwrócił; przedmiot dyskusyi był zanadto ważny, ażeby go mógł nie interesować.

— Widzisz, mój mości arendarzu, w tem wszystkim, co mówisz, może być trochę prawdy, ale i to jest prawdą, że wy Żydzi tchórze jesteście, z lada

drobnostki lubicie robić wołu, a w każdym chłopie, spotkanym z kijem w rękę, widzicie charczyza.

Salomon słuchał, gładząc sobie poważnie brodę.

— Proszę wielmożnego pana, co do chłopów, lepiej my wiemy od panów co kto wart, bo choćbyśmy nie chcieli, musimy w karczmie słuchać ich rozmowy. Póki trzeźwi, niewiele mają do gadania, ale jak się gorzałki, za pozwoleniem, nażłopiają, wtenczas im się języki rozplątują, więc gadają niedobre rzeczy i o panach i o Żydach... Ale po co nam o tem mówić? — dodał złośliwie. — Co zaś do tego, że Żydy tchórze, ja wielmożnemu panu powiem, że nie tak wielkie tchórze, jak się panu zdaje...

— Gdaja zdrów... — rzekł żartobliwie Olszewski.

Salomon nawet nie zwrócił uwagi na ton, z jakim te słowa powiedziane były, a zajęty jedynie własną myślą, ciągnął:

— Nie każdy ten odważny, co kijem macha... Odwaga odwadze nierówna. Bywa taki, co drugiemu z *szablem* szyję utnie, ale kiedy mu przyjdzie śmierci oko w oko zajrzeć, kiedy wie, że się bronić nie może a umrzeć trzeba... wtenczas umiera jak ostatni sobaka i prosi wszystkich, ażeby mu choć o godzinkę życie przedłużyć. Nu? — zapytał, wyzywająco na Olszewskiego patrząc, jakby na odpowiedź czekał.

Olszewski jednak milczał.

Salomon ciągnął dalej:

— Największa odwaga... to umrzeć spokojnie. Otóż ja powiem wielmożnemu dziedzicowi, że Żydzi

są bardzo odważni, bo oni umieją umierać. Ja sam tego nie widziałem, chociaż jestem człowiek stary, ale młodym będąc, od bardzo starych słyszałem, że za czasów buntu Chmielnickiego w Niemirowie, zamknęło się sześć tysięcy Żydów, kiedy kozaki miasto zdobyli... zdobyli, bo panowie szlachta, za pozwoleniem, uciekła. Był tam wtedy rabin, nazywał się Jechiel-Michel, który do nich tak mówi: Bronić was niema komu, sami bronić się nie możecie, bo choćbyście chcieli, nie macie czem. Pozostaje wam tylko jedno: umrzeć. Umrzyjcie więc w swojej wierze, w miłości dla Boga Izraela, który wiernym otworzy niebo.—To samo było w Tulczynie, to samo w Połonnem... Pan myśli, że u nas ojcowie tego wnukom nie opowiadają? Proszę wielmożnego pana na to, ażeby tak umierać, trzeba wielkiej wiary i wielkiej odwagi. Co? Tchórz prosi, błaga o życie, żebrze o jedną chwilę. Uciekać przed śmiercią... to inna rzecz, bo sam Pan Bóg kazał życie szanować, a umierać odważnie... to inna.

Głębokie przeświadczenie o prawdzie tego, co mówił Salomon, udzielało się słuchaczom. Kobiety w milczeniu jakimś trwożliwym słuchały. Olszewski siedział zamyślony, wzrok przed siebie puściwszy.

Salomon korzystał z chwili ogólnego milczenia i skierował mowę znowu do dziedzica, jakby z nim tylko jednym dysputował.

— No, to ja już nie mam co tu robić. Nie wierzy mi pan dziedzic... to nie wierzy.

— Jest w tem trochę prawdy, w tych pogłoskach, jest... ale my z tobą nic na to nie poradzimy,

Są mędrsze głowy na Sejmach, w Senacie: niech radzą. Tymczasem czekajmy na to, co nam pan Piotr przywiezie z Humania.

— Czekajmy — odrzekł z rezygnacją Salomon. — A póki co.... dobranoc państwu.

Wieczór był ciepły, cichy, niebo od gwiazd wyiskrzzone. Rodzina siedziała jeszcze z kwadrans na ganku, komentując uwagi arendarza, wreszcie na wieczerzę poszli.

Salomon do karczmy wrócił. Podobny był do wróbla, który ćwierkał nad głową myśliwego, że jastrząb leci, a myśliwy nie rozumiał jego ćwierkania, bo jastrzębia nie widział.

Rodzina arendarza nie była liczną, jak to się często u Żydów dzieje. Składała się tylko z żony jego, córki Sury i syna Jośka. Josiek był już dwudziestoletnim chłopcem, ładnym, smagłym, o spojrzeniu zamyślonem, tęsknem, o iskrzącem zawsze oku, które zdawało się patrzeć częściej w jakiś inny świat niż ziemski. Do interesów nie miał zdolności żadnych—tu i owdzie brał go ojciec ze sobą, posyłał w różne strony w interesach handlowych. Josek wszystko robił, ale nie znać było w tem ani zamiłowania, ani umiejętności i daru. Chętniej za to garnął się do książki, rozczytywał się w kabalistycznej nauce i w samotności rozmyślał.

Rzadko miał chwile takiej samotności, bo karczma przydrożna roiła się czumakami, chłopami, włóczęgami, którzy nie tylko pili, ale często upijali się, hulali, śpiewali, że aż belki się trzęsły. Gdy gości by-

ło niewiele, ojciec i matka usługiwali sami, a wtenczas Josiek siedział w drugiej izbie przy stole, głowę ująwszy w dłonie, nad książką, tak w niej zatopiony, jakby cały świat dla niego nie istniał.

W święta jednak i w niedzielę, karczma bywała pełna — a wtedy i Josek, i Sura musieli pomagać rodzicom. Matka niechętnie pozwalała przychodzić do szynkowni Surze, gdy się nacisnęło wiele hałaśliwego chłopstwa. I miała pono rację. Sura była o dwa lata tylko młodszą od Jośka, jak dwie krople wody podobna do niego z rysów, tylko oczy miała błękitne. Patrząc na nią, zdawało się, że krew wzięła z Judei, a oczu pożyczyla sobie od nieba ukraińskiego — takie były wesołe, łagodne i dobre. Spojrzenia parobków mimowolnie się ku niej kierowały, gonily za nią, a często ten i ów pocałował ją w przełocie. Splunęła, wyłajęła natręta, — ale pocałunek został.

Po rozmowie z dziedzicem, Salomon wrócił jak przybity — chodził z kąta w kąt niby senny, brodę gładził, pomrukiwał — słowem niezadowolony był i niezadowolenie okazywał. Spodziewał się we dworze znaleźć jakąś radę, otuchę, może pomoc jaką — do kogóż się miał udać? Wszyscy wydawali się mu pogrążonymi w apatii, która zakrywała im oczy, wiązała ręce, paraliżowała mięśnie.

Cały dzień następny aż do wieczora był dla niego ciężki i smutny. Zdawało mu się, że ziemia rozstępuje się przed nim, a on wraz z rodziną w przepaść jakąś niezgłębioną się wali — szamoce się, o ra-

tunek woła, a nikt ręki pomocnej do niego nie wyciągnie. Tak uczuł głęboko swoje osamotnienie, tak mu się serce ścisnęło, że byłby ryknął z bólu

Wtem od szynkwasu odezwało się kilka chrypliwych, pijackich głosów — piosenkę jakąś hulaszczą nucili

Salomon zacisnął usta, ból schował głębiej z taką dumą wielką, jakby mówił: Nie, wy łez moich nie ujrzycie, przed wami duszy mojej na urągowisko nie odkryję.

Sura spostrzegła szamotanie się ojca. Zbliżyła się do niego, za szyję obiema rękami ujęła i prosto mu w oczy spojrzała.

— Co tobie ojcze?

Głos jej dźwięczał współczuciem, miłością.

Miałże przed nią powiedzieć to, co czuł sam w tej chwili? Że wszyscy oni są podobni do marnego źdźbła trawy, rosnącego przy drodze. Lada bydlę trawę tę zgniecie, złamie, stratuje — i pójdzie dalej nieświadome.

Zamiast odpowiedzi, nachylił się nad czołem córki i pocałował je. Pełne oczy miał łez, ale je powstrzymał i rzekł spokojnie:

— Powiedz matce, ażeby światło zapaliła.

Właśnie zapadał wieczór szabasowy.

Zapalono światło i Salomon wdziewał powoli talit, całował cyces, zwieszające się u dołu, potem nawiązał telfin — i wciąż się modlił.

Pogłoski, jakie powtarzał Olszewskiemu, nie były tajemnicą dla całej rodziny arendarza. Ten i ów przyjeżdżał, zatrzymywał się w karczmie, co

wiedział opowiadał i jechał dalej, zostawiwszy tylko przestrach i smutek. Czasem jakieś półsłówko wpadło do ucha z rozmowy wędrownych chłopów, a wszystko to razem napełniało duszę przecuciem czegoś smutnego i ciężkiego.

Nieraz przychodziło mu na myśl słowo: uciekać. Dokąd uciekać? Kto zaręczy, gdzie jest spokój i bezpieczeństwo? Na ucieczkę będzie czas jeszcze.

Stara baba z futuru szynkowała gorzałkę, jak zawsze w szabas, a cała rodzina arendarza zgromadziła się w maleńkim, odosobnionym alkierzu.

Matka siedziała na zydelku przy łóżku i dłonie o kolana oparłszy, w ziemię patrzyła. Przy niej Surra z błękitnemi, jak niebo, oczyma wodziła za ojcem, który w rzemieniach na ramionach i głowie, stał w kącie izby, do okna zwrócony i głośno się modlił, to podnosząc, to zniżając głos. Raz głos ten brzmiał niby jakaś skarga cicha, lękliwa, żałosna, coraz cichsza, aż wreszcie rozpływała się w szepcie ust; nagle wybuchwała gwałtownie z jękiem, z płaczem, rwała się z głębi niby potok jaki, kłębiła się, kotłowała, aż echa jej w powietrzu drżały. Głos jego nabierał siły i potęgi lwiej, jak gdyby pragnął wyrzucić z piersi wszystkie bóle, wszystkie smutki, wszystkie nadzieje — zmarniałe, pierś mu się podnosiła, twarz przybierała wyraz proroka, skarżącego się na nikczemność ludzką przed Bogiem, a oczy łzami błyszczały.

Matka i córka słuchały tej modlitwy ze skupieniem, ze czcią; matka — nie podnosząc wzroku od ziemi, córka, oka nie spuszczać pełnego zachwyty z twarzy ojca.

Tylko przy rogu stołu siedział blady Josiek; głowę ujął w dłonie i, schylony nad księgą, czytał. Zagłębiony w czytaniu, zdawało się, nic nie widział, nic nie słyszał.

Wreszcie Salomon skończył modlitwę, odjął naczolniki, ucałował je, zdjął talit i powoli zaczął wszystko chować do osobnej torebki.

Przeszedł się parę razy po izbie i przed Jośkiem stanął. Chłopiec głowy nie podniósł.

— Co ty czytasz?

— Księgę Zohar — odpowiedział, nie podnosząc głowy.

Salomon przysunął sobie zydelek i bokiem siadł obok syna, tak, że twarzą zwrócony był do żony i córki.

Zapytanie ojca wyrwało z zamyślenia starą „babustę“. Matka i córka podniosły oczy na Jośka.

— I cóż tam wyczytałeś? — pytał spokojnie ojciec.

Josiek ścisnął sobie skronie obiema dłońmi i nie odrywając spojrzenia od księgi, wyszeptał głosem stłumionym:

— Straszne rzeczy... straszne rzeczy...

Zakrył obiema dłońmi oczy, głowę niżej jeszcze nad księgą pochylił — i milczał. Czuć było tylko oddech jego silny i gorący.

Nikt tego milczenia przerwać nie śmiał.

Wreszcie ojciec dotknął się ramienia syna ręką, jakby go chciał zbudzić.

— Nu? Cóż tam pisze? — spytał drżącym, ale spokojnym głosem.

Josiek twarz odstonił. Błady był — i tylko w głębi orbit paliły mu się oczy.

— Przed stu dwudziestu laty — odrzekł— miał przyjść Mesyasz... Ben Jochai przyjdzie jego zapowiadał...

— Nie wierzysz?

— Wierzę.

— Czekajmy i wierzymy — zauważył z pokorą Salomon.

Josiek westchnął.

— Ach ojcze! Dlaczego Bóg obiecuje nam przyjdzie zbawiciela, a posyła niszczycieli? Dziadek opowiadał mi, co to były za straszne czasy...

— Synu! Bóg jest wielki, wie co czyni.

— Dlaczego on nie jest dobrym Bogiem?

— Synu! Bóg jest mądry...

— Dlatego on nie jest litościwy? Bóg rozrucił dzieci Izraela po świecie, jak liście drzewne w jesieni na polu rozrzuca... a byle wiatr je porywa, unosi, rozprasza... Dlaczego księgi nasze piszą, że świat spoczywa na trzech podstawach: na prawdzie, prawie i pokoju, kiedy on nie spoczywa ani na prawdzie, ani na prawie, ani na pokoju, lecz tylko na sile!...

Ojciec na to nic nie odpowiedział, chociaż czuł dobrze szamotanie się młodej i czystej duszy w sieciach formułek religijnych, niezgodnych z rzeczywistością. Sura patrzyła, jak w obrazek, w twarz brata, a matka, cicho powstawszy z zydelka, nachyliła się

nad głową synowską i w milczeniu pocałunek na niej złożyła

W tej chwili z drugiej izby dał się słyszeć głos baby, sprzedającej gorzałkę.

— Arendarzu, arendarzu, a chodźcie-no tutaj. Ktoś chce kupić garniec okowity, po czemu wy sprzedajecie?

Salomon alkierz opuścił.

IV.

W Janówce nie doczekano się powrotu IMci pana Szelepińskiego tak rychło, jak się spodziewano. Minęło jeszcze dni parę, a pana Piotra jak nie było, tak nie było. Niepokoił się stary Olszewski, chociaż miną nadrabiał, ale najbardziej ze wszystkich pono niepokoiła się Marynia. Czasy były niespokojne, a pogłoski o rozruchach chłopskich, opowiadanie arendarza i owa przed kilku dniami rozmowa na ganku, napełniały ją niewypowiedzianą trwogą.

Stary Olszewski w głowę zachodził, coby to mogło znaczyć, że się powrót przedłuży i nie domyślał się. Musiała być jednak racya nielada, która pana Piotra w Humaniu zatrzymała, myślał sobie i tem się uspokajał nieco. Wyjeżdżając co dnia w pole, puszczał wzrok po drodze Koszowackiej, czy koni jego nie ujrzy.

Czwartego dnia po rozmowie z arendarzem, wyjechał konno pole obejrzeć—ot, zwykła ciekawość

gospodarska. Wiedział dobrze, że ruń ozima wyszła z pod śniegu zdrowo, że pięła się w górę równo, gładko, silnie, aż ciemnymi barwami mieniła się do słońca; jeszcze parę tygodni a strzeli kłosami, — ale rad był patrzeć, jak rośnie.

Jechał miedzami między oziminą. Ranek już był późny, ale jeszcze resztki mgieł przesuwwały się ponad ciemno-zielonemi łąkami oziminy. Wiatr lekki, świeży, falował i uniał, a w głowie mu się roily mimowolnie obrazy, niezbyt jeszcze dawne, kiedy na tem miejscu step szczery leżał, rosły lasy burkunów, dziewan, buryanów, łobód, w których całe wojsko z końmi i armatami schowaćby się mogło. A dzisiaj zboże tu porasta... Jego to pracowita ręka wszystko zrobiła... Kochał też ziemię, która mu pracę stokrotnie nagradzała, zżył się z nią, zróśł, czuł się jej częścią.

Wiódł okiem dokoła, — wtem spojrzenie jego zatrzymało się na linii horyzontu — wydało mu się, że drogą Koszowacką jeźdźcy jacyś jadą.

— Może to Piotr.. — przez myśl mu się przesunęło.

Na drogę nawrócił i jechał wolnym krokiem naprzeciwko tego punktu, który na dalekiej linii horyzontu poruszał się.

Wyteżał wzrok, wpatrywał się. Kontury jeźdźców coraz stawały się widoczniejsze, wyrazistsze.

— Ba, to oni! — krzyknął naraz — to kasztan Piotra...

Jakoż istotnie przodem jechał na kasztanie Szelepiński, a za nim podjezdek prowadził luzaka.

Uradowało to starego. Dał ostrogi koniowi, a w kilka chwil potem już się ściskali serdecznie.

— Czekaliśmy tu ciebie, Bóg wie co rojąc.

— Cóż w domu? Wszyscy zdrowi?.. Marynia, dzieci, matka?

Z tytułu przyszłego zięcia, panią Olszewską „matką“ nazywał.

Pytania sypały się jedno za drugim.

Wreszcie Olszewski zwrócił się do Piotra:

— Cóż słyhać?

Szelepiński poważnie twarz dostroił.

— Ważne nowiny, bardzo ważne... — rzekł z miną napół tajemniczą.

Potem do podjezdka się odezwał:

— Grześ! ruszaj przodem.

Grześ wysforował się z luzakiem.

— Gadaj! — niecierpliwił się Olszewski. — Najprzód *de publicis*.

— Otóż mości panie, mamy nową konfederację...

Olszewski krzaczaste brwi zsunął i w twarz Piotra patrzył.

— *Tandem?*

— Pod laską marszałkowską Pułaskiego, starosty wareckiego, zawiązała się konfederacja w obronę swobód i całości Rzeczypospolitej w Barze.

— Dziura, mocium-panie...

— Tak, ale szlachtą napchana.

Olszewski coś monosylabami bąkał.

— Gadajże waść dalej... co?.. jak? Kto z panów na czele stoi?

— Należy do tego Michał Krasiński, podkomorzy rożański, brat biskupa kamienieckiego, a ponoś także i biskup kamieniecki ręki do tego przyłożył. Przedewszystkiem konfederaci zażądali wyjścia wojsk rosyjskich.

— Także i gadaj! Myślałem, że i tu się skończy na szum-drum. Pogrozą królowi, dostaną jakie tłuste starostwo i uspokoją się. To śmiechu warte nareszcie, te manifesta, prośby; prawa nasze były gwarantowane przez konstytucye i *pacta*.

Starzec trząsał się z gniewu.

— Oni mają nam naprawić Rzeczpospolitę! Furda mocium-panie! Stworzyliśmy Rzeczpospolitę, panie dobrodzieju, bez ich pomocy poprawimy.

Szelepiński słuchał uważnie narzekań teścia. A kiedy się ten trochę uspokoił, zaczął znowu:

— Otóż widzi pan dobrodziej, konfederacya barska może się nie skończyć na byle czem. Zawiązała się ona przeciw królowi, król postara się załagodzić sprawę, a jeżeli nie można będzie, uda się do pomocy carowej i Repnina. A wtenczas wojna domowa.

— Ha, cóż robić! — zawołał rezolutnie Olszewski — walczyć z nimi trzeba, trzeba zniszczyć to nasienie sobacze!

— Tak, zanosi się na wielką wojnę.

Chwilkę milczeli obydwaj, jakby widmem wojny przerażeni, które się już zdaleka unosi nad krajem.

Konie szły równo, powoli, jakby rozmowy słuchały.

— A ten panek z Krystynopola? Czy się już do reszty sprzedał?

— Otóż, uważa pan dobrodziej, w tem coś jest, — przerwał żywo Szelepiński. — Mówił mi Mładanowicz, że wydał rozkaz kupowania siodeł, koni, amunicyi, że ma jakoby zamiar sformować oddział szlachty, jakoteż wszystkich dworskich kozaków oddać do dyspozycyi konfederatów.

Olszewski śmiał się dobrodusznie.

— Te, te, te... Dziś chce mu się tego, bo jakiś nieoskrobany generał dumę jego drasnął; jutro posmarują go pochlebstwem, więc też zacznie inaczej śpiewać.

— Powiadają tak; com słyszał, tom powtórzył.

Znowu na chwilę rozmowa przerwała się: stary Olszewski milczał i wąs kręcił.

— Powiedzże mi jeszcze mój mości panie, jakże tam konfederaci poczynają sobie... gdzie są... co robią?

— Przed samym moim wyjazdem z Humania nadeszły bardzo dobre wieści. Mówią, że od regimentarza Woronicza część kawaleryi przeszła do Pułaskiego, że w ciągu niespełna tygodnia zgromadziło się koło niego przeszło ośm tysięcy szlachty.

— Niech im Bóg pomaga!.. Pocieszyłeś mię na starość; może jeszcze doczekam, jak to tałałajstwo będzie zmykać, aż się zakurzy za nimi.

Ostatnie te słowa wypowiedział, kiedy się do bramy zbliżali.

Podjezdek już był na dziedzińcu, brama otwarta, a na ganku stała cała rodzina: matka, pani Czarnecka, Marynia, Jurek, niańka z dzieckiem przy pierśsi. Wszyscy mieli twarze rozradowane, wesole.

Szelepiński, dojeżdżając do ganku, głową przyjaźnie wszystkim kiwał.

Zasępiony był tylko Olszewski.

Odprowadzono konie do stajni, a cała rodzina znalazła się w izbie gościnnej.

Po przywitaniu znowu padło zapytanie:

— Co słyhać?

Nikt jednak nie spieszył z odpowiedzią. Matka i córki przerzucały się niemem spojrzeniem i milczenie owo zrozmiały.

Wtem stary Olszewski podniósł nachmurzoną twarz i spokojnie, ale z uroczystą powagą, powiedział:

— Wojna!

Wyraz ten zrobił ogromne wrażenie. Wywołał on w duszy całej rodziny wszystkie klęski, jakie widmo wojny wlecze za sobą, wszystkie bole, smutki, łzy, wszystkie straty materyalne i zniszczenie moralne. Przeczuwano z kim wojna, chociaż nikt nie śmiał powiedzieć imienia.

Była długa chwila wzruszającej ciszy.

— Z kim? — odezwała się Olszewska.

— Z nimi! — odrzekł Piotr.

Brwi mu się ściągnęły, zacisnęły usta, a na twarzy całej rysowało się uczucie oburzenia i gniewu.

Marynia zbliżyła się do matki, wyciągnęła ramię, na szyi powisała, i głowę schyliwszy na piersi, płakała. Nikt tych łez nie widział — domyślano się tylko, że płacze, ale matka czuła każdą falę powietrza, wydobywającą się z piersi dziecka, tłumioną przez nią i rozbijającą się o drgania jej serca.

Wzruszona, w milczeniu pocałowała tylko włosy Maryni.

Scena ta niema, groźna swoją powagą, spokojem i głębią, wstrząsnęła wszystkich. Imci-pan Szelepiński zrozumiał, co znaczą łzy Maryni, zbliżył się do niej i, nie mówiąc ani słowa, w rękę pocałował z uszanowaniem i miłością.

Olszewski pragnął tę przykrą scenę zakończyć, więc się do żony zwrócił:

— No, moja Imość — rzekł, — niech tam młodzi gruchają, a ty każ dać śniadanie... i jam głodny, i Piotr wyjechał z Koszowatej po grzanem piwie tylko...

Marynia wysunęła rękę z dłoni narzeczonego. Oczy jej się szklily, ale twarz miała spokojną. Nikt nie domyślałby się nawet, że płakała.

Stali oboje przy oknie i rozmawiali.

Szelepiński w krótkich słowach opowiadał narzeczonej, jak rzeczy stały.

Nie zdziwiło jej to, ani przeraziło.

Weszła służąca i na śniadanie zaprosiła.

— Chodźmy! — zakomenderował Olszewski.

Marynia wsunęła rękę swoją pod ramię Piotra.

— Pan pewnie z tatkiem pojedzie... — prawda? — spytała półgłosem.

— Oczywiście.

W tych słowach, wypowiedzianych na pozór spokojnie, była boleść niezgłębiona. Serce ścisnęło się jej tak mocno, że ledwie nie padła na ziemię.

Wiedziała, że pojedzie, nie wiedziała, czy wróci, a jednak nie byłaby śmiała zatrzymać ani ojca, ani narzeczonego bodaj przez jedną chwilę w domu. Jakto? Inni mają życie nieść pod szablę, a on będzie w domu siedział? Nigdy.

Śniadanie jedli wszyscy żwawo, ale w milczeniu. Mężczyźni byli zbyt głodni, kobiety zmartwione wiadomościami, przywiezionymi przez Piotra. Nie umiały sobie jasno zdać sprawy z niebezpieczeństwa, ale je przeczuwały.

Wreszcie głos zabrał Olszewski:

— Powiedźże mi waść, co tam słyhać o hajdamakach? Bo u nas Salomonowi aż się broda trzęsie ze strachu. Przed paru dniami przyjeżdżał tu z karczmy, przestraszony opowiadaniem jakichś żydków, którzy z Kryłowa uciekali.

— O hajdamakach? Bąkają to i owo, ale któżby na hultajów uwagę zwracał? Pełna kordegarda siedzi tego tałajstwa w Humanii... co dnia włóczęgów przyprowadzają dziesiątkami.

— A o ruchach żadnych nie słyhać?

— Nie. Przecież Mładanowicz czaty w stepie

trzyma; gdyby się na coś zносиło, wiedziałyby oczywiście.

— Ma się rozumieć! — zawołał Olszewski z przeświadczeniem. Wataha hajdamacka, to nie byle zajac, który się pod miedzę schować może... Ktośby ją namacał w stepie

Kobiety przysłuchiwały się rozmowie bardzo uważnie.

— Są wprawdzie głuche wieści, że od wierzchowin Ingułów, z pałanek zaporoskich wypadają *charczy*, ale zdaje się więcej w tem przesady, niż prawdy.

Olszewskiemu uwaga ta do przekonania trafiła.

— Otóż to! — zawołał radośnie. — Powiedzże o tem, proszę cię, naszemu Salomonowi i uspokój go.

Po krótkiej chwili, Olszewski badał dalej Szelepińskiego:

— A powiedzże mi waść, jakaż w Humaniu obrona stoi na wypadek, gdyby się, Boże uchroni, chłopstwo porwało do buntu?...

— Tam wszyscy są najlepszej myśli. Mają sześćset załogi, pod wodzą porucznika Lenarta, mają 2,000 kozaków z pułkownikiem Obuchem na czele... i dzielnego setnika Gontę, który sam jeden wystarczy za Obucha i Lenarta... a nienawidzi chłopstwo całą duszą.

— Który to Gonta? Ten ulubieniec Potockiego?

— Ten... Niedawno dostał od dziedzica Huma-

nia wieś Rosuszki dożywociem, a teraz Potocki Osi-
tnę mu podarował.

— Patrz! Cham wyjdzie na szlachcica! Oby
mu to tylko głowy nie zawróciło.

Szelepiński zdawało się, uwagi tej nie słyszał
i ciągnął dalej:

— Wierny, jak pies... tylko strasznie ambitna
sztuka, do szlachty się pcha gwałtem; prawda, że
i łepetynę ma nie byle jaką.

Potem rozmowa zeszła na sprawy domowe.—

Wieczorem zjawił się Salomon. W godzinę
może po przyjeździe Szelepińskiego, już o jego przy-
jeździe wiedział, Grzesia do karczmy zwabił i wy-
egzaminował po swojemu.

Grześ, zachęcony kieliszkiem wódki, za który
nie zapłacił, bo hojny Salomon wytłumaczył mu, że
go częstuje, jako gościa, wyśpiewał z całą naiwno-
ścią, co widział, co słyszał. Salomon więcej przywią-
zywał wagi, niżby się zdawało, do słów i wrażeń
tego niedorostka; uwag jednak swoich w tym wzglę-
dzie nie wypowiadał żadnych. Snać jednak nie we-
sołe natręczały mu się uwagi lub może wątpliwości,
bo jeszcze tego samego wieczora do dworu pojechał.

Olszewski kazał właśnie przypędzić z pola sta-
dninę i wraz z Szelepińskim zajęci byli oglądaniem
i segregowaniem koni, kiedy nadjechał Salomon, bie-
dkę swoją, jak zwykle, za wrotami zostawiwszy.

Pierwszy go zoczył Olszewski.

— Otóż i masz kochanego Salomona — zawo-
łał. — Będziesz musiał zdawać mu relację.

Salomon z daleka spostrzegłszy dziedzica i Szepińskiego, czapkę zdjął i z przesadnym szacunkiem do oglądających konie zbliżał się. Zatrzymawszy się parę kroków przed nimi, jarmużką się pokłonił.

— Proszę wielmożnego dziedzica, a co będzie z tym dachem na karczmie?

— Jakim dachem?

— Nu, przecież wielmożny pan obiecał na wiosnę grzbiet pokryć.

— Więc cóż, ciecze ci na głowę?

— Teraz nie, ale jak deszcz pada, to ciecze. Moja *balabuste* już wszystkie niecki i miski na górze poustawiała. Jak ma się łać, za pozwoleniem, za kołnierz, to niech lepiej do niecek się leje.

Olszewski zniecierpliwionym głosem odrzekł:

— Poczekał trochę, w przyszłym tygodniu każę naprawić.

Salomon ukłonił się.

— Dziękuję. Czekałem więcej, poczekam jeszcze trochę — rzekł z rezygnacją.

Salomon był politykiem nielada. Dach dziurawy, przez który lała mu się woda do izby, nie interesował go wcale w tej chwili; wybrał go tylko za przedmiot obojętny do rozmowy, ażeby tem lepej zamaskować prawdziwą przyczynę odwiedzin.

Przyczyna taka była i żywiej go interesowała, niż dach dziurawy.

Załatwiwszy interes, przyglądał się oględzinom koni — z taką jednak miną, jakby mu na języku

wisiało jakieś pytanie, które gwałtownie powstrzymał.

Wybawił go z kłopotu p. Piotr.

— A wiesz ty, panie arendarzu, że mamy wojnę? — zapytał.

Arendarz wiedział już o tem; brakło mu tylko trochę szczegółów i pewności... na tym punkcie Grześ się plątał. Udał jednak że nie wie o niczem.

— Wojna? Kto? Z kim? — pytał, robiąc umyślnie zdziwioną minę.

— Z Moskwą.

— I król pójdzie i wojsko? — dopytywał się.

— Jużci kiedy wojna, musi być i wojsko; to tylko źle, że musimy przeciwko własnemu królowi walczyć.

Wydało mu się to niezrozumiałem. Zrobił wielkie oczy, wpatrzył się w pana Piotra i zapytał przeciągle:

— Nu-u-u?

Pan Piotr opowiedział mu krótko.

Teraz dopiero Salomon zrozumiał, o co chodzi.

Westchnął głęboko.

— Niestety! — szepnął.

Na to mu Olszewski jak z noża:

— Dureń jesteś! Wojna szlachecka rzecz, karczma... żydowska. Kiedy się nie znasz na czem, to nie gadaj.

Salomona mocno zdekongertowała ta uwaga. On wojnę rozumiał po swojemu.

— Zawsze to, proszę wielmożneg odziedzica, wojna — zaprotestował nieśmiało.

— Naturalnie, że... wojna! — krzyknął Olszewski, — ale w obronie wolności; rozumiesz kpie?

Arendarz bronił swego punktu widzenia.

— Nam wszystko jedno! Nas zawsze biją. Przyjdą tamci... drą skórę, przyjdą Polaki... także nie pożałują...

Pomyślał chwilkę i dodał:

— Przyjdą charczyzy... i oni krwi żydowskiej utoczą...

Olszewski niecierpliwie do Piotra się zwrócił:

— No, patrz jemu hajdamaki w głowie!

Szelepiński zaśmiał się.

— Pewnie tych się boisz, którzy w kordegardzie humańskiej siedzą... co?

— Póki siedzą, to się ich i *dzecko*, za pozwoleniem, nie boi... ale ja słyszę, że hajdamaków w *tiurmie* więcej niż wojaków, kórzy ich pilnują... Nu?

Tu znaczący ruch głową w kierunku teścia i zięcia zrobił.

— Jak do nich przyjdą inni... czy to taka wielka rzecz przez częstokół przekoczyć?

— Wiedźże jeszcze i o tem mości arendarzu— mówił Szelepiński — że jest dwa tysiące kozaków, którzy nie pozwolą chłopom zbliżyć się do miasta.

Salomon ręką skinął lekceważąco.

— Kozaki pójdą do swoich, jak co do czego przyjdzie, a stu panów nie zatrzyma dwóch tysięcy muzyków.

— A harmaty?

— Kto wie... może nie będzie czasu strzelać...

Olszewski poczerwieniał, brwi ściągnął i ostre spojrzenie zwróciwszy do Żyda, rzekł, nogą tupnąwszy:

— Durniu stary! Ruszaj! pilnuj gorzałki... tam twoja rzecz.

Salomon próbował ekskuzować się, tłumaczyć, ale Olszewski zagniewany, tyłem się do niego zwrócił i kazał sobie konie przeprowadzać stajennemu.

Tak niefortunnie zakończyła się wizyta arendarza.

V.

Wojna... to wojna! Olszewski należał do tej szlachty kresowej, która przed wojną nie uciekała nigdy, a ojczyznę kochała nie tylko dla tego, że posiadała w tej ojczyźnie liczne wsie i dochody. Miał dla niej taką miłość, jaką się ma dla matki, która nam daje życie, ogrzewa, karmi, żywi, kocha... Każdą krzywdę jej wyrządzoną uważał za własną i bronić jej był gotów zawsze, nie troszcząc się o to, czy w walce zwycięży, czy polegnie. Życie tam ważył, gdzie o niego chodziło — gdzie o wszystkich... nigdy.

Wiadomość o wojnie zdecydowała go od razu,

bez wahań, bez namysłu, bez zachęty. Czuł, że mu głos wewnętrzny szepce: trzeba iść... Słuchał tego głosu... było to sumienie obywatelskie, które do niego przemawiało.

Potrzebował jednak rozpatrzyć się w sytuacji. Pchnął tedy na wywiady doświadczonego pisarza prowentowego do Winnicy, ażeby tam pewniejszych wiadomości zasięgnął o ruchach wojsk rosyjskich i konfederackich, dał mu listy polecające do rodziny swojej, w tamtych stronach zamieszkałej, nakazał rozpatrzyć się i co rychlej wracać.

Posłem tym był Imci-pan Hryhor Bołsunowski. Odwiedził on Winnicę, Machnówkę, Berdyczów, zawadził o Latyczów i Lityn, a do Olszewskiego przekazywał tylko, gdzie się znajduje, aż dopóki nie zjawił się po paru tygodniach wędrówki w Janówce; oczekiwano powrotu jego niecierpliwie, ażeby do szeregów się zaciągnąć.

Tymczasem zaszedł wypadek inny, który całą okolicę na koń wsadził prędej, niż się spodziewano.

Imci-pan Bołsunowski wracał konno wieczorem z sąsiedztwa do Janówki, gdy go uderzył i zastanowił niezwykły widok.

Na tle szerokiego, zielonego stepu, widział z daleka orszak jakiś wielki, oświetlony szerokimi smugami zachodzącego słońca. Z początku wpadł na domysł, czy to nie jaka wataha hajdamacka? Rychło się jednak z tego błędu oczyścił, — gdyby to był oddział zbrojny, dostrzegłby zapewne z daleka... bodaj błysk spis, posłyszał jaki brzęk broni. Nic podobnego

nie było. Dziwiło go to tedy niezmiernie — tembardziej, że stepem rozlegał się śpiew ponury, smutny, jednostajny, którego na razie rozpoznać nie mógł, bo tylko pojedyncze dźwięki i echa łowił. Wyglądała owa spora kupa na orszak pielgrzymów, zdążających drogą do Janówki. Głowę sobie łamał, coby to być mogło? Wiedział przecie, że w okolicy Bohusławia i Janówki nie było żadnego cudownego obrazu.

Przyspieszył tedy kroku i z tyłu zbliżał się do owego orszaku. Dojeżdżając do niego widział, że tłum pieszy i konny, pomieszany razem, kupił się koło wozu, na którym mnich potężny siedział, w rękę trzymał krzyż drewniany, czarno malowany i psalm śpiewał, powtarzany przez usta otaczających go ludzi.

Imci-pan Bołsunowski do wrażeń nie był skory, a jednak obraz, który się przed nim roztaczał, głęboko go za serce szarpnął. Owe psalmy pokutne, których echo rozlegało się żałośnie po stepie, napełniało go mimowolnie skruchą, żalobą i pokorą.

Zbliżając się tedy do owego dziwnego orszaku, ściągnął z głowy rogatywkę i na pół nabożnie, na pół ciekawie, przypatrywać się począł.

Śpiew ustał nareszcie.

Imci-pan Bołsunowski podjechał do jednego z tych, którzy ów orszak składali. Był to szlachetka zagonowy, w szarym konopnym kitlu, krojem żupana uszytym, opasanym rzemiennym paskiem, na którym wisiała szablę, krótko podpięta, ażeby mu do chodu nie przeszkadzała. Szlachetka podążał za orszakiem, ociążałym nieco, zmęczonym krokiem.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!
Szlachcic obejrzał się po za siebie z miną zdziwioną nieco.

— Na wieki wieków — odrzekł spokojnie...
i szedł dalej.

Nie miał widocznie ochoty do zawiązania rozmowy.

Bołsunowski przechylił się z konia do samego ucha szlachcica i półgłosem spytał:

— A co to za ksiądz?

Szlachcic znowu pełne podziwu spojrzenie na twarzy pytającego zatrzymał, ale tonem spokojnym odpowiedział:

— Ksiądz Marek.

Odpowiedź ta nie zadowoliła Imci-pana Bołsunowskiego. Imię księdza nic mu nie mówiło.

— Dokądże to dążycie?

— Do Janówki... na nocleg do Imci-pana Olszewskiego.

Zdziwiło go to niepomątu, ale że do Janówki niewięcej było może, jak wiorsta, postanowił jechać wraz z orszakami.

Opanowało go wkrótce jeszcze większe zdziwienie, gdy ujechawszy małą staję, spostrzegł zdążający ku nim inny tłum, od dworu janowieckiego idący.

Na czele jego szedł Olszewski z rodziną całą i domownikami. Widocznie ktoś z orszaku księdza Marka już go o wszystkim uprzedził. Imci pan Bołsunowski chciał zrazu przodem się wyrwać ku Olszewskiemu, ale zmiarkował się i został.

Przypomniął sobie, że o pokrewieństwie księdza Marka z Olszewskim słyszał ale z tego, co widział, sprawy sobie zdać nie potrafił.

Postanowił tedy czekać rozwiązania zagadki, na jaką patrzył.

Kiedy orszak Olszewskiego na kilkadziesiąt kroków do ks. Marka się zbliżył, ksiądz z siedzenia się podniósł, sam wziął kropielnicę w jedną rękę, kropił w drugą, i naprzód się wysunął. Za nim szlachcic jakiś niósł ów czarny krzyż, który Imci-pana Bołsunowskiego tak zdziwił i zastanowił.

Szlachta, konno towarzysząca ks. Markowi, z koni zsiadła i wiodąc je za trzęzle, szła pieszo, a na jej czele ksiądz.

Powitanie było niezwykle: ponure, poważne, uroczyste.

Ks. Marek ku rodzinie Olszewskich zbliżywszy się, pokropił naprzód ich, potem wszystkich wodą święconą, i znak krzyża kropidłem na cztery świata strony zrobił.

Potem, jakby na komendę, przy owym czarnym krzyżu wszyscy uklękli, zaś ks. Marek zaintonował:

— Kto się w opiekę poda Panu swemu...

Po ukończeniu pieśni dopiero nastąpiło przywitanie i krótka rozmowa z Imci panem Olszewskim, który po tej rozmowie do orszaku ks. Marka się zwrócił i donośnym głosem zawołał:

— Mości panowie! Uprzejmie proszę miłośliwych panów i braci przyjąć u mnie spoczynek i pożywienie. Co Bóg dał... tem się podzielimy.

Kilkadziesiąt głosów huknęło:

— Bóg zapłać! Dziękujemy!

— Dziękuję panom braciom, żeście nie pogardzili!

Orszak powoli do dworu janowickiego podążył.

Ks. Marek potwierdził wiadomości, obiegające o zawiązaniu się konfederacyi Barskiej, szeroko opowiadał o wielkich zamiarach konfederacyi, o wielkich nadziejach. Otucha wstąpiła w słuchających.

Wszyscy kolejną powtarzali:

— Chwała Bogu! Chwała Bogu!

Po pierwszej wymianie myśli co do konfederacyi, Olszewski zapytał wreszcie ks. Marka:

— Powiedzże mi, ojczy, dokąd ty teraz dążysz? co robisz?

Ks. Marek gorączkowym, urywanym głosem odpowiadał:

— Co robię? Co robię? Co mi Bóg kazał! Co ojczyzna każe!... Chodzę od wsi do wsi i spędzam ludzi do obrony ojczyzny... Jak tylko kupka się zbierze, zaraz jednych posyłam do Baru, innych do Berdyczowa.... Trzeba się dobrze bronić, o trzeba... bo to wojna nie z Tatarzynem, co to stuknie, huknie, porwie tam człowieka, ówdzie konia i ucieka.

Uwagi te utwierdziły jeszcze bardziej Olszewskiego, że i on z założonemi rękoma siedzieć nie może.

— A cóż tu u was słyhać? — zapytał ks. Marek. — Ludzie to i owo bąkają...

— Popłoch wielki... Mówią, że coś się rusza od Czehrynia, od Taśminy, od Sinej wody...

Ks. Marek zamyślił się.

— Cóż to może być przecie? — zapytał. — Znacie swój kraj, swoich ludzi...

— Zdaje się, że to są zwyczajne najazdy robójków od stepów tatarskich, od strony Moskwy... Co roku tu węszą... Charcyzami ich poprostu Tatarzy nazywają. Ażeby się jednak na większy ruch ludowy zanośli... wątpię. Lud nasz rusza się dopiero wtedy, gdy go wielkimi obietnicami bałamuca... a teraz o tem nie słyhać, przynajmniej my nic nie wiemy.

Słowa te, zdawało się, uspokoiły ks. Marka.

Ks. Marek, zajęty swoją misją, jednania obrońców konfederacyi barskiej, którą uważał za sprawę narodową pierwszorzędną wagi, przenocował tylko w Janówce, a nazajutrz rano miał się puścić w dalszą drogę.

Jeszcze świt nie szarzał na niebie, kiedy ks. Marek ze swoim orszakem w dalszą szykował się drogę. Dążył do Bohusławia, skąd sformowany już oddział szlachty miał wyprawić na Podole.

Pilno mu było. Więc gorączkowym ruchem znak krzyża nad głowami rodziny i domowników zrobił, a z wózka odezwał się do Olszewskiego, palec do góry podnosząc:

— A nie ociągaj się... Ruszaj rychło... Za ojczyznę nie można wojować językiem!

Krótki pobyt ks. Marka w Janówce wyjaśnił sytuację.

Na całej linii wojsk rosyjskich, między Barem a Berdyczowem, aż o Dniestr opierając się, silną pozycję zajęli konfederaci. Obsadzili Bar, Zińków, Berdyczów, gromadzili szlachtę, organizowali oddziały, skupiali amunicję i sposobili się do obrony wielkiej i uporczywej. Bar i Berdyczów ufortyfikowali. W Berdyczowie młody Pułaski zgromadził ogromne zapasy amunicyi i prowizyi.

Jenerałowie Kreczetnikow i Apraksyn zajęli stanowisko wyczekujące. Czekali rozkazów od Repnina, a Repnin na instrukcyę z Petersburga oczekiwał.

Stanisław August, zaniepokojony tą nową opozycją przeciw niemu szlachty kresowej, niecierpliwił się, naradzał się, temporyzował, czekał, aż przyjdą do niego Pułascy i Krasińscy z przeprosinami, a potem wszyscy razem udadzą się na przeprosiny do Repnina, i za jego łaskawem pośrednictwem, prosić będą Najjaśniejszej carowej, ażeby broniła w Polsce wolności—swawoli. Tymczasem nikt się z przeprosinami nie zjawiał, a natomiast dochodziły pogłoski bardzo niepokojące. Mokronowski, wysłany do Barzan w celu skłonienia ich do uległości królowi, nic nie wskórał, więc też Stanisław August odwołał Mokronowskiego, a zamówił natomiast sobie pomoc rosyjską.

Jenerał Weisman uganiał się niezbyt pomyślnie za podczaszym litewskim Joachimem Potockim, a w pomoc jemu podążył już przyjaciel króla, Ksawery Branicki, ażeby nową kampanię przeciwko

konfederatom wspólnie z Apraksynem rozpocząć. Ruszył na Lublin, Zamość, Tomaszów, do Śniatynia, a porozumiawszy się z generałem, mieli działać razem. Tymczasem obiegały pogłoski, że Branicki na Bar idzie.

Wszystko to pozwalało przypuszczać, że koło Baru skoncentruje się akcja obydwóch stron. Naraz licha podolska miescina nabrała ogromnej popularności i rozgłosu. Szlachta zbroiła się gorączkowo, wsiadała na koń i w tamtą stronę dążyła. Wszyscy oburzeni byli do najwyższego stopnia słabością rządu. Żądano poprawy wewnętrznych stosunków, ale bez pomocy i udziału obcego mocarstwa.

Wielkopolska i Małopolska nie umiały sobie wyjaśnić należycie sytuacji, Rosya obsaczyła przede wszystkim Wołyń, Ukrainę i Podole, bo tam miała doskonały grunt do agitacji, miała chętnych słuchaczy wśród ciemnych mas ludu wiejskiego, miała łatwy i tani furaz, który zdobywała wśród zamożnej szlachty, a oszczędzała wielkich panów — Potockich, Rzewuskich, Czartoryskich, jako sprzymierzeńców carowej.

Szlachta kresowego społeczeństwa, związawszy się w konfederację, postanowiła bronić się do ostateczności. Głębokie przeświadczenie o potrzebie obrony, wywołało niebywały ruch między szlachtą kresową; wszystko co żyło, porwało się do broni z niesłychanym entuzjazmem ofiarnością i wiarą w prawość tego orężnego protestu.

Taką opinię podzielał Olszewski, nie inaczej myślał Szelepiński — i tysiąc innych, — nie też dzi-

wnego, że obydwaj, na pierwszy odgłos o podjętej przez szlachtę walce, zdecydowali się stanąć w tych samych szeregach, na czele których walczyli Pułascy. Decyzja ta jeszcze ściślej spoiła życzliwością i przyjaźnią rodzinę przyszłego teścia z Imć-panem Szelepińskim.

Imć pan Szelepiński należał niegdyś do partyi ukraińskiej, której regimentował Woronicz, gdzie był zwykłym towarzyszem pancernym. Wyrastkiem przybył na kresy z Litwy, tu służył, tu borykał się z Tatarami i hajdamactwem, zżył się z krajem, pokochał go — a teraz zamierzał ożenić się i na własnym kawałku ziemi osiąść.

Więść o zawiązaniu się konfederacyi barskiej stanęła mu na przeszkodzie. Apraksyn, Weisman, Kreczetnikow, pod pozorem zbliżającej się wojny z Turcyą, rozłokowywali się na najmocniejszych posterunkach i jak gdyby czekali na rozkaz rozpoczęcia akcji.

Na dworze janowieckim zawrzała tedy gorączkowa robota — przygotowania do wymarszu pod Bar. Reperowano siodła, ostrzono zardzewiałe pałasze, lano kule, robiono naboje, a cały dom, a raczej żeńska jego połowa, zajęta była przygotowaniem szarpij i bandaży, bo każdy musiał myśleć o sobie.

Imć-pan Bołsunowski, bojar ze szlachty okolicznej owruckiej, który również jak i Imć-pan Szelepiński, za chlebem na kresy przywędrował i dorabiał go się przy roli, z gorączkowym pośpiechem, przy po-

mocy chłopców stajennych, ujeżdżał konie i cały tabor zaopatrywał w zapasy.

Owo przygotowanie się do walki z nieprzyjacielem groźnym i potężnym, do walki, której potrzebę uznawali wszyscy, chociaż niewiadomo było, czem się ona zakończy — w całym domu wywołało nastrój posępny i poważny. Znać było po wszystkich pewne skupienie myśli i ducha. Mało mówiono ze sobą. Uczucia nie ujawniały się na zewnątrz ale chowały się głęboko, jakby umyślnie dlatego, ażeby nie odbierać odwagi i siły, tak dzisiaj potrzebnej wszystkim. Kiedyniekiedy tylko, wśród powszechnej pracy, zamyślenia, podnosiły się czyjeś oczy i w milczeniu zatrzymywały się na twarzach osób ukochanych, jakby pragnęły napatrzeć się, zapamiętać dobrze wszystkie szczegóły rysów... Rzadko jednak kto się odzywał. Zdawałoby się, że rozmowa przeszkadza pracy. Kiedy jednak noc nadchodziła—ciemna, cicha, spokojna, wtenczas oczy, zapatrzone w ciemności, widziały tyśiące obrazów, wysnutych własną myślą, własnem, głęboko, niby w więzieniu, schowanem uczuciem.

Im bardziej zbliżała się chwila wyjazdu, tem ciężar, przygniatający ducha, zdawał się być większym, cięższym, tem gniół silniej.

Jeden wyraz: „wojna“, rzucony w grono spokojnej dotychczas rodziny, był ową głównią, którą ktoś przypadkiem ciska na strzechę słomianą w skwarze południa: wybucha pożar, a niewiadomo, jakie koło zajmie, czyj dom ogarnie, kogo przyprawi o ruinę i nieszczęście. Wiadomość ta w Janówce

skrzyżowała wszystkie plany. Pani Czarnecka z dziećmi miała jechać do męża — czekała tylko wiosny i poprawy dróg. Podróż miała przed sobą daleką, bo aż pod Kowel, — jakże mogła teraz podróżować w tę stronę, kiedy po drodze gospodarował Kreczetnikow i Apraksyn? Wojna oddzieliła ją od męża, od domu własnego, od własnego kawałka ziemi, na którym mąż gospodarzył. Zdecydowała się więc zostać w Janówce wraz z matką i na wiadomość od męża czekać. Marynia za kilka dni stanąć miała przed ołtarzem, — teraz, w chwili smutnej, kiedy się rozpoczęła walka, nie czas było na wesele. Naród zrywał się do broni, potrzebował silnych rąk i piersi do obrony — czyż miała piersi te i ręce włożyć w uścisku swoim? Olszewski rzucał dom cały, gospodarstwo, kładł na szalę pracę całego życia, własne swoje szczęście i spokój, a szedł tam, gdzie go wołała powinność, chociaż siódmy krzyżyk na grzbiecie dźwigał. Nie było jednak narzekań, skarg, lamentacyj. Wszyscy czuli i rozumieli, że po nad własnym szczęściem stać musi szczęście i całość ojczyzny, że ten tylko naród wielkim być może, który o wielkości ojczyzny myśli i dla niej pracuje.

Nadeszła wreszcie chwila wyjazdu. Wyładowano trzy wozy prowiantem i bronią, dwa sianem i owsem, konie okute i podkarmione rżały i niecierpliwiły się przy żłobie.

W niedzielę cała rodzina, zgromadzona w Bohusławiu, wysłuchała Mszy Świętej, na intencję pomyślnej wojny i szczęśliwego powrotu. Pokazało się, że

nietylko Olszewski wybierał się do Baru. Na Mszy Świętej zaroilo się szlachtą, wybierającą się z pomocą Barzanom i Pułaskim, i odrazu omówiono wspólną wyprawę. Przypadło to do gustu kobietom, radym z towarzystwa znajomych panów braci, i mężczyzn, którzy woleli trzymać się kupy, chociażby na wypadek spotkania się z podjazdem którego z jenerałów.

Z kościoła Olszewski, Imci-pan Piotr, pan Hryhor Bołsunowski, a nawet Jurek, wracali konno; kobiety w kolasie. Imci-pan Szelepiński asystował od strony Maryni, ciągle się do niej przechylał, miną nadrabiał, próbował śmiać się i bawić niewiasty... ale wszystkim było nie do wesołości. Uśmiechała się wprawdzie Imci-pani Olszewska, żartowała Czarnecka, żartowała Marynia — wszystko to jeno było udaniem. Ile razy Imci-pan Piotr od kolasy się oddalił, zasepiał się, brwi zsuwał i niecierpliwie wąsy sobie podkręcał. Wojenka dobra rzecz — myślał sobie, — często i potrzebna, ale nie wtedy właśnie, kiedy mu Hymen za kołnierzem już siedział, a na końcu karabeli furczały skrzydła Amora. Głupia to sprawa, a jednak wyjścia nie było innego... pójść jeno, a potem dopiero wracać po szczęście do domu. Szczęście!.. uśmiechał się sam do siebie na dźwięk tego wyrazu, przez niego tylko słyszany, wierzył w nie, ale mu duch stepowy z wiatrem szeptał do ucha:

— Głupiś... Szczęście... to pragnienie twoje, to kawał pajęczyny, złocący się do słońca, a zawieszony na gałęzi drzewnej. Wiatr wionie, zerwie ją i Bóg wie gdzie uniesie...

Takie szczęście ludzkie.

Nazajutrz, dobrze jeszcze przed świtem, na folwarku ruch się zrobił. Imci-pan Bołsunowski rej tu wodził. Część służby zajęta była zaprzężaniem koni do wozów, stajenni chłopcy czyścili wierzchowych. Nawoływania, krzyki, dźwięk zgrzebeł, miarowe ruchy szczotek, wszystko to mieszało się w jeden ton gorączkowy, w jeden jakiś akord urwany, ostry, szybki.

W pół godziny potem, ledwie świt szarzeć począł, zaskrzypiały wozy i tabor ruszył powoli drogą do Bohusławia. Po dziedzińcu tylko czeladź stajenna przeprowadzała osiodłane konie, a na ganku stał Imci-pan Hryhor Bołsunowski, w burce na ramiona zarzuconej, z pod której wychylały się głowice pistoletów, dobrze w dźwirowane żelazo okute i połyskiwał matowy blask rękojeści pałasza. Stał i niespokojnym okiem po spacerujących koniach wodził.

Niecierpliwił się widocznie.

Tymczasem we dworze wszyscy byli już także na nogach. Stary Olszewski po wielkiej swojej izbie sypialnej chodził, głośno odmawiał pacierze, a równocześnie pas rzemienny przepasywał, zdejmował po kolei pistolety ze ściany, gdzie na makatce nad łożem wisiały, oglądał starannie, prochu na panewki podsypywał, skałki dopasowywał i w olstry zakładał. Skończywszy tę czynność, zdjął szablę z tej samej wzorzystej makaty, na której i pistolety wisiały, z pochwy wyciągnął, oliwą wysmarował, wsunął i na stole położył. Wszystko to robił powolnie, ostrożnie, z pewnem zastanowieniem i spokojem, po izbie chodząc. Kroki

jego, co chwila, krzyżowały się z krokami Imci-pana Szelepińskiego, który w milczeniu te same czynności, co i Olszewski, wykonywał.

Z daleka, z pokojów w głębi, dolatywał tylko szmer jakiś, echa głosów ludzkich; czasem brzęk talerzy i szkła rozlegał się głucho.

Olszewski zatrzymał się przed Imci-panem Szelepińskim, który na ładownicy, przymocowanej paskiem do boku, przypasowywał rożek z prochem i, zdawało się, że robotą tą był bardzo zajęty.

— No, Mości zięciu — odezwał się, — czas w drogę.

— Czas... Konie czekają.

— Chodźmy, niech nam dadzą polewki i... w drogę.

Mówiąc to, ku drzwiom posunął.

Znaleźli się w obszernej izbie jadalnej. Nakrycie czekało na wszystkich. Za chwilę weszła Olszewska, za nią Czarnecka i Marynia. Oddano sobie dzień dobry, jak gdyby jutro znowu na tem miejscu wszyscy zejść się mieli—i do polewki winnej zasiedli. Nie było mowy o odjeździe, o wojnie, o niebezpieczeństwie. Jedli wszyscy z apetytem, z rzadka rzucając słowa, w niczem ni zdradzające smutnego pożegnania i dalekiej podróży. Podróż owa była powinnością, pełniono więc ją spokojnie, z rezygnacją, bez narzekań.

Nie widać było łez, ale czuć je było na dnie duszy i tych, co jadą, i tych, co na miejscu zostają.

Na dworze rżały niecierpliwie konie, skomlały

charty, kręcąc się przy nogach stajennych i łudząc się nadzieją polowania, piał zawzięcie koguty — a wszystko to zlewało się w głos jeden, w harmonię, pełną niepokoju i wrzawy.

Już się rozwidniło na dobre.

Od stołu wstał najprzód Olszewski, za nim reszta rodziny.

Stary miał minę marsowatą, posępną, ale udawał spokojnego i nadrabiał słowami.

Pogładził brodę prawą dłonią, wielki palec lewej ręki za pas założył, a resztą po ładownicy bębnił. Podniósł głowę i spojrzenie na twarzy żony zatrzymał.

— No, moja Imość — rzekł, siląc się na spokój, chociaż mu głos drżał nieco, — komu w drogę, temu czas.

Zbliżył się do żony i ramiona ku niej wyciągnął. Pożegnali się. Z jednej strony na uboczu stał Szelepiński, z drugiej Czarnecka, Marynia i dzieci. Niemy uścisk trwał dłużej niż zwykle. Nie było tu szlochów, skarg, narzekań, łez. Starzy umieli panować nad sobą. Tylko młodsza generacya nie potrafiła się pohamować, i niewiasty, na uboczu stojąc, oczy miały zasłonięte chustkami; nie patrzyły na pożegnanie rodziców, nie słychać było głośnego łkania, tylko podnoszenie się piersi i ruchy rąk świadczyły, że łzy tłumiły. W kącie beczał Jurek.

Olszewski, pożegnawszy się z żoną, ku niemu groźnie się zwrócił.

— Jurek! cóż to za beki! Wiedz o tem, że za-

stępujesz tu miejsce ojca... Od dnia dzisiejszego nie jesteś już dzieckiem

Jurek łyzy gwałtownie rękawem otarł — tylko mu jeszcze ciemne smugi na twarzy zostały, do ojca poskoczył i klękawszy przed nim na kolana, nogi mu ścisnąć i całować począł.

Olszewski schylił się, za głowę go ujął, podniósł i, ująwszy w ramiona, w czoło pocałował.

Naraz łyzy znikły — zdawało się, że wstyd było płakać.

Pożegnanie z resztą rodzeństwa następowało spokojnie; każdy zdawał się oddech wstrzymywać, ażeby płaczem nie wybuchnąć.

Imć pan Szelepiński w milczeniu rękę Maryni pocałował.

Wzruszenie nie pozwalało im mówić.

— Niechże pan wraca... — zaczęła nieśmiało.

Głos jej łamał się i drżał. Podniosła głowę i w oczy mu spojrzała.

— Po zwycięstwie... — dodała.

Ścisnął jej rękę, schylił się, pocałował.

— Wróć.. wróć z pewnością.

— Wszystko w ręku Boga — odezwała się Olszewska. — Pamiętaj pan jednak, że już należysz do naszej rodziny.

Smutne przeczucie tknęło go. Nie mógł mu się oprzeć.

— Dziękuję... Bóg wam zapłacić, żeście przygarnęli samotnika do siebie. Jeśli Bóg przeznaczył mi

zginąć w obronie ojczyzny, pozwólcie, niech przynajmniej moje kości na waszej ziemi spoczną.

Słowa te ukłóły wszystkich w serce.

— No, mażesz się Mocium-panie — zawołał Olszewski rubasznie, ażeby zatrzeć przykre wrażenie.— Co Bóg da, to będzie. Ruszajmy!

Na ganek posunął, a za nim wszyscy.

Cała rodzina stanęła pod białymi kolumnami dworu. Podano konia Olszewskiemu.

— Jurek... przynieś-no szablę — rzekł ojciec.

Po chwili wracał Jurek, szablą pobrzękując.

Wzięła mu ją z rąk matka i sama przypasała ojcu.

— Niech ci służy na obronę wiary i ojczyzny...

Olszewski czuł się głęboko wzruszonym; nie dał jednak tego po sobie poznać, ażeby innym nie odbierać ducha. W milczeniu tylko schylił się, w rękę żonę pocałował i krzyknął głośno:

— Dawaj konia!

Skoczył rzeźwo i na bok odjechał.

Imć-pan Szelepiński stał na uboczu z Marynią. Coś szeptali ze sobą. Wtem koń grzebać począł przed gankiem. Było to wezwanie żołnierskie. Więc jak długi buchnął do nóg dziewczynie.

Marynia medalik częstochwski na szyi mu zawiesiła.

— Niech to pan nosi — rzekła ledwie dosłyszalnym głosem — i o mnie pamięta.

— Chyba zginę!

Porwał się na równe nogi i, nie patrząc na niko-

go, na konia wskoczył. Po nim to samo zrobił Imć-pan Hryhor, dwóch kozaków i ledwie ćwierć Zdrowaś mi-nęło, wszyscy już byli za bramą.

Niewiasty i dzieci stały na ganku. Spojrzenia wszystkich długo w milczeniu śledziły orszak, oddalający się od dworu. Długo i daleko było go widać na zielonej płaszczyźnie stepowej, aż rozplynął się wreszcie we mgle poranka.

Stara Olszewska otarła łzę z oka.

— Niech im Bóg pomaga zwyciężyć!

VI.

Kudacka pałanka Siczy Zaporoskiej biegiem Taśminy prawie graniczyła z Rzeczpospolitą. Mówię „prawie“ — bo ścisłych granic ani Sicz ani Najjaśniejsza Rpta nie potrafiłyby oznaczyć. Póki płynęła rzeka, póty jeszcze pół biedy było z granicami, ale w dzikim stepie niepodobna było oznaczyć ściśle punktów stycznych. Wiedziano, że tam jest Polszcza, a tu — Sicz. I to wystarczało.

Zaporoże przebywało teraz okres wewnętrznego trawienia się. Traciło coraz bardziej cel walki, bo Turków i Tatarów osłabiła Rosya, a więc i racya istnienia jego stawała się sama przez się nielogiczną. Środek ciężkości istnienia przesuwał się w inną stro-

nę: z zakonu wojennego, mającego na celu walkę ze światem muzułmańskim i niewiernymi, podobnego wielce w ustroju wewnętrznym do Templaryuszów, Kawalerów Maltańskich, Krzyżaków i innych, musieli się przeobrazić w państwo polityczne. Powoli, nieświadomie nawet, dążenie do takiego przeobrażenia ujawniało się niejednokrotnie, szczególnie od chwili, kiedy Mazepa pozyskał dzielnego sprzymierzeńca w atamanie kozowym, Kosti Hordijence. Wówczas dopiero przypominano sobie prawa polityczne, posiadane od Rzptej, które łączyły z jej organizmem Ruś całą i Zaporozże, jako jej reprezentanta. Ale już było za późno.

W roku pańskim 1768, atamanem kozowym był Piotr Kalniszewski. Wewnątrz Siczy rozpoczynała się dezorganizacya wojskowa: kozacy porzucali kurenie, żenili się i osiadali, nie jak dawniej tylko w Protowczańskiej i Oreńskiej pałance, ale bliżej Rzeczypospolitej, w pałankach Kudackiej i Bohogardowej. Dom, rodzina, gospodarstwo pozwalały im łatwo zapomnieć o szabli i samopale.

Poddaństwo zaczęło brać wszędzie górę. Wolność kozacka stała się frazesem tylko, którym posługiwano się w kancelaryach hetmańskiej i pułkowych, i w korespondencyach z „kolegią małorosyjską“. Faktycznie domy kozackie przeznaczano pod żołnierskie „postoje“, ściągano podatki z rejestrowych i „*pod-susiedków*“, czyli ich zastępców i pomocników, a ludność wiejska, przeciążona podatkami, pracą, maltretowana przez nowowytwarzającą się klasę „boja-

rów“ i „pomieszczyków“ hurmem uciekała w granice Rzeczypospolitej. Z nędzy bez jutra, rzucała się na grabieże i rozboje, uboga i poniewierana dziś, bez żadnej nadziei na przyszłość. Z konieczności stawiała się matryałem zapalnym dla innych, bronią w rękę rozmaitych awanturników.

Nie od roku i dwóch, lecz od pół wieku przeszło, nienormalne stosunki w głębi Hetmańszczyzny, wyrzucały, jak fale morskie, na brzeg Rzeczypospolitej wszystkie męty społeczne, wszystką nędzę swoją.

Ujścia, jak dawniej, ani dla zbytku sił, ani dla żywiołów niespokojnych i burzliwych, nie było, bo Tatarowie cofali się coraz bardziej w głąb kraju i zamykali się w Krymie, myśląc, że tam znajdą bezpieczeństwo i spokój; Sicz spała, gnuśniała, trupieiała i nikt tam nie marzył o tem, ażeby na czajkach dopłynąć do Anatolii i w Carogrodzie nastraszyć sułtana.

Te kupy więc coraz większe, włóczące się po kraju, nie mające ani jutra, ani domu, ani spokoju, coraz bardziej z rozbójnictwa robiły rzemiosło, wzajemnie się zachęcały i podniecały do grabieży, która stawała się jedynym celem życia takich włóczęgów. Chowali się oni przez zimę po czaharach i jarach, jak wilcy, po zimowikach siczowych, a z wczesną wiosną zbierali się znowu w kupy dla grabieży i rozbójnictwa, a zawsze się znalazł ktoś, kto tę kupę niesforną wziął za łeb i gdzie chciał, poprowadził.

Lasy Motroneńskie, otaczające monaster, a ciągnące się daleko na południe, aż za Taśminę, wciskały się głęboko w pałankę Kudacką; jako więc doskonały,

bo naturalny, łącznik z Siczą, nadawały się wybornie za punkt zborny dla nowoorganizującej się watahy.

Taką watahę właśnie zbierali Maksym Żeleźninak i Szełest.

Obaj oni służywali niegdyś na Zaporozżu, mieli tam rozmaite stosunki i znajomości, a wobec ciemnej i głupiej czerni, zasłaniali się ciągle powagą Niżu i owemi stosunkami. W gruncie rzeczy po pałankach i zimowikach zaporozkich, wysłańcy ich zgromadzali rozmaitych włóczęgów i obieżyświatów, obiecując im na wiosnę — „robotę“.

Ledwie tedy wiosna strzeliła do góry pierwsze-
mi źdźbłami zielonej trawy, Maksym wysłał Szełesta na Sicz do Kalniszewskiego, czy się nie uda zachęcić i przychylić na swoją stronę Zaporozców, a sam wyjechał w objazd najbliższych, Kudackiej i Bohogardowej, pałanek, ażeby się przekonać osobiście, ile się po zimowikach zebrało ludzi, a tych, co się zebrali, na rozmaite punkty porozsyłać.

Podróż tę odbywał z Bandurką, który stał się ulubieńcem watażki, i z dwoma kozakami. Pokręciwszy się tu i owdzie, do domu wracali.

Już tylko dzień drogi mieli do Medwedówki, kiedy zmęczone konie na gwałt potrzebowały odpoczynku.

— Ojcie atamanie — odezwał się Bandurka — trzeba podnocować, bo czort konie weźmie.

A noc już się zbliżała.

Jechali szczerym stepem, zielonym, świeżym. Wiatr niósł na nich rosę wieczorną i zapach młodej trawy.

Maksym rozglądał się po okolicy.

Nigdzie nie było ani drzewa, ani mogiły, ani śladu żadnego. Jechali, zdawało się, bez celu i bez drogi. Słysząc tylko wśród ciszy wieczornej prychnanie koni kozackich.

— Hm... — mruknął Maksym — tu gdzieś musi być i pasieka Sudijenka.

Nikt mu nie odpowiedział, chociaż nazwisko to znali wszyscy.

— U niego podnocujemy... a jutro z południa staniemy w monasterze.

Jechali dalej wśród ciszy.

Nagle Danyłko na strzemionach wspiął się i w jakiś punkt na horyzoncie wpatrywać się począł.

— Zdaje się... bajrak widać...

Migotał wprawdzie na horyzoncie jakiś ciemny punkt, ale czy to chmura, czy las — trudno było rozpoznać.

Więc znowu w milczeniu jechali dobrą chwilę.

— Bajrak... — zawyrokował Maksym — chwala Bogu... tu i pasieka diad'ka...

— Sudijenka... — wtrącił Danyłko, myśląc, że się ataman myli.

— Eheż...

— Bogu dzięki niedaleko, a konie ledwie dybią.

— Dodybią.

Tymczasem noc zapadła głucha i ciemna, choć oko wykól, jak to czasem bywa na stepie.

Nagle wśród ciemności odezwał się głos Maksyma:

— Szlach!

Istotnie kopyta końskie uderzyły o twardą ziemię.

— Już niedaleko i zimowik diad'ka.

— Może i tu zebrało się trochę „bratczyków“ — wtrącił Bandurka.

— Czort ma... — zauważył Maksym — diad'ko nie z tych.

Z daleka, niby z ciemnej pasczy nocy, ledwie słysząc było szczekanie psa.

Wszystkim głos ten wpadł w ucho.

— Futor... — wyrwało się z ust podróżnych.

— Otóż to ona i jest, ta pasieka.

Sudijenko służył niegdyś setnikiem w Medwedowieckim kureniu, pochodził z pod Bohusławia, jak i Maksym, był jego krewnym z linii matczynej, ożenił się w rodzinnych stronach, ale Sicz za usługę dała mu pasiekę, do której dwa razy do roku dojeżdżał — na wiosnę, kiedy trzeba było pszczoły obliczyć i wystawić, i w jesieni, kiedy roje wybijano. Chociaż „pasieka“ Sudijenka obejmowała dwie wiorsty kwadratowe przestrzeni, chował na niej tylko bydło, konie i pszczoły. Zboża nie siewał — nie było komu orać i zbierać.

Szczekanie psów wiodło podróżnych do sadyby.

Wpatrując się w ciemną głębię nocy, Bandurka wykrzyknął nagle:

— Oce!

Uwaga jego w jeden punkt zwróciła oczy wszystkich.

Na pierwszy rzut oka nic nie było widać, a je-

dnak oko Danyłka dostrzegło wysoki drąg w ziemię wbity, na którego szczycie kołysał się jakiś przedmiot, biało połyskujący wśród ciemności.

Maksym tonem zupełnej świadomości wyrzekł tylko:

— Uhm...

Reszta towarzyszy jego milczała.

— Pohany omen! — zauważył Bandurka.

Maksym mu na to:

— Dureń jesteś!

Słowa te zamknęły usta Danyłkowi. Jechali więc dalej w milczeniu, w kierunku do owego drąga, po za którym daleko widać było drzewa i niby budynki jakieś.

Wszystkich jednak oczy utkwione były w ów drąg, na szczycie którego, niby wielka chorągiew, obracał się w ciemności nocy jakiś biały przedmiot za każdym powiewem wiatru i wydawał chrzęst, na podobieństwo klekotu bocianiego.

Słup ów stał na krzyżowej drodze rozchodzących się szlachów, z których jeden wiódł wprost do sadyby Sudijenka.

Wszyscy domyśliли się, co to za słup; zbliżywszy się, z wytężonem spojrzeniem spoglądali na niego i w milczeniu minęli.

Był to pal, na którym sterczał jeszcze skielet jakiegoś złodzieja, skrzyptał i klekotał wiatrem poruszany.

O pół wiorsty od rozstajnej drogi, rozsiadła się pod laskiem dębowym sadyba Sudijenka.

Na podwórzu było ciemno, głucho, pies tylko poszczekiwał z kąta, a w głębi ledwie wysuwały się z ciemności szare kontury, leżących przy grodzonych w koło jasłach, wołów, przeżuwających żwaczkę. W kureniu było cicho.

Bandurka do szybki w oknie stukać począł. Nikt mu nie odpowiadał. Przytulił głowę do szkła i przypatrywał się. Mignęła mu na zapiecku postać jakaś.

— Otwórzcie!

— Niema w domu gospodarza!

— To nic nie znaczy — odezwał się Maksym — otwórzcie babo, to goście przyjechali.

Przestraszona baba stanęła pośrodku izby i ręce załamała.

— Oj łyszeczko-ż moje! — jęła żałośnie. — Poczekajcie, niech choć ognia wydmucham.

Zbliżyła się do pieca, wygarnęła kociubą popiół, wygrzebała z niego palcem żarzący się węgiel, na pokryszkę z szarej gliny położyła, schyliła się pod przypiecek, wyjęła skałkę sosnową i przytuliwszy ją do węgielka tak, że go niejako przytrzymała drewnieniem, dmuchać zaczęła. Po chwili buchnął płomień. Baba wsadziła skałkę w dziurkę w słupie, stojącym w środku izby, i poszła drzwi otworzyć — nie bez strachu.

Weszli tylko Maksym i Bandurka.

Maksyma baba знаła, bo i krewnym był Sudijenka i często go odwiedzała.

— Gdzież diad'ko?

— *Bdżoty* w stepie ustawia.

— A kiedyż spodziewacie się?

— Dziś już powinien w domu nocować; widać zasiedziało się. Roboty pewnie dużo.

Głód im dokuczał.

— A jeść dacie co, babo? — spytał Maksym.

— Gotowanego niema... ale, jeżeli każecie, zgotuję kulesz.

— Późno... Nie masz chleba, słoniny?

— To mam.

Przyniosła im czosnku w główkach, dwie pałanice, szmat słoniny.

Tymczasem kozacy ulokowali przy jasiach konie, siana przed nimi nakładli—i zeszli się wszyscy do kurenia na posiłek.

Najadłszy się, wyszli z chaty i rozłożyli się do spoczynku na stogu siana.

Sudijenko nocował w stepie. Dwa dni ustawiał z dziadem pasiecznikiem pasiekę, kopał pod bezdenkami doły na wszelki wypadek, gdyby wziętku przybyło,—zmęczył się starowina i już mu się do domu pod noc wracać nie chciało.

Ranek do kurenia ruszył. Ranek był cichy, ale rosisty i świeży. W step wjechawszy, nagle konia zatrzymał.

— Cóż to u bisa! — zawołał.

Głowę z konia przechylił i przypatrywać cię czemuś począł.

— Taśma...—mruczał niby sam do siebie.—Może Edysańscy z za Bohu w step przebrali się... jeszcze by czego brakowało!

Zlazł z konia, zarzucił mu trzęzłą na szyję i począł pilnie przypatrywać się do śladu.

Kopyta końskie znać było wyraźnie na rosie.

Sudijenko szedł za śladem i pomrukiwał:

— Czterech tylko... jechali powoli.

Taśmą do szlachu doszedł.

— Hm...

Zatrzymał się, głową kiwał.

— Nie, to nie Tatarzy — rzekł w końcu, — nie ma śladu z powrotem.

To go uspokoiło. Wsiadł na konia i tak, jak taśma szła, jechał. Ten ślad prowadził wprost do jego sadyby.

— Może goście z Siczy.

Domyślał się, że goście, ale nie domyślał się — jacy.

Na dziedziniec wjechał i konia do koła przy jaśłach przywiązał. Dokoła było jeszcze cicho, wszyscy spali, pies tylko, poczuwszy gospodarza z daleka, zerwał się na równe nogi i na powitanie wybiegł, koło nóg mu się kręcił i skakał.

Wtem na stogu siana podniosła się czyjaś głowa i zabrzmiał głos donośny:

— Jak się macie diad'ku Mykoło!

Sudijenko odwrócił się i poznał Maksyma.

— A toż kiedy przyjechaliście?

— W nocy...

— Hm, że przyjechaliście... dobrze, ale źle, żeście wrota zostawili otworem; mogły się woły z uzewek zerwać, albo i konie, a wtenczas szukaj wiatru w polu.

Maksym zlazł ze stogu. Przywitali się, na ławie przed kureniami usiedli i rozmawiali.

— A ja oto do was wybierałem się — odezwał się Sudijenko.

— To i dobrze, jedźmy razem... aż do monasteru.

Dziad Mykoła spojrział na niego ostro i rzekł po chwili:

— Nie mogę... muszę tu jeszcze kilka dni posiedzieć, dowiadywać się do pasieki, jak tam pójdzie, aż potem do dopiero do domu.

— Nam do roboty czas... musimy się spieszyć.

Dzień się robił. Ruszyło się wszystko w zagrodzie kurenia. Chłopcy poczęli krzątać się koło wypędzenia tabunu w step: jedni gromadzili w kupę konie, drudzy woły. Tabuńszczyki objeżdżali na koniach tabun, zganiali do kupy niesforną młodzież, trzaskali z batogów, nawoływali. Wrzawa, rwetes, krzyki napępniały powietrze. Wszystkie te głosy płynęły po rosie w step zieleniejący dokoła, obramiony w blade-różowe niebo, które od wschodu rozjaśniać się poczęło.

Baba krzątała się przy piecu, prażyła mleko dla gości. Towarzysze Maksyma zajęci byli końmi, napiili je przy żurawiu, świeżego siana w jasła wrzucili.

Dziad Mykoła siedział na osobności z Maksymem.

— A ty długo tu zabawisz?

— Ot, popasujemy konie, taj hajda! Zajechałem do was, ażeby podnocować i zobaczyć się z wami.

Mykoła w oczy mu spojrział:

— Ty pewnie swojej głupiej myśli nie zaniechałeś? Co?

— Nie... — odrzekł stanowczo Maksym.

— No, no, doigrasz się! Ciebie monachy na dobrą drogę nie naprowadzą. Melchizedek wścieka się ze złości na Lachów, że go do senatu puścić nie chcą i radby im piwa nawarzyć, a ty z głupoty przykładasz do tego rękę.

— A czemu nie chcą puścić? Ażeby nie było komu bronić prawosławia!

Sudijenko głową z politowaniem kiwał, patrząc na żeleźniaka.

— Twoja wola... ja ci tylko powiem, że hajdamactwo... to nie wojna, to rozbiszactwo i hodi! Co innego walczyć z niewiernymi, a co innego naród niewinny *rizat'*!

— Nie, diad'ku, ono nie tak, jak wy mówicie, ale inaczej: na Ukrainie nie potrzebni ani Lachy, ani żydy, nie potrzebne ani kościoły, ani księży.

Sudijenko lekceważąco ręką skinął.

— Ot, mielesz językiem. A gdzież Chrystus kazał ludzi mordować? Bronić się od rabusiów i łotrów kazał... to co innego.

Maksym nie dał się przekonać; unosiła go i ambicya własna i dobra wiara w ihumena.

Wśród tej żywej rozmowy wychyliła się z za drzwi baba.

— Hałuszki gotowe! — zawołała.

— Chodźmy — rzekł wstając diad'ko Mykoła. Maksym na słońce spojrział.

— Oho! podeszło dobrze!

Wstał z przyźby, wyciągnął się i krzyknął do swoich:

— Anu chłopcy, do miski! Czas już... i w drogę.

Przy hałuszkach szła już rozmowa obojętna.

Widocznie Sudijenko nie chciał wobec nieznanym poruszać tego przedmiotu.

Podjedli sobie dobrze. Kozacy w momencie konie posiadali, a Bandurka Maksymowego za uzdę trzymał.

Maksym pocałował się z diad'kiem na pożegnaniu.

— Może się niezadługo obaczymy — rzekł.

— Może.

— Ty jak pojedziesz? — spytał diad'ko Mykoła. Maksym uśmiechnął się.

— Ja? Na Czerkasy... Śmiały do Bohusławia, a tam — co Bóg da...

Sudijenko głową z politowaniem pokiwał.

— Daleka droga... Bóg wie, czy do domu trafisz. Stary zrozumiał plan Maksyma.

Wsiedli na konie i pojechali. Żeleźniak z Bandurką jechał przodem, on jeden umiał się na stepie oryentować i wiedział dokąd jaka mogiła drogę wskazuje.

Zdążali wprost do Motroneńskiego monasteru przez bałkę Wedmeżę i Medwedówkę. Mieli jeszcze jeden nocleg w stepie. Maksym wiedział, gdzie im ten nocleg wypadnie.

Jechali bez odpoczynku prawie dzień cały. Zatrzymywali się tylko po drodze dla pojenia koni i raz tylko — w step wjechawszy, puścili konie na pół godziny na paszę. Spieszno było Maksymowi do domu.

Na dobre pół godziny przed wieczorem, Maksym odezwał się do jadącego obok niego w milczeniu Bandurki:

— Jedziemy do twego znajomego, kozacze.

Danyłko nie połapał się.

— Do jakiego?

— A ot, zobaczysz niezadługo.

Na stepie była cisza, że aż w uszach dzwoniło. Słychać było tylko śród ciszy miarowe uderzenia kopyt końskich o mięką trawę i prychanie koni.

— Coś znajomego — odezwał się Danyłko.

— Dowąchałeś się... co? — wtrącił Maksym.

Istotnie okolica wydawała się Bandurce znaną, chociaż nie umiał powiedzieć, co go uderzyło w oczy.

Nagle ręką po twarzy się macnął, jakby oczy przecierał.

— Ehe!...—zawołał...—taż to kureń dida Harasyrna.

W samej rzeczy, z daleka widać było niby jakieś nasypisko ziemi, porośnię trawą, wznoszące się ledwie widzialnie po nad płaszczyznę stepu.

W tę stronę Maksym konia kierował.

Konie postępowwały jakoś raźniej, jakby instynktownie zgadywały, że tu odpoczną.

Od owej chwili, kiedy tu Bandurka nocował, nic się nie zmieniło. Zielona trawa porastała tylko dookoła, nie wyłączając i dachu kurenia, który wydawał się niby kobiercem zielonym zasłany.

Przed kureniami siedział dziad Harasyrn na kamieniu, lulkę palił spokojnie i okiem sępa w step pa-

trzył. Jeźdźców spostrzegł on z daleka, ledwie postacie ich mignęły na horyzoncie, ale wiedział, że tu nieproszeni goście nie przyjadą, więc się obojętnie im przypatrywał, pykając z fajki i snując sobie rozmaite uwagi o podróżnych... coby to za jedni, skąd jechać mogą i dokąd? Doliczył się czterech jeźdźców, i to nowe uwagi mu nasunęło: hajdamaki szwendają się kupa w nocy tylko, podróżni więc musieli posiadać jakieś prawo podróżowania. Oczywiście mieli je pod postacią fałszywych pasportów, ale na razie dziadowi to na myśl nie przychodziło.

Podróżni do kurenia zbliżyli się. Dziad wstał na powitanie, i kurząc lulkę, jednym okiem jeźdźcom przypatrywać się począł.

— Jak się macie diad'ku! — odezwał się z konia Maksym.

— Dziękuję. Daj Boże zdrowie i wam.

Mówiąc to, nie spuszczał z oka całego orszaku, wodząc spojrzeniem od jednej twarzy do drugiej.

— Cóż, nie poznajecie mnie?

Dziad rękę do czoła przyłożywszy, przypatrywać się począł.

— Oczy stare... — odrzekł jakby na usprawiedliwienie.

Potem nagle rękę od czoła odjął, uderzył się nią po hajdawerach, a twarz jego przybrała wyraz uśmiechnięty.

— Poznałem, ojczy atamanie, poznałem... Zsiądźcież, proszę, z konia i odpocznijcie.

Bandurka nie narzucał się z przypomnieniem, chociaż dziad Harasym, rozmawiając z Maksymem, rzucał z ukosa na niego spojrzenie.

Pozsiadali z koni. Kozak wziął konia Maksymowego.

— A tego mołodyka nie pamiętacie?

— Tfu! na takie oczy — odezwał się Harasym — patrzą, ledwie nie powyłażą, a nic nie widzą. Czy nie nocowałeś ty u mnie kozacze?

— Jakże nie nocowałem! Nocowałem... Toż ja sam i jestem Danyłko.

Dziad z zadowoleniem do niego się zbliżył, obrzucił okiem znawcy jego piękną, kształtną, giętką postać i po ramieniu poklepał.

— A widzisz, trafiłeś... — rzekł dwuznacznie.

Maksym do kozaków się zwrócił:

— No, chłopcy, podnocujemy tutaj. Spętajcie konie i puśćcie na paszę.

— Tu, tu, za kureniami...—mówił dziad Harasym — trawa taka, że i owsa nie trzeba.

Cała gromadka, pozrzucawszy bekieszki, rozsiadła się na uboczu koło kurenia, wyjęto lulki, zapalono — i rozpoczęła się gawęda.

Harasym niewypowiedzianie ucieszył się z przybycia gości, a szczególnie Maksyma, którego niewiadomo z jakiej racyi, stale ojcem atamanem tytułował. Pod gołym niebem utworzył się mały obóz. Trzeba było pomyśleć o posiłku. Dziadzisko przypomniał sobie, że ma mąkę kukurudzianą.

— Dawaj didu!—krzyknął żeleźniak. — Zgo-

tujemy tobie takiej mamałygi, żeś i na Siczy lepszej nie jadał.

Podybał dziad do komory, przyniósł mąkę i kazanek, a nim wrócił, już kozacy wbili w ziemię trzy spisy, związali u góry ratyszczą i rozbiegli się po stepie nałamać suchych badyłów burkanu i dziewan, aby przy nich mamałygi uwarzyć.

Dziad Harasym, ujrzawszy sterczące spisy, w ręce klasnął z radości:

— Prawdziwe kozaki! Woda jest, łańcuszek jest... tylko zaczepić za dużą kazanek i powiesić.

Wracał właśnie Danyłko ze stepu, wlokąc za sobą suche badyle.

Wnet podłożono pod kociołek ognia, dym buchnął, a w momencie płomień wązkami jęczyczkami ślizgał się po bokach kazanka.

Harasym z tytułu gospodarza chciał sam mamałygę gotować.

— Nie, didu — odezwał się Maksym, — to nasza rzecz kozacka; dałeś mąki... Bóg ci zapłać, a zgotujemy sami.

Tu do Bandurki się zwrócił:

-- A dawaj-no chłopcze *pastramú!*¹⁾

— Zjedliśmy przecie ojcie atamanie!

-- Swoją zjedliśmy, ale u did'ka Mykoły baba przytroczyła mi inną do siodła.

Danyłko poszedł.

¹⁾ Wędzone udo baranie.

— Pod burką synu szukaj! — krzyknął za nim Maksym.

Przyniósł Danyłko zasuszone, jak ziemia, uwędzone udo baranie.

Maksym wy dobył nóż z za pasa, nakrajał baraniny w kawałki, które do kociołka wrzucał, potem i kości w kipiątek wrzucił.

— Niech-no się to trochę wygotuje, smaczniejsza będzie mamałyga.

Dziad Harasym, stary włóczęga, który na życiu burłackiem zęby zjadł, patrzył na te wszystkie przygotowania, aż mu się oczy śmiały z radości.

— Tak, to dobrze! — rzekł z zadowoleniem sam do siebie.

Maksym wstał, do kazanka zaglądnął, patykiem pomieszał gotującą się w nim baraninę i do Danyłka się zwrócił:

— A teper chłopcze syp *muky!*

Danyłko nachylił nad kazankem woreczek z mąką, sypał powoli do gotującej się wody, a Maksym patykiem wszystko mieszał.

— Będzie taka, że i na Siczy lepszej nie utną!

Płyn coraz bardziej gęstniał, nabierając brudno-żółtego koloru, a para, buchająca z kociołka, dokoła szerzyła zapach surowej mąki i wędzonej baraniny.

Wszyscy powstawali, i, trzymając lulki w zębach, z ukosa spoglądali do wnętrza kociołka, czując przedsmak tego kozackiego kordyału.

Wreszcie Maksym wyjął patyk z kazanka.

— Moznaby jeść — zauważył niby sam do siebie, — trzeba tylko pokropić mamałygę *horilką*.

Dziad tryumfującą minę zrobił.

— Jest ojciec atamanie... mam *warenychę*¹⁾ taką, że kozowemu nie powstydzilibym się dać.

— No, to przynoś dziadu, a co ona warta... zaraz się dowiemy.

Harasym mrugnął na jednego z kozaków i poszli obydwaj. Niezadługo wrócili. Kozak dźwigał w obu rękach sporą bakłałę *warenychy*, a za nim szedł dziad. korze²⁾ niosąc.

Tymczasem Maksym kazał burkę rozciągnąć na trawie, wyrzucił na nią z kazana mamałygę i rzemyczkiem od uzdy końskiej na kawałki pokrajał.

Jeszcze mamałyga nie wystygła, a już czarka poszła dokoła i wszyscy pod gołym niebem zasiedli do uczty.

Noc już zapadła. Sine mgły wieszały się daleko po krajach horyzontu, zlewały się z ciemną zielenią stepów, tylko wśród ciszy nocnej kiedy niekiedy nadpłynęła z szumem jakaś fala wiatru, która Bóg wie z jakiej strony wyrwała się i Bóg wie, gdzie znikła. Potem znowu cisza zalegała dokoła.

Wszyscy siedzieli przy rozpalonem ognisku, do którego co chwila ktoś dorzucał pęk suchych badyli; wrzucone w ogień skurczyły się, buchnęły dymem, sypnęły kłębami iskier do góry, a potem dym się ro-

1) Gorzałka przygotowana z miodem i ziołami.

2) Placki pszenne.

zwiął, iskry opadły i tylko jasny płomień migotał, oświetlając twarze siedzących przy ogniu charczyków.

Dziad Harasym opowiadał dzieje swego życia burłackiego.

Maksym zaszepiony siedział. Słuchał wprawdzie opowiadania dziada, ale inne myśli roily mu się po głowie — walka niedaleka, niepewność, marzenie o powodzeniu.

Nagle w ciemności błysnęły mu oczy.

— Danyłko! A weź-no synu bandurę!—zawołał.

Harasym w pół słowa urwał, Danyłko porwał się na równe nogi i skoczył do siodła, gdzie na trokach wisiła bandura. Zdjął ją, wrócił, w milczeniu przy ognisku usiadł i zaczął struny podciągać.

Zapanował nastrój poważny. Ustały rozmowy. Charczyki siedzieli po turecku do koła ogniska i w milczeniu lulki palili. Przed nimi step zieleniał młodą trawą, cichy, spokojny, niemy, a nad nimi iskrzyły się i mrugały gwiazdy.

Bandurka uderzył raz, drugi, w struny, chrząknął, cdkaszlnął i śpiewać począł dumę o Swirczowskim.

*Jak toho pana Iwana
Ta Swirgowskoho hetmana
Bisurmany pijmały,
Ta hołowu jomu rubały...
Oj hołowu jomu rubały,
Ta na buńczuk wiszały,
Ta w surmy wyhrawały,
Z joho hłumowały...*

*A i z Nyzu chmara stiahała
I woroniw klucza nabihala,
Po Ukraini tumany kłała,
A Ukraina sumowała,
Oj Ukraina sumowała...*

Todi bujni witry zawywały:

— Deż wy naszoho hetmana podiwały?

Todi kreczety nalitały:

— Deż wy naszoho hetmana żałkowały?

Todi orły zahomonily:

— Deż wy naszoho hetmana schoronyły?

Todi żajwaronky powyłytsia:

— Deż wy z naszym hetmanom proszczatysia?

Wśród milczenia, odezwał się głos atamana:

— Hodi! pohana piśnia...

Bandurka znowu struny stroił, w nowy takt uderzył i nową pieśń śpiewał.

Maksym z lulką w ustach siedział, jak niemy, ledwie ustami od czasu do czasu poruszając dla wypuszczenia wąskiej smugi niebieskiego dymu, nieruchome spojrzenie utkwivszy w dogasającym ognisku. Pieśń zmieniała jedna drugą, a watażka ani słówka nie rzekł, a wobec milczenia jego, nikt przemówić nie śmiał. Ognisko gasło, tylko z popiołu od czasu do czasu zaskwierczał płomyczek, ale nikt już badyłów nie dorzuczał.

Wreszcie Maksym wyjął pistolety z za pasa, obmacał, czy skałki w porządku, znowu wsunął, pochylił głowę na siodło i w jednej chwili zasnął. Tuż koło ogniska, pokładli się inni pokotem, gdzie kto siedział

i na czem siedział. Tylko dziad Harasym podybał do kurenia.

Niedługo trwał odpoczynek. Ledwie świt szarzyć począł na niebie, pierwszy zerwał się Maksym, za nim inni.

Nie było mowy o żadnym posiłku.

— Siodłajcie konie! — krzyknął watażka. — Trzeba machać, ażeby jeszcze przed południem stanąć w monasterze... czasu!

Piekła go myśl o pośpiechu. Już nie było racyi odwlekać: trawa sypnęła taka, że aż hej, bratczyków, siedzących po kureniach i zimowikach, do lasu Łebedyńskiego i Motroneńskiego powysyłał—musiał tedy za nimi pośpieszać.

Kozacy połapali konie, rozpętali, poczęli kulbaczyć, troczyć burki. W cichym poranku wiosennym każdy głos odcinał się jasno, wyraźnie, i czystem powietrzem w step kędyś płynął.

Maksym przypatrywał się jak mu konia siodłali. Mimowolnie rzucił okiem na kureń... aż pod samym dachem, między burjanami siedzi dziad Harasym i coś szyje. Zbliżył się do niego.

— Dzień dobry, didu!

— Dzień dobry, atamanie.

— A co wy oto łatacie?

— Cóż mam łatać? Torbę. Nu na niego, z takim pochanem życiem w kureniu! Siedź tylko i czekaj, czy jaki dureń nie przyjdzie gorzałki się napić.

— Nie zawszeście siedzieli w kureniu... — pocieszył go ataman.

— I teraz nie będę! Bih-me nie będę! Kozaki idą pohulać do Polarczy... i ja robotę znajdę. Ot, połatam tylko torbę, w kureniu posadzę jakiego kalekę... taj hajda z kozakami.

— A dokąd-że?

— Dokąd wy, tam i ja.

Watażka uśmiechnął się zadowolony.

— Dobrze, dobrze didu, tylko pośpieszajcie. Jak nie spotkamy się w Czerkasach, to może w Śmile, może w Łysiance, może w Bohusławiu...

VII.

Maksyma na dziedzińcu monasterskim powitał „posłusznik“ z nawpół tajemniczą miną.

— Mamy gościa, ojcie atamanie.

Oczy żelaźniaka ożywiły się.

— Szelest wrócił? — zapytał.

— Nie.

— A któż to?

„Posłusznik“ więcej może dla okazania ostrożności, niż z potrzeby — bo na dziedzińcu nikogo nie było, — dokoła okiem rzucił.

— Ihumen... — rzekł z miną na poły tajemniczą, na poły pochlebną.

— A gdzie zatrzymał się?

— U ojca Mołodwana.

Maksym wprost do celi ojca Mołdowana po-
dążył.

Żeleźniak miał minę zakłopotaną, niespokojną,
niecierpliwą. Ledwie się ceremonia powitalna za-
kończyła, do gościa się zwrócił:

— Jakież tam wieści ojczy ihumenie?

Melchizedek, zanim mu dał odpowiedź, west-
chnął głęboko i starał się twarzy nadać wyraz rezy-
gnacyi i pokory chrześcijańskiej. Gra jednak fizyo-
gnomii mnicha, pomimo sztucznego nastroju, zdra-
dzała szczwanego lisa, usiłującego pokryć swoje my-
śli i zamiary.

— Mam hramotę dla Waszej Miłości... — wy-
rzekł tonem dostrojonym do całej swojej postawy.

— Hramotę?... Jest?

Ihumen nie zmieniał ani tonu, ani postawy, naj-
odpowiedniejszej, jak mu się zdawało, do obwiesz-
czenia tak poważnych wiadomości.

— Jest... Najjaśniejsza Imperatorowa mianuje
ciebie pułkownikiem kozackim...

Watażka wielkie oczy w ihumena wlepił. Twarz
mu promieniała radością, której ukryć nie potrafił.

Ihumen ciągnął dalej:

— I błogosławi ciebie na obronę świętej wiary
naszej od Lachów...

Radość watażki przeszła w szal dziki. Oczy
mu nagle błysnęły, krwią nabiegły, pięści ścisnęły
się mimowolnie.

— Wszystkich wyrznę! — ryknął dzikim głosem,

pięścią o stół dębowy waląc — a z głów ich usypię mogiłę.

Melchizedek szepnął nabożnie:

— Bóg nagrodzi Waszej Miłości dbałość o świętą wiarę...

— A gdzież hramota? — spytał wreszcie.

— W celi... u mnie...

— W skrzynce carskiej — dodał tajemniczo Mołdowan.

Nie uspokoiło to bynajmniej żelaźniaka.

— Gdybyż tylko Szełest wrócił — rzekł niby sam do siebie, — to przeczytacie hramotę w cerkwi i w kureniach... taj hajda na Lachów!

Słowa te jakieś nieprzyjemne wrażenie zrobiły na ihumenie. Coś mu się w tem, co mówił watażka, nie podobało.

— A gdzież to posłałeś Szełesta? — zapytał.

— Do Siczy.

Twarz ihumena przybrała wyraz zaniepokojenia. Przerzucili się spojrzeniem z Mołdawanem.

— Nic mi o tem nie powiedziałaś — zwrócił się z akcentem wymówki do Mołdowana.

— Nie wiedziałem, proszę Waszej Przewielebności.

Fakt ten widocznie nie był pożądany ihumeniowi. Watażka jednak na grze fizyognomii mnichów nie poznał się.

— Pocóż go wysłałeś, Wasza Miłość?

— Jakto, po co? Wiosna przechodzi... szkoda

czasu! Jak ma Sicz dawać ludzi... niechaj daje, pójdziemy razem, a jak nie... i sami rozpoczniemy.

— Szkoda, że Wasza Miłość — zaczął poważnie ihumen — nie poradziłeś się ze mną... Kalnieszewski bez ukazu carowej nic nie zrobi... U Moskwy takie prawo, że bez hramoty tchnąć nie można, a hramota u mnie.

Pomyślał chwilkę.

— Może się i zgodzi... Gdyby jednak nie chciał... to daj mu przekaz, że masz hramotę...

Mołdowan pociągnął nieznacznie za suknię ojca ihumena.

Melchizedek urwał.

— Proszę Waszej Przewielebności, koszowy wie, że hramota jest, bo on-że sam na niej podpisał się z starszyzną...

Zdziwiło to ojca ihumena.

— Podpisał się? — zapytał tonem niepewności.

— A jakże... Tylko on nie przyzna się do tego Szełestowi... boby mu łeb ucieli za to, że tajemnicy nie chowa. Dopiero jak mu pokażą hramotę z jego podpisem... to co innego.

Melchizedek uspokojony przytakiwał.

— Prawda... prawda...

Cała ta rozmowa i wyjaśnienia niecierpliwiły Maksyma.

— Aby hramota była!... Niech tam sobie koszowy politykuje, my potrafimy i bez niego rozpocząć. Niedługo i na Szełesta czekać: dziś... jutro wróci... A póki co... przeczytajno ojcie ihumanie tę hramotę.

Melchizedek do Mołdowana się zwrócił:

— Przynieś...

Mnich wyszedł.

— Jabym radził Waszej Miłości ruszyć się choćby jutro... nie czekając Szełesta. Przeczytamy hramotę, pobłogosławimy wojsko, poświęcimy noże...

Mówiąc to, ihumen badawczo patrzył w twarz watażki. Radby wyczytać, że kreowany przez niego pułkownik nie domyśla się nieporozumienia jakie zaszło.

— Nie, trzeba czekać Szełesta... Kalniszewski znajdzie nas i potem, a Szełest u mnie... „hołowa!“

Wtem drzwi się otworzyły.

Na progu ukazała się postać Mołdowana. Na oliwkowej, szczupłej jego twarzy, przystrojonej powagą, panował spokój, pełen skupienia, zwyczajny tylko w chwilach uroczystych. W obu rękach trzymał jakiś przedmiot, nakryty serwetką, wyszywaną w złote gwiazdy i krzyż na srebrnym tle.

Ihumen głowę pochylił, to samo machinalnie uczynił Maksym. Mołdowan kroczył poważnie do stołu, przy którym siedział watażka z ihumenem; tylko mu się oczy jakoś uśmiechały złośliwie i usta szydery układ przybrały, jak gdyby sam z tej ceremonii i powagi śmiać się pragnął.

Krocząc powoli, skrzynkę, nakrytą ową kapą, na stole postawił.

— Hramota carska...—rzekł z namaszczeniem Melchizedek.

Zbliżył się do skrzynki, otworzył ją ostrożnie

i wyjął zwitek pergaminu. Rozwinął go z uszanowaniem, pocałował, i kolejką do pocałowania podał najprzód nowomianowanemu pułkownikowi, potem Mołdowanowi.

Taki ceremoniał niecierpliwił jednak watażkę.

— Cóż tam stoi? Czytaj ojcie ihumenie.

Melchizedek w milczeniu hramotę Mołdowanowi wręczył. Ten przeżegnał się, odchrząknął i z namaszczeniem czytać począł.

— „Naszemu wielce miłemu pułkownikowi Maksymowi Żeleźniakowi...”

Oczy watażki zaiskrzyły się znowu. Z natężoną uwagą łowił każde słowo hramoty, w której carowa, ulitowawszy się uciskowi, jaki się dziać miał na Ukrainie, ludowi i wierze greckiej, postanowiła bronić ludu i wiary; nakazuje przeto Żeleźniakowi, którego mianuje pułkownikiem kozackim, zebrać ludzi i wyróżnić wszystkich Żydów i Lachów, w czem dopomagać mu będzie konsystujące w granicach Rzeczypospolitej wojsko.

Watażka słuchał pokręcając węża i powtarzał co chwila:

— Dobre! dobre!

Oczy jego utkwione w hramotę, nie spostrzegły, że ihumen i ojciec Mołdowan porozumiewali się ze sobą spojrzeniem.

Po ukończeniu czytania, Mołdowan palcem pieczętkę wskazał.

— A oto Wasza Miłość ma i pieczętkę i podpis koszowego.

Zadowolony żeleźniak powtarzał tylko:

— Dobre.... dobre...

— Ale nie głupi on Szelestowi przyznać się do tego — wtrącił ihumen.

— To fraszka, byle „bratczyków“ puścił.

— Czemu nie puści? Jak mają leżeć do góry brzuchami w kureniach i lulki kurzyć, niech lepiej idą do Polzeczy, tam przynajmniej na *tiutium* zarobią.

Perswazyja ta trafiła do smaku watażce.

— *Awżież, batku...*

Owa hramota, która mu otwierała drogę do Polski, pozwalała tam gospodarzyć jak u siebie w domu i zaszczycała go tytułem pułkownika—choć obwieszczono go zaszczytu przeczytać nawet nie umiał.—zagrzała go chęcią puszczenia wodzy swojej dzikiej naturze. Nie potrafiłby on sformułować swoich pragnień i zachceń, nie wiedział jak użyje nadanej mu władzy, czuł tylko dziką siłę w sobie, jakby mu naraz wszystkie łańcuchy, krępujące ręce, popękały. Krew mu biła w skroniach, muszkuły drgały same przez się.

Hramota trafiała w jego chęci, w jego żądze... to mu wystarczyło. O resztę nie pytał.

Czuł się zupełnie zadowolonym.

Watażka tego samego dnia jeszcze wydał rozkaz sposobienia się do wymarszu.

Kiedy się ihumen znalazł już w celi, przeznaczonej dla niego, odsapnął szeroko, jak miech kowalski i do Mołdowana się zwrócił:

— Któż przypuszczał, że on tam Szełesta pośle.
Ojciec Mołdowan pocieszył go przebiegle:

— Aleśmy się wykręcili...

Ihumen milczącym uśmiechem zgodził się na tę uwagę. Oni obydwaj pośredniczyli w wydostaniu hramoty od carowej, oni też wiedzieli najlepiej, jaką drogą hramota owa przywędrowała do monasteru.

— Nagotujemy Lachom takiego kuliszu, że niech tylko zdrowi zjedzą i wyzdychają!

— My palimy w piecu... oby tylko ktoś inny chleba tam nie piekł — zauważył niedowierzająco Mołdowan.

— Ha, kiedy się już zaczęło... niech idzie.

— Gdyby tylko Szełest nie nakręcił czego.

— Zapóźno już... Maksym przekonać się nie da.

— Może... U niego ochota wielka, ale rozum mały.

Uspokojeni obydwaj spać poszli.

Maksym, ukołysany słowami i nadziejami Melchizedeka, zasnął.

Wydawszy rozkazy do przygotowań, spał spokojnie.

Przed świtem ktoś do celi jego zapukał.

Przetarł szybko oczy i mimowolnie ręką po szablę, wiszącą na kołku nad łóżem, sięgnął.

— Otwórz, bat'ku... — odezwał się głos za drzwiami.

Watażka nie przyszedł jeszcze do siebie.

— Kto to?

— Ja... Szełest...

Skoczył na równe nogi i drzwi otworzył.

Szeł st, piękny chłop, o ściągłej, smagłej, wyrazistej twarzy, o wąsach spadających w dół, o brwiach długich krzaczastych, o sępiem siwem oku, był uż mężczyzną, szóstego krzyżyka dobiegającym.

Oczy jego patrzyły rozumnie, przenikliwie, badawczo.

Ledwie się przywitali, odezwał się do atamana:

— Kazałeś zbierać się chłopcom?

— Kazałem...

— I dobrze... niema na co czekać.

Akcent, z jakim te ostatnie wyrazy wypowiedział Szełest, zdradzał pewną tajemnicę, i z tego powodu zastanowił Maksyma.

— Cóż tam na Zaporozżu? — zapytał.

— A cóż, Kalniszewski nie chce...

— Uhm... nie chce... Cóż mówi?

— Powiada, że starci nie pozwalają...

— Ale Kalniszewski pójdzie...

Uwaga ta zdziwiła Szełesta; począł przypatrywać się Maksymowi.

— Co ty oto bajdurzysz! Ty wiesz przecie, że koszowy bez starciw nic nie robi. Pocóżby brechał?

— On nie bresze, ale... gadać nie może...

Szełest znowu na watażkę spojrział, jakby sobie usiłował zdać sprawę ze sposobu jego zachowania się; zdziwiony był, ale zdziwienia swego nie wyjawiał.

— A toż dlaczego?

Maksym z tyłu głowy poskrobał się.

— Boi się, ażeby się przed czasem nie wykryło...

a przecież on sam na hramocie podpisał się i zgodził się nam pomagać...

Szelest ciągle zdziwionem okiem na niego patrzył.

— Na jakiej hramocie?

— Taże na tej, którą ihumen od carowej przywiózł... Nic nie wiesz jeszcze?

— O hramocie, że jest niby jakaś, słyszałem od kozaków, którzy na „znaczkę“ konie łapali, ale... cóż to za podpis koszowego?

Maksym niecierpliwił się.

— Nu, podpis... że niby się zgadza nam pomagać.

— Mnie odmówił, tu się zgadza?... Bihme, nic nie rozumiem.

— Ot, poczekaj; wstanie niezadługo ihumen... otworzy skrzynkę... i przeczytasz.

Szelest mimowoli rzucił okiem na stół, na którym mała okuta żelazna skrzyneczka stała. Maksym dojrzał, że towarzyszy na tę skrzynkę uwagę zwrócił.

— Oto tu i hramota — rzekł ręką na skrzynkę wskazując, — ale klucz u ojca ihumena.

— Bihme, nic nie rozumiem... Ta, jakże to: tak prosto do ciebie caryca i przysłała?

— Przez ihumena...

Szelest mimowoli zbliżył się do skrzynki i ją oglądać. Pokazało się, że jest otwarta. Wyjął tedy ową hramotę i cicho czytać począł.

A czytać umiał, na zwyczajach i formach kozac-

kich się znał, bo był pisarzem w bohogardowej pałance przy pułku na gardzie.

Czytał, wąsami ruszał, mruzczał:

— Słuchaj, bat'ku, ihumen duryt tebe. Bihme duryt'...

— Jakto duryt'? I pismo jest i pieczętka...

— Ale prawdy nie ma.

Maksymowi zabłyszczały oczy. Zdawało się, że się na Szełesta rzuci i ślepie mu wydrapie.

Szełest zmiarkował, że dowodzenie fałszu przed człowiekiem niepiśmiennym i dzikim, do niczegoby nie doprowadziło. Maksym był popularnym. Za jego imieniem szła cała hałastra bezdoma i do rabunku skora. Myśl Szełesta była trochę inna: niech się zbiorą, potem można będzie postawić na czele lepszą głowę... miał ją już na widoku, ale teraz nie czas jeszcze było o niej wspominać. On sam nie miał zdolności na wodza; większej siły poprowadzić-by nie potrafił, ale ją potrafi zebrać, ubrać, wyćwiczyć, zorganizować, tak, jak się organizowali Zaporozcy, od których sztuki wojennej nauczył się.

Zamilkł więc, o fałszywości hramoty mówić przestał, bo w rzeczy samej, co mogło dla nich znaczyć takie lub inne pochodzenie hramoty? W gruncie rzeczy było to faktem obojętnym, zarówno dla Maksyma, jak i dla Szełesta. Zastanowiwszy się jednak nad tem, że charakter hramoty i jej pochodzenie na bieg wypadków ujemnie wpłynąć mogą, dał pokój całej sprawie. Pewnym był, że hramota ukuta została przez

ihumena i Mołdowana, ale publicznie wierzył w jej prawdziwość i prawdziwość tę głosił.

On miał plan własny: wywołać ruch narodowy, jak najszerzej sięgający, środkami, jakie się dadzą, a potem popróbować, czy tego ruchu nie można będzie zużytkować dla wyzwolenia Ukrainy. Wiedział, że w ludzie drzemie wielka siła — otóż siłę ową chciał poruszyć.

Fałszywa hramota nie przeszkadzała mu wcale do tego; przeciwnie, mogła być rodzajem lepu, na który lgną głupie muchy.

Zabrał się tedy z całą energią do rozpoczęcia roboty.

Trzeba było nareszcie z gniazda wyruszyć.

Las Motroneński rozlegał się wrzawą przygotowań. Szelest rozdawał odzież kozakom, przygotowaną zawczasu, przechowywaną już od lat kilku po ziemiakach leśnych; rozdierał broń i noże. Pod konarami kilkowiekowych dębów, zahuczały zaimprovizowane kuźnie: kuto konie, ostrzono szable, przymocowywano ostrza do ratyszcz. Huczały miechy, dzwoniły młoty, sypały się iskry, — a cała robota szła rążno, wesoło, przy pieśniach, opowiadaniach, śmiechach. Budziła się w ludziach energia, uśpiona zbyt długo i zleniwiła, — a robota postępowała z gorączkowym pośpiechem.

Na polanach leśnych szykował się mały obóz, z kilkunastu parowie złożony — od wszelkiego wypadku, aby na wozach można było przewieźć kilka korcy krup, trochę soli, trochę siana, aby było gdzie po-

łożyć bakłaheę wódkki — i zdobycz, a w razie niebezpieczeństwa bronić się za niemi. Do półdrabków przyczepiano „batowe“ konie — przeznaczone do objuczania zdobyczą, na wzór tatarski.

Oddział ów, na którego czele stanąć miał Maksym Żeleźniak z Szelestem, jako asawułą przy boku, składał się z dwustu ludzi tylko z okładem, reszta nie miała broni żadnej. Tworzyła wprost nieregularne kupy włóczęgów stepowych, uzbrojonych w koły dębowe, zaostrzone u góry i osmolone,—stąd też zwano takie kupy „kolijami“. Różnorodność odzieni i typów charakteryzowała poniekąd tę watahę: obok jakiegoś junaka, strojnego w siny kaftan i szarawary z „matnią“ aż do ziemi, ale bez butów i bez czapki, widać było zuchów w kontuszach o jasnych barwach, noszonych na gołym ciele, w chałatach żydowskich „mołodyków“ strojnych w komże księżowskie, a nie brak było diaków i popowiczów, spacerujących rezolutnie, z zatkanemi za pas od hajdawerów rękoma. Ta różność strojów, obok spłowiałych barw, a brudu i niechlujstwa tych, którzy je nosili, te rozhukane miny, rozhulałe twarze, często ospałe lub pijackie, świadczyły najlepiej i o tem, gdzie się ta cała gromada w stroje zaopatrywała i w jaki sposób.

Do południa mniej więcej trwało takie larum i rwetes, aż dopóki Szelest nie uformował osobno swego oddziału, mającego charakter regularnego wojska, nie rozsegregował i nie porozsyłał po różnych stronach lasu kup włóczęgów, każdej nazna-

czywszy watażkę i dawszy jemu szczegółową instrukcję marszu. Resztę, począwszy od uzbrojenia, pozostawił sprytowi nowokreowanego „pułkownika“.

Żeleźniak mało się do tego wszystkiego wtrącał osobiście i chociaż uchodził za „duszę“ oddziału, był faktycznie tylko jej wodzem—i to, jak dotychczas, nominalnym tylko.

Dla ruchu i akcji całej swojej małej armii, Szelest przysstosował plan tatarski: pochodu zagonami. Pośrodku miał iść oddział Żeleźniaka, główny i najsilniejszy, a kilkumilowemi skrzydłami miały się posuwać oddziały owych hołyszów—„kolijów“—i czambuły spędzać do środkowego. Głównym ich celem było rabawać kosztowności gdzie można i gromadzić największą ilość ochotników.

Kiedy już wszystko było rozporządzone, pozostała jeszcze ostatnia czynność: wybór watażki.

Wszyscy uznawali Maksyma za atamana, ale trzeba było jeszcze dokonać wyboru.

Dokonano tego zwyczajem kozackim.

Na dobre dwie godziny do świtu, uderzono w sklik, a ze wszystkich kryjówek zaczęli się zbierać charczyzy, przeznaczeni do utworzenia niejako kadrów hajdamackich, mających stanowić zaczątek regularnego wojska. Była to kupa ludzi, na poły uzbrojonych, posiadających spisy, szable, samopały i konie. Co do reszty uzbrojenia—każdy się zbroił czem miał.

Wszyscy zgromadzili się tedy konno i zbrojno na wielkiej polanie leśnej, gotowi do wyjścia, a Sze-

łest uwijający się pośród nich na koniu, szykował całą watahę w wielki majdan, którego obydwie półkole dotykały dwóch przeciwnych brzegów lasu. Pstrokato, gwarnie i awanturniczo przedstawiał się oddział, który nie wiedział, ani w jaką ma udać się stronę, ani kto go powiedzie, mając przed sobą jedy-ny cel swój własny... rabunek.

Środkiem majdanu stała kupka ludzi—ze dwudziestu—na czele której widać było Maksyma, Szełesta, Bandurkę, jako asawułę Maksymowego. Na uboczu nieco uszykował się „dowbysz“, któremu tuż przy trokach wisiał na czerwono i biało malowany bęben, a przy nim na karym, niespokojnym koniku, tupiącym na miejscu, siedział mołojec, litawry w ręku trzymając. Owi dwaj ludzie tworzyli coś na podobieństwo muzyki nadwornej watahi. W centrum prawie kupki konnych charczów, widać było sumiastą postać kozaka, siedzącego na gniadym mierzynku i mającego, zamiast spisy, drąg osadzony w strzemieniu, na szczycie którego coś nawinięto. Był to chorąży.

Kiedy orszak już się uszykował, Szełest dał znać ręką doboszowi. W półświcie poranku zahuczały echa leśne, podając sobie głosy z jednej strony na drugą i budząc ptactwo zdziwione. Laseczki dobosza spadały na bęben raźnie, żwawo, miarowo, a echa chwytaly te głosy, roznosiły po lasach, podrzucały w górę, igrając niemi. Trwało owo granie leśne kilka minut tylko. Dobosz już przestał bębnić, ale echo rozhułane grało jeszcze długą chwilę. Ustało wreszcie...

Szelest podjechał o kilka kroków na środek majdanu, zdjął czapkę, pochylił się, pokłonił, i rzekł:

— Panowie młodcy, a co teraz będziemy robili?

Zahuczało w szeregach, jak w ulu.

— Wola wasza, panowie starszyna! Gdzie poprowadzicie, tam pójdziemy.

Uciszyło się wreszcie.

Szelest, stojąc przed frontem na koniu, a czapkę trzymając w prawej ręce:

— Dziękujemy wam panowie młodcy—rzekł — za dobre słowo, ale trzeba nam pierwej atamana wybrać... niech nam będzie głową i panem.

— Dobrze! Dobrze! Wybrać! Po kozacku! — odzywały się głosy.

Szelest wyczekiwał aż się uspokoi wszystko.

— Jest tu pośród nas jeden, który i na czajkach chadzał, i w stepie nieraz z Tatarzynem porywał się za bary, i Lachów nieraz już za czuby brał...

Półkołem majdanu przeleciał rażny, głośny okrzyk:

— Hura! hura ha-ha...

Echo podchwytywało ostatnie zgłoski i od lasu odbijało: — ha, ha, ha...

— Czy chcecie Maksyma? — spytał.

— Chcemy! Chcemy! Niech prowadzi! — odezwano się ze wszystkich stron.

Poleciały czapki w górę, a echa leśne powtarzały uporczywie:

— wadzi... wadzi... wadzi!..

Kiedy się nieco uspokoiło, wyjechał przodem Maksym, przed szeregiem stanął, czapkę zdjął:

— Dziękuję wam panowie „towarystwo“ za cześć i za sławę! — zawołał.

Uklonił się czapką z konia po kilkakroć w różne strony.

— Niech prowadzi! Niech prowadzi! — wołała cała wataha.

A za nią powtarzały echa:

— Niech... wadzi... niech... wadzi...

Szelest znowu skinął do kupki konnej, stojącej w środku majdanu.

Błysnęły w rękę litawry, dźwięczał głos ich pi-skliwie, zahuczał bęben, a nad ową gromadą jeźdzców zaszeleściła chorągiew, pod którą i w imię której miał watażka walczyć.

Wiatr poranny frunął, rozwinął chorągiew i furczał nią głośno.

Pod tą chorągwią stał bez czapki watażka świeżo obrany, obok niego Szelest, Bandurka i gromadka „mołodyków“ do asystencyi atamanowi, a łukiem ciągnęły się szeregi ochotników, oczajduszów bez domu i rodziny, gotowych na rzezie i mordy, pomrukujących niecierpliwością.

Na czoło tego orszaku wysunął się Szelest, trzymając *piernacz* w rękę.

— Panie atamanie! — zawołał, — kiedy cię sławne nasze „towarystwo“ na starszego wybrało, a Najjaśniejsza carowa mianowała cię pułkowni-

kiem, weźże ten piernacz, znak godności pułkowniczey i prowadź „mołojców“ gdzie twoja wola.

Przy tych słowach wręczył Maksymowi piernacz.

Znowu powietrze zatrzęsło się od krzyków, a czapki poleciały w górę. Pośród różnej mieszanej głośów, odbijały się tylko wyraźnie słowa:

— Prowadź! Prowadź!

Maksym wziął z rąk Szełęsta piernacz, podniósł go wysoko do góry, coś krzyknął niewyraźnie, znak jakiś w powietrzu piernaczem tak energicznie zrobił, że się aż pióra zatrzęsły i zamigotały; w tej chwili łuk watahi rozłamywać się począł na dwie połowy, a jednogłośnie odezwały się litawry, zahuczały bębny, zamigotały spisy i przednie ramię wysuwać się poczęło ku drodze.

VII.

Gruchnęła wieść po całej Ukrainie, że się „chłopstwo“ ruszyło... Głośno mówiono o manifeście, którym się watażkowie zbójeckich oddziałów zasłaniają, o jakiejś chorągwi, pod którą walczą, — a tymczasem powstał zamęt nie do opisania: szlachta i Żydzi uciekali gromadami z południowych powiatów województwa Kijowskiego i Braclawskiego, — jedni chronili się do Humania, który uchodził za warownię dobrze obsadzoną i mocną, inni do Winnicy

i Braclawia. Od Czehrynia, Czerkas, Smiły, Moszen ciągnęły tłumy, roznosząc przekleństwa i postrach.

Chwila to była tem straszniejsza i cięższa, że wszystko, co było lepszego, przystąpiło do konfederacyi Barskiej—starcy tylko, kobiety i dzieci w domu zostały.

A tymczasem gwałtowna fala przybierała coraz bardziej, — postrachem, pożogą, morderstwem, grabieżą coraz szerszy promień obejmując. Z ust do ust podawano sobie nazwiska watażków — Żeleźniaka, Szełesta, Bondarenkę, Szwaczkę...

Wiadomości o ruchach watahy Żeleźniaka o tyle tylko bywały prawdziwe, o ile dotyczyły grabieży i mordów, dokonywanych przez niego, ale o kierunku w jakim iść zamierzał, nikt nigdy na pewno nie wiedział. Działo się to z tej racyi, że Żydzi przystępu do niego nie mieli, a próżniacza i rozzuchwalona część chłopstwa, kupiąca się koło śmiałego watażki, mało interesowała się tem, w jaką stronę ją poprowadzą, pewną będąc, że wszędzie znajdzie żer dla siebie.

Nowomianowany pułkownik w ciągu niespełna dwóch tygodni odwiedził Czerkasy, Moszny, Smiłę, powiększając po drodze przemocą lub namową watahę swoją, za którą zagonami wlokły się kupy włóczągów, napół pijane, uzbrojone w koły tylko, spędzając w ręce Maksyma przestraszonych Żydów i szlachtę z okolicy plondrowanej.

Obóz hajdamacki powiększał się z dniem każdym, a pijany krwią i gorzałką, posuwał się w głąb Ukrainy.

Do Janówki coraz groźniejsze dochodziły wieści. Kobiety były zupełnie prawie bez obrony, bo kilkunastoletniego wyrostka Jurka nie można było jeszcze rachować na seryo. Zresztą, cóżby on sam jeden zrobił? — Wojska polskiego na Ukrainie nie było. Tu i ówdzie w dalekich promieniach stało po kilka chorągwi dragońskich, o których działalności nie było jednak żadnych pocieszających wieści. Liczono najwięcej na Humań. Obiegały nawet pogłoski, że półtora tysiąca nadwornych kozaków Potockiego Mładanowicz już wysłał przeciwko hajdamakom... ale pewności nie było żadnej.

Takiem życiem bez pewnego jutra żył także dwór w Janówce. Było to tem cięższe, że pogłoski te krzyżowały się bezustannie, jedna drugą kasując.

W oczekiwaniu tedy owej niewiadomej grozy, która wisiała nad głowami mieszkańców Janówki, podstarości wypędzić kazał w lasy i czahary bydło i konie, a co kosztowniejsze sprzęty domowe stały upakowane i gotowe do włożenia na wozy każdej chwili, ażeby razem z ludźmi jechać gdzie oczy poniosą. Tymczasem nasłuchiowano pilnie, skąd nadlecą echa trwogi, ażeby do nich bezpieczeństwo swego życia przystosować.

W takim samym położeniu był także arendarz janowiecki Salomon z całą rodziną.

Odległość watahi żeleźniaka od Bohusławia kilka mil tylko wynosiła. Wiedziano, że po rozgromie Czerkas i Smiły stanął obozem w Czerwonym jarze i od kilku dni ucztuje zapamiętałe, spijając antałki

małmazyi, wina i gorzałki, zrabowane w piwnicach szlacheckich, ale w jaką stronę z Czerwonego jaru ruszy się — nikt się nie domyślał nawet. Dwie drogi miał przed sobą: na południe do Humania i na północ do Białej Cerkwi. Już samo wybranie tych punktów świadczyło, że watażka wzmógł się w siły i dąży do zdobycia mocnego zaczepnego stanowiska.

W chwili takiej niepewności, zaturkotał przed bramą janowieckiego dworu wózek Salomona.

Arendarz był gościem zawsze nader pożądanym, bo za pośrednictwem jego otrzymywały osamotnione kobiety wiązaną plotek i pogłosek, jakie w okolicy krążyły.

— Jakież tam nowiny panie arendarzu? — spytała Olszewska.

Żyd westchnął.

— Nowiny? Dobrych nie ma, a złe jeszcze mogą być...

— Cóż przecie? Co mówią?

— A cóż!.. „pan pułkownik“ — rzekł pogardliwie Salomon — obozuje w półtora tysiąca na Czerwonym jarze, a co będzie... Bóg wie.

Odpowiedź ta nie zadowoliła pani Olszewskiej.

— Cóż zamyśla? Ludzie muszą coś przecie wiedzieć?

— Gadają to i owo... Jedni mówią, że na Humań pójdzie, drudzy, że na Białą Cerkiew. Jeżeli pójdzie na Humań... może nas minąć.

— Cóż mamy robić? — spytała, patrząc pilnie w twarz arendarza.

— Albo ja wiem... Tymczasem siedzieć. Jeżeli dowiemy się, gdzie ruszył... wtedy będziemy wiedzieli, w jaką stronę i nam dążyć trzeba.

Wiadomość ta uspokoiła trochę Olszewską.

Salomon ciągnął dalej:

— A teraz dokąd uciekać? Można, jak raz, broń Boże, temu przeklętemu charcyzowi — przy tym wyrazie splunął — w ręce wpaść!

Olszewska przypomniała sobie, co Piotr Szepiński i mąż mówili o Humaniu, o jego sile obronnej.

— Możeby do Humania... — wtrąciła.

— Boże uchowaj! — zaprotestował Salomon gorąco — tam jeszcze gorzej, niż w Janówce. Jeżeli on ruszy się na Białą Cerkiew, wtenczas my do Humania, ale teraz? Teraz on dobrze wie, że wszyscy do Humania uciekają, on ich tam znajdzie akurat... *Wun* ma rozum — zauważył po chwili, — *wun* robi tak, jak lis: spędza wszystkie kury do jednego kurnika, ażeby je łatwiej mógł wydusić. *Wun* wie, że szlachta zwozi tam wszystko, co ma najlepszego... i myśli sobie: niech zwozi, łatwiej mi to zabrać w jednym miejscu, niż szukać po wsiach i karczmach.

Uwagi te były dość przekonywujące. Zdecydowano tedy, że trzeba zostać na miejscu i czekać.

Czekano tedy. —

A tymczasem Maksym upajał się własnym powodzeniem.

Czerwony jar możnaby było nazwać raczej wielką doliną, której brzegi okolone były rzadkim dębo-

wym lasem, a środek tworzył równą płaszczyznę, zasłaną zieloną murawą. „Czerwonym jarem“ nazwano ją dlatego, że brzegi lasu, obrosłe gęsto czereśniami, okrytymi w jesieni purpurowymi liśćmi, nadawały taki pozór dolinie, jak gdyby była oprawioną w ramy purpurowe i złote.

Maksym nie dla piękna ją wybrał, ale dla obszerności i zacisza.

W środku prawie cwej doliny, stał wielki namiot dla starszyny, koło którego grupowała się cała wataha, — dla reszty „mołodców“ nie rozbijano namiotów, bo ich nie było; zresztą drużyna charczyów, przyzwyczajona do burłackiego życia, doskonale umiała obozować pod gołym niebem.

Wzdłuż tedy i wszerek doliny rozłożyli się mołojcy kupkami — jak się komu podobało, jak komu przypadało do smaku, — kierując się jedynie gustem własnym. Każda kupka rozkładała pośrodku ognisko, grupowała się koło niego, siadając po turecku lub leżąc. Każdy spię swoją wetknął w ziemię przy sobie, na rozścielonej burce sam się położył, kładąc obok samopał i pistolety. Kurzono lulki, bałakano, baraszkowano... Słychać było bezustannie huk, krzyk, śpiewy, nawoływania.

Tuż obok na wgórkach leśnych, na stokach doliny pasły się posiadłane konie—gotowe każdej chwili do wymarszu: miały tylko popuszczone popręgi, a wędzidła pobrzękiwały im przy pyskach, ile razy który schylił się trawy skubnąć lub głową kiwnął od muchy.

Nie rozstawiano pikiety ani łańcucha, tylko tu i ówdzie można było dostrzedz na najwyższym dębie siedącego człowieka, który bystrem sokolem okiem błędził po całej okolicy, czy gdzie niebezpieczeństwa dla watahy nie dopatrzy.

Pod taką strażą mogła sobie hulać swobodnie drużyna hajdamacka, tembardziej, że odgłos jej hulanek odbijał się od ścian lasu i pod błękitem nieba ginął. Mógł tedy ktoś tylko z wypadku obaczyć z bliżka taki ul hajdamacki.

Przed namiotem watażki rozlokowała się kupka kozaków i gromada „mołodyków“, z Bandurką na czele, gotowych i chętnych zawsze do usług.

Nad obozem hajdamackim wisiała noc ciemna, głucha, posępna. Zdawało się, że gwiazdy pochowały się w taką głębinę, że ledwie mruganie ich dostrzedz można było, a światłość od nich nie dosięgała wcale do ziemi. Tu, na dole, na zielonem tle murawy, połykiwały zapalone ogniska, migając czerwonym światłem, które grubym cieniem kładło się na postaciach i twarzach obozujących harcyczów. Jedni z nich, leżąc, palili lulki, inni opowiadali sobie przebyte zdarzenia, dalej znowu krążyła czarka i brzmiała pieśń hulacka.

Watażka leżał samotny w namiocie. Nikt mu nie chciał przerywać samotności. Nawet Szełest i Danyłko nie wchodzili do namiotu; przysiedli się do najbliższego ogniska mołodyków i bawili się rozmową.

Z dala dolatywał miarowy huk bębenka, pobrękiwały talerze i słychać było urwane, ostre takty śpiewu.

Watażka wsłuchiwał się w te echa, głosy, w tę mieszaninę rozmowy, muzyki i pieśni.

Leżał zamyślony, posępny, z brwiami ściągniętymi. Lulki nawet nie kurzył, tylko ręce pod głowę podłożywszy, leżał nieruchomy, w szczyt namiotu patrząc. O czym on myślał? Był już w Czerkasach, w Smile, splondrował wszystkie drogi boczne zagonami swemi, zgromadził o dwakroć większą kupę, niż wyprowadził z Motrońskiego monasteru, i stanął wreszcie na rozstajnej drodze. Trapiła go myśl, dokąd się udać teraz?..

Spodziewał się posiłków, obiecywanych przez Melchizedeka... ale nie nadchodziły dotychczas. W tej ciszy nocnej, przerywanej tylko hałasem obozowym, marzyła mu się buława hetmańska, ale marzenia te przerywały jęki, płacze i modlitwy wołające o litość pomordowanych przez niego ofiar... Starał się o czym innym myśleć, aby te widma odstraszyć, ale wracały natrętnie i stawały przed nim długim, nieskończonym, zda się, szeregiem. Płasały przed jego wzrokiem, łączyły się niby w jakieś korowody, które wieńcem krwawym otaczały mu głowę...

Prypatrywał się im z dzikiem ogniem w oku, i zdawało mu się, że koło niego cisza głęboka panuje, że jest sam jeden, — jak gdyby uszy jego zamknięte były zupełnie na dźwięki zewnętrzne, a ten świat urojony, który przed nim tyle grozy, krwi i jęków roztoczył, był rzeczywistym jakimś światem.

Mrugał oczyma, głową potrząsał, jakby się ze snu budził i pragnął resztki snu rozpędzić świadomością, że nie śpi. <http://rcin.org.pl>

Wtenczas słyszał znowu hulaszczę hałasy i pieśni, płynące ku niemu nieprzerwaną falą. Coś dzikiego, gwałtownego, przebijało się w tych głosach.

I w duszy jego miotano się tyle sprzeczności, ile sprzecznych dźwięków wdzierano mu się gwałtem do ucha.

Nie kontent był ze siebie. Niejasno określone marzenia zuchwałej dumy i buty, błakające się manowcami, nie przynosiły mu nic.

Melchizedek szeptał mu do ucha, że byle z lasu wyszedł, byle szablą błysnął, przylecą mu na pomoc pułkownicy i jenerały, i tryumfującemu buławę hetmańską u nóg położą... Tymczasem nikt się nie zjawiał. Wiódł ze sobą pełne wozy nagrabionego złota, srebra, szat, pieniędzy... i cóż? Dalej rznąć? Dalej grabić? I cóż z tem wszystkim robić? Ilość wozów zwiększała się, stając się tylko zawadą w drodze. Więc na to tylko gromadzić, aby wozić? Niepokój, niepewność, wściekłość go ogarniała, bo nie miał przed sobą innego celu... oprócz krew ludzką toczyć.

Natoczywszy jej dowoli, zatrzymał się w Czerwonym jarze, ażeby pozwolić pohulać mołojcom. Hulają już dzień trzeci i on gęsto czarki wychyla; przyszło nareszcie pytanie: co robić dalej? Płynąć i płynąć morzem krwi, aż w końcu głowę położyć pod szubienicą... jak położyło już tylu innych przed nim?

Miotano się tedy w walce sam ze sobą, jak wilk w matni.

Wyszedł wreszcie z namiotu. Stał przed progiem i okiem na prawo i na lewo potoczył całą doliną,

gdzie obozowała jego wataha. Płonęły ognie, a od nich nieprzerwaną falą płynął szmer odgłosów najrozmaitszych, zmieszanych w jeden chaos. Tam pieśń jakaś rozpasana zrywała się z ust pijanego charcyza, tu jęczała dumka żałośnie, ówdzie słyhać było skoczne tempo kozaczka i na tle szerokiego ogniska migały w szalonych podskokach jakieś cienie...

Patrzył, wąsy kręcił. Uczuł pewną spólność swojej istoty duchowej z dziką duszą tego hulaszczego tłumu, który pragnął tylko żyć i używać za cudze złoto, za cudzą pracę, a podobny był do niedźwiedzia, prowadzonego przez cygana na kółku, przedzierzgniętem przez nozdrza.

Niepostrzeżenie zbliżył się do niego Szełest.

Maksym odwrócił się i dojrzał go, ale spojrzenia na nim nie zatrzymał — znowu pobiegł okiem wzdłuż obozu.

Szełest miał swoje plany, ale się z niemi przed watażką nie zdradzał... Wyczekiwał.

Spokojnie zwrócił się do żeleźniaka :

— A cóż *bat'ku*, trzebaby się nam ruszać może? He?

— Trzebaby...

Nie była to odpowiedź, brzmiąca stanowczością i świadomością.

— Dokądże myślisz?

Maksym nie miał jasno sformułowanej odpowiedzi.

— Na Humań może? — podpowiedział Szełest. Tam kilkuset naszych zamknęli panowie. Dobrze byłoby ich wypuścić.

— Chodźmy na Humań...

Tak samo poszedłby na Białą Cerkiew, na Fa-
stów, na Stawiszcze.

Kilkodniowa zwłoka drażniła go, miotła nie-
pokojem, niepewnością, budziła w jego duszy roje
niejasnych pragnień chęci. Wolał krwawą rozpra-
wę ze szlachtą i Żydami, gdyż wtedy zapominał
przynajmniej o wszystkim.

Rad był, że mu Szełest coś stanowczego pod-
powiedział.

Ręce tedy w tył założywszy, ruszył powoli środ-
kową drogą, z obu boków której szeregiem gorzały
ogniska, a przy nich baraszkowały lub bawiły się
gromady „mołojców“.

Szedł sam na pół pijany, przypatrując się z pe-
wnem zadowoleniem pijanej i rozpasanej swawolą
tłuszczy swoich „bratczyków“.

— Hulajcie, hulajcie, panowie mołojcy — mó-
wił zachęcająco — jutro na Humań ruszymy.

— Hura bat'ku, hura! Na Humań! Na Hu-
mań!

Hasło to przeleciało jak błyskawica z jednego
końca obozu na drugi.

— Hura bat'ku! Hura!—rozlegało się zewsząd.
Z ust do ust podawano sobie co ataman oznaj-
mił mołojcom.

— Na Lachów!

— Na Żydów!

— Dosyć ich panowania!

Przez długą chwilę nic innego nie było słychać.

Ataman przechadzał się śród pokrzykujących mołojców, powtarzając:

— Hulajcie, pany braty! Nie żałujcie ani ho-ryłki, ani medu! Za tydzień będziemy pańską pili w Humaniu!

— Do Humania! Do Humania!

— Anu, w prysiudy! — zachęcał, zbliżywszy się do tańczącego kozaka.

Na głos ten zahuczała ziemia pod mołojcami. Tancerze poczęli przysiadać w takt pobrzękującego im bębenka, wyciągając to prawą to lewą nogę przed siebie, z taką zręcznością i szybkością, jakby uderzeniem nogi bronili się od jakiejś gwałtownej napaści. Przysiadając i przytupując do siebie, wyciągali naprzemian prawe lub lewe ramię, robiąc ruchy, jak gdyby jeden drugiemu chciał spię w piersi wpakować. Po tych wysiłkach, wzięwszy się „w boki“, poczęli jeden drugiego okręzać z daleka, i oddalać się coraz bardziej, nadając ciałom swoim jakieś wściekłe i szalone ruchy, to rzucając się w bok, jak szczupaki, to podskakując lub przysiadając w najrozmaitszych figurach. Wszystko to odbywało się niemo, cicho, tylko czasem zapaśnicy przesuwali baranie czapki z jednego boku głowy na drugi. Oddalivszy się na dość znaczną przestrzeń od siebie, znowu w „prysiudach“ zbliżać się ku sobie poczęli, okręzać się, aż nareszcie zbliżywszy się, znowu atak do siebie przypuścili.

Był to prawdziwy wzór dzikiej walki jakiegoś

zuchwałego „bratczyka“ zaporozkiego z równie dzi-
kim i zwinnym jak on Nogajem.

Maksym „w boki“ się wzięwszy, patrzył z zado-
woleniem, ale posępnie, na te zapasy zuchów.

— Dobrze chłopci! Dobrze! — chwalił.

A chłopcy ledwie ze skóry nie powyskakiwali
z radości.

Tak oszczędzany obóz piechotą, watażka rozbu-
dził go, zasypiający na nowo. Przywieziono wozy
z nowemi beczkami gorzałki — dar atamana —
i mołojcy znowu rozpoczęli hulankę szaloną.

Rozzuchwalony dziką swawolą watażka, kazał
dla starszyny i dla mołodyków wytoczyć beczkę
miodu i wina. Opanowała go niepohamowana chęć
do hulanki, — pragnął sobie może w ten sposób zro-
bić upust dla niewytłumaczonej tęsknoty, trawią-
cej go.

Zabrzęczały blaszane kubki kozackie, polały
się miód i wino strugą. Ataman sam do pijatyki
zachęcał, sam gęste kielichy wychylał, jakby pra-
gnął zapić trawiącą go gorączkę.

Pił, zdawało się, bez pamięci, śpiewał, a po-
chwyciwszy za połę trzeźwiejszego od niego Szele-
sta, począł z nim wycinać takiego tropaka, że aż
trawa z pod butów mu leciała.

Wreszcie na pół przytomny na ziemię się zwałił.

Leżał, na łokciu oparty, sapał i bezmyślnem
okiem na ogień patrzył. Nikt ze współbiesiadników
nie troszczył się o niego.

Danyłko, siedząc po turecku przy nim, na bandurze pobrzękiwał.

— Hraj! — wrzasnął mu nad uchem ataman.
Nie można było oponować.

— Szczo bat'ku?

— Jak Lachy korzyli się przed nami!

— Dobre bat'ku!

Wnet bandurę dostroił i śpiewać począł fałszywie:

Oj w horcdi, u Czerkasi surmy zasurmiły

Jak ti lački komisary do nas pryhodyły;

Oj w horodi u Czerkasi bubny zaorały

Jak ti lački komisary do nas prybywały!

Neraz iszcze surmy j bubny budut wyhrawaty

Ta naszoho atamana w hetmany prochaty.

Ostatnie dwa wiersze Danyłko dorobił z pechlebstwa.

Trafiły one w gust i w myśli watażki. Odwrócił się na łokciu na drugą stronę ku Bandurce, splunął i zapytał:

— Jak? jak to było?

Danyłko powtórzył:

Neraz iszcze surmy j bubny budut wyhrawaty

Ta naszoho atamana w hetmany prochaty.

Maksym nagle porwał się na równe nogi.

— Chłopci, medu! Cóż wy popsaliście się sobacze syny! Szełest, de ty?

Przed oczyma stanął mu Szełest.

— Wyna każy natoczyty! Dziś nasze, jutro... do czorta należy.

Przynieśli mu miód i wino.

Lał w siebie jedno i drugie naprzemian i mo-
łojców zachęcał:

— Pyjte chłopci! Pyjte!

Piana mu się od krzyku i mówienia w kończy-
nach ust zebrała.

— Pyjte chłopci! — wrzeszczał.

Usta mu do jakiegoś bełkotu składały się, —
wreszcie niewyraźnie przyśpiewywać zaczął:

Dobre meni howoryła nebiszczeczka matka:

Ne jdy doniu za takoho szczo na bakir szapka.

A ja matki ne słuchała,

Samaż bidu napytała

Teper propadu!

— Hu! Ha! — wykrzykiwał pijany. — Dajcie
mnie choć jeden dzień panowania... a potem niech
dyabli wszystko biorą!

Po takiej nocnej hulance nie było mowy o wy-
ruszeniu nazajutrz na Humań, — panowie mołojcy
musieli się przespać i przetrzeźwić.

Ten i ów jednak nie zadawałał się miodem
i gorzałką obozową, — wymykał się tedy do pobliz-
kiej karczmy lub futoru, lubując się chętniej w za-
bawie z „babami“, niż ze swoimi tylko.

Z powodu tej okoliczności, wiadomość o wy-
marszu watahy hajdamackiej na Humań, przedosta-
ła się równo ze świtem po za obręb obozu, a stam-
tąd do bliższej i dalszej okolicy.

Pod wieczór już wiedział o zamiarze charcy-
zów Salomon i uradowany pospieszył natychmiast
do dworu.

Ledwie panią Olszewską zobaczył, radośnie zawołał:

— Na Humań poszli!

Cieszył się, że nieszczęście jego ominęło—inni mało go obchodzili.

W rodzinie Olszewskich nowina ta inne zupełnie sprawiła wrażenie. „Poszli na Humań“, — to znaczy krew i ogień ponieśli tam, gdzie mieszkają ich powinowaci, znajomi, bracia! Pani Olszewska obawy swojej nie sformułowała wyraźnie, ale ją łatwo można było odgadnąć. Posłyszawszy wiadomość tę z ust Salomona, stanęła jak posąg, z utkwionemi w niego nieruchomie oczyma. Później powolnym ruchem ręce obie złożyła i do czoła sobie przykładając, wyszeptała:

— Niech-że im Pan Bóg będzie obrońcą!

Powolnie rozplotły się jej dłonie i opadły.

— Skąd-że o tem wiecie? — spytała.

— Uradzili między sobą...

— Uradzili... Niechże się dzieje wola Boża! — rzekła z rezygnacją.

IX.

Wiadomości, zasiągnięte przez Salomona, co do ruszenia się watahy żeleźniaka na Humań, były pewne.

Istotnie, odpocząwszy jeszcze dzień jeden w Czerwonym jarze, watażka na Humaną pociągnął.

Na pierwszym jednak odpoczynku dano znać Maksymowi, że jakiś człowiek chce się z nim widzieć.

Zaniepokoiło go to.

— Co za człowiek? skąd?

— Mówi, że z Humania.

— Z Humania?

Do uczucia zaniepokojenia przyłączyło się jeszcze zdziwienie.

— A Szelest widział go już?

— Nie jeszcze...

Chciał widocznie zasięgnąć rady Szelesta.

— Ma jakie pismo?

— Nie ma...

Niecierpliwiło to watażkę.

— Cóż mówi?

— Chce się widzieć z Szelestem i z Waszą Wielmożnością... ma nowiny...

— Trzymać go pod karaułem!

Po odejściu „mołodyka“, zwiastującego mu tę wiadomość, zamyślił się.

— Czort jego wie co to za jeden i czego chce!

Wtem z daleka spostrzegł Szelesta, idącego ku niemu z jakimś człowiekiem. Człowiek to był, widać, nie wojskowy, bo w czarnej, połatanej chłopskiej siermiędze; broni nie miał żadnej. Idąc równo z Szelestem, prowadził za powód konopny nędzną, chudą, małą szkapinę, która miała przez grzbiet

przerzucony worek i jakieś dwa węzełki, naśladowające troki.

Szli i rozmawiali, do Maksyma zbliżając się.

Zbliżywszy się, ów nieznamy pokłonił się czapką do nóg watażce, a Szelest szepnął mu półgłosem:

— Posłaniec od Gonty...

Maksym zmierzył go surowo od stóp do głowy. Posłaniec niezmierny, rzekł:

— Pan Gonta przysłał Waszej Wielmożności pozdrowienie i... przekaz.

Jaki miał jednak „przekaz“ — nie powiedział. Szelest już wiedział o tem.

Chcąc widocznie ułatwić posłańcowi powtórzenie owego „przekazu“ tak, ażeby nikt ani słówka nie słyszał, odprowadził watażkę i posłańca na stronę nieco.

Tu we trójkę rozmawiali długą chwilę. — O czem? nikt tego nie wiedział.

Skutkiem zapewne tej narady, obóz hajdamacki zmienił kierunek drogi: — nie poszedł wprost na Humań, lecz skierował się na Bohusław. Widocznie Gonta nie był jeszcze gotów.

Nikt jednak nie powiadomił już o tem Salomona.

Wataha ruszyła w drogę znanym już porządkiem: wielką drogą główny oddział, a zagony bocznymi.

Na drugi dzień w nocy mieli stanąć wszyscy

w Bohusławiu. O zdobyciu go nie było mowy, tak samo, jak nie było mowy o obronie.

Garstka dragonii uspokojoną była zupełnie wieściami, że Maksym na Humań ruszył innym szlakiem. Mieszkańcy na czas jakiś przynajmniej odetchnęli i po długich tygodniach trwogi, wstąpiła w nich otucha, że watażka ominął Bohusław. A potem... może przecie jaka pomoc nadejdzie, albo... zjawi się nowy rycerz, który krwią zaleje rynek, a miasto ograbi.

Tymczasem nie było słyhać o nowym takim rycerzu, a groźny watażka w inną poszedł stronę.

Jednym z zagonów, zbliżających się do Bohusławia, dowodził Danyłko.

W Janówce nikt nie spodziewał się rychłego najazdu hajdamaków, tembardziej po uspokajających wiadomościach od Salomona.

Okolo północy pani Olszewska została rozbudzoną nagłym stukaniem do drzwi.

Obudziła się raptownie. Stukanie nie ustawało.

— Pani... pani... otwórzcie...

Poznała głos niańki. Głos jej brzmiał akcentem przestachu.

— Co się stało? To wy, Horpyno?

— Ja... Otwórzcie...

Hałas i rozmowa, pełna niepokoju i przestachu, obudziły także Czarnecką i Marynię.

Wszystkie kobiety skupiły się w jednym pokoiku koło Horpyny.

— Pożar pani... — wyjękła niańka.

Ruszyły się wszystkie do okna. Istotnie widać było szeroką łunę.

— Z ganku lepiej dojrzeć.

Każda coś na siebie zarzuciła i na ganek wybiegły.

Stłoczyły się w jedną kupkę, tak, że się ramionami dotykały i w niemym przestrachu na buchającą iskrami łunę spoglądały.

— Gdzież to może być? — spytała Olszewska.

— Niedaleko... może na końcu wsi... może karczma Salomona... — wtrąciła Czarnecka.

Uwaga ta jakimś smutnem przecuciem tknęła Olszewską.

— Ach, Boże!

Tymczasem przez ciche powietrze nocy płynęły ku patrzącym niewiastom jakieś szmery, głosy, wrzawa.

— Już się ludzie zbiegli ratować... — zauważyła Olszewska.

Tymczasem Jurek dla lepszego przekonania się w jakiej stronie pożar, na dach od stajni wdrapał się z kilku parobkami.

Pośród głuchej, cichej, ciemnej nocy, na tle stepu widać było wyraźnie w płomieniach karczmę Salomona.

— Karczma się pali! — krzyknął z dachu, — ale są ludzie... ratują...

— *Och, nieszczęście!* — jęknęła Horpyna.

Olszewska przyjęła te słowa jako współczucie dla arendarza.

— Lećże tam Jurek, dowiedz się, czy czego nie trzeba.

Jurek już z własnej ciekawości rad był tam bieżeć. Kazał sobie i parobkom konie posiadłać i nie czekając aż oni będą gotowi, sam co rychlej do karczmy poleciał.

Tymczasem alarm się robił coraz większy. Słychać było z daleka tętent kopyt końskich, wrzawę głosów ludzkich. Głęboka ciemność nocy jeszcze więcej tajemniczości nadawała całemu obrazowi.

Wtem dzwon zajęczał na dzwonnicy. Uderzył raz, drugi, trzeci... dziesiąty; gorączkowym ruchem i drżącą ręką dotykany, wydawał głos nierówny, jękliwy. Po chwili ustał. Ale tuż koło cerkwi podniosła się szeroka łuna pożarna, a śród ciszy nocnej słychać było wyraźnie płacz ludzi.

Kobiety stały jeszcze skupione i przerażone na ganku. Nieśmiały mówić, nie wiedziały, co począć. Oczekiwały przybycia Jurka.

— Oj pani, pohano, utikajmo! — zawołała Horpyna.

W tej chwili tuż za domem i przed bramą załomotały burjany i bodiaki i naraz odezwało się kilka głosów:

— Dawajno krzesiwa i hubki, usmażymy Laszków...

Zatrzeszczały wrota, płoty, i w jednej chwili płomień buchnął pod strzechę dworku, stajni i gumna...

Płoneły równocześnie i dwór Imćpana Olszewskiego, i zagroda popa.

Tak rozpoczęli swoje gospodarstwo w Janówce charczy.

Jurek pojechał do karczmy — i nie wrócił.

Rychło się wyjaśniło wszystko: zagon hajdamacki, pod komendą Danyłka, grabił dwory popa i dziedzica w Janówce, inny, pod rządami Hryńka, gospodarzył w karczmie Salomona.

Napad charczyków na karczmę był taką samą niespodzianką dla arendarza, jak i dla pani Olszewskiej na dwór janowiecki. Pewny był tego, jakie postanowienie zrobił watażka owej nocy hulaszczej w Czerwonym jarze, nie wiedział tylko, że zajdą okoliczności, które wpłyną na zmianę tego postanowienia.

Cała rodzina Salomona już dobrze spała, kiedy zagon Hryńka do karczmy się zbliżał. Nie spał tylko Josek. Parna, ciemna, głucha noc drażniła mu nerwy — dusił się formalnie w małym alkierzyku janowieckiej karczmy.

Co pół god: ny zrywał się z łóżka i wybiegał na świeże powietrze, ażeby odetchnąć swobodniej. Stawał za drzwiami, w głęboką ciemność nocy wpatrywał się, wsłuchiwał się w szmery i odgłosy nocne, w szczekania psów dalekie, które wydawały mu się gwałtowniejsze, silniejsze niż zwykle — i znowu wracał do alkierza.

Wychodzenie jego obudziło ojca.

— Co ci jest Josek?

— Spać nie mogę... coś mię dusi...

Salomon zaniepokoił się.

— Co ci? choryś może?

— Nie ojczy... Już mi lepiej... to tak bezsenność mnie ogarnęła...

Nie umiał wytłumaczyć swego uczucia—była to jakaś bojaźń, jakaś trwoga, jakieś przecucie niebezpieczeństwa. Nie chciał mówić o tem ojcu, ażeby go nie trwożyć. Położył się znowu do łóżka, usiłował zasnąć, zamykał oczy, ale zamiast snu, przychodziły go nawiedzać mary, w uszach szumiały mu dźwięki, Bóg wie skąd płynące. Oczy to się do snu kleiły, to się otwierały, wprawiając go w stan pół snu, pół jawy. Leżąc w tym niby śnie, słyszał miarowe oddechy śpiącej rodziny.

Już zasypiał... Zdało mu się, że szmer jakiś słyszy za domem... Łypnął znowu oczyma i spojrzenie jego półsenne zatrzymało się na szybie okiennej: cień jakiś mignął za oknem... jakiś ognik błysnął...

— Tak, tam są ludzie... — pomyślał sobie.

Chciał krzyknąć—przestrach krtań mu ścisnął.

Ludzie... słyszać głosy, chodzenie.

Porwał się na równe nogi i przeraźliwym głosem wrzasnął:

— Tate! Tate! Uciekajmy!

Wtem wszystkie szyby w oknie pękły. Szkło zabrzęczało, rozsypując się po ziemi, a jednocześnie z za okna odezwały się głosy:

— A wstawajcie żydy do tańca!

Salomon miał tylko czas skoczyć na nogi i krzyknąć:

— Charczy! —

Wszyscy, porwawszy się wprost z łóżka, w jednych koszulach do drzwi się rzucili.

W oknie stały wesołe postacie hajdamaków i szereg spis najeżonych, gotowych na przyjęcie uciekających Żydów. To też instynkt samozachowawczy popchnął ich do drzwi.

Któryś jednak ze stojących w oknie charczyów skierował pistolet do alkierza i do kupy cisnących się ku drzwiom Żydów buchnął.

Nie trafił nikogo, — strzał ten miał jednak skutek że Żydzi, nacisnąwszy na drzwi, wywalili je i znaleźli się wszyscy w ciemnym podsieniu.

— Poświećcie Żydom prędzej, prędzej! — wołano za bramą.

Słysząc było krzesanie ognia i pocieranie o strzechę słomianą.

— Tak, tak... dobrze... Usmażyć ich...

Cała rodzina znalazła się w ciemnym podsieniu karczmy. Jasek miał tyle tylko czasu, że do schowanka, gdzie się odzież składała, wskoczył i ile mógł, nagarnął z wieszadła w ramiona. Każdy w ciemności uchwycił, co mu w rękę wpadło. Tymczasem z pod strzechy tu i ówdzie błyskał już ogień i czuć było zapach dymu. Po za karczmą słysząc wrzawę, krzyki, dobijanie się do bramy, nawoływania się.

Już drzwi i okna trzeszczały pod naciskiem ramion hajdamackich.

Salomon znał swoją karczmę: była tam fur-

teczka na podsieniu, wążiuchna, że ledwie jedna osoba przecisnąć się przez nią mogła, a tak szczelnie przypasowana do ściany w zamieć robionej, że najwprawniejsze oko dostrzedz jej nie mogło. Prowadziła ona wprost na kupę gnoju, piętrzącą się przed bramą, po za którą rosły tak olbrzymie bielunie i łobody, szczepiające się u góry gałęziami, że w razie niebezpieczeństwa tworzyły coś w rodzaju fortecy.

Las ten łobody, bieluniów, olbrzymich bodiaków kędzierzawych i burkunów, dotykał pola, na którym także gęsto porastały burjany.

W tę stronę, przez cicho otworzoną furteczkę, wymykał się Salomon. Porozumieli się naprzód, w jaką stronę mają uciekać i gdzie się spotkać.

Wysuwali się tedy wszyscy pojedynczo i, wsuwając się w bodiaki „raczkim“, pomykali coraz dalej. Tuż za Salomonem szła Sura, za nią matka i Josek.

Ojciec i córka przepelzli jakie kilkaset kroków, a będąc już pewni, że nikt z otaczających karcznię charczyków nie dojrzy ich, wynurzyli się z burjanów i dążyli wprost w pole, nie trzymając się ani miedz, ani drogi, do Hryckiego źródła, tryskającego u podnóża niewielkiej dolinki, która w tej chwili był już łąką skoszoną.

Szli szybko naprzód, nie oglądając się za siebie, pewni, że tuż za nimi w niewielkiej odległości podążają matka i Josek.

Spotkała ich jednak inna przygoda.

Josek wsuwał już głowę w burjany, a za nim,

nakrywszy się szabasowym chałatem męża, ażeby się uczynić mniej widzialną, pełzła na czworakach „bałabusta“, gdy nagle zrobiło się koło nich larum. Charczyzy dostrzegli wymykających się ukradkiem Żydów i z hałasem rzucili się ku nim. Josek już zdołał być w burjany się schować — matkę zaatakowano. Widząc toczącą się po ziemi jakąś czarną masę, a domyślając się w niej jednego z uciekających, pierwszy z brzegu sunął spisą w sam środek owej czarnej kuli.

Rozległ się głuchy jęk, kórego za hałasem i wrzawą nie słyszał nawet Josek, — i coś plackiem do ziemi przypadło.

— Ehe, zacipyło!

— Wał w bramę!

— Wysadzaj!

Salomonowa została na miejscu. Już się nikt o nią nie troszczył. Kiedy jedni w bramę walili i podkładali ramiona, aby ją podsadzić, przez okno dostała się do wnętrza alkierza gromada innych charczyzów i rozpoczęła tam plondrowanie.

O arendarza nikt nie pytał. Wystarczało im to, co zostawił.

Rozbijali więc komodę i szafę, wyciągając stamtąd wszystko, co tylko było, grzebali się na dnie kufków, wydobywając bieliznę, srebrne lichtarze, talerze, noże, sztuce — które zapewne od ich krewnych i przyjaciół do tego kufra przyszły — napychali tem wory, co się dało wiązali w węzły, i z pośpiechem podawali przez okno innym.

Tymczasem karczma płonęła. Ze szczytu dachu leciały w ciemną otchłań nieba kłęby dymu i iskier, wijąc się razem w bure sploty i sycząc ognistemi językami. We wnętrzu gmachu, gryzącym dymem napełnionym, tu i owdzie przedzierały się już płomyki, krokwie i przepustnice trzeszczały... A dokoła płonącego gmachu uwijały się konne i piesze postacie charczyków, harcując, kręcąc się, krzycząc, przebrukując się z tymi, którzy w alkierzu gospodarzyli. Jedni pakowali i wiązali wyrzucane im wory i węzły, inni troczyli to wszystko do siodła.

Wreszcie kilku z nich zbliżyło się do okna.

— Hodi! bude! — krzyknęli w jeden głos, — ogień we środku...

Tymczasem karczma płonęła jak świeca, coraz równiej, jaśniej.

Hałas stawał się mniejszym i tylko w ciemności i ciszy nocnej słychać było trzask płonącego gmachu i łomot padających krokwi.

Charczyki wjuczyli konie, spędzali do kupy bydło, świecąc sobie do tej roboty pożarem.

Od czasu do czasu słychać było tylko głos Hryńka.

Wreszcie wszyscy, zebrawszy się razem, mieli dążyć do Bohusławia, gdzie główną kwaterę nazначył sobie watażka.

Przestraszony Josek, wydostawszy się z burjanów na szczerze pole, obejrzał się po za siebie, i przekonał się, że sam jest. Wpatrywał się w ciemność nocy, — żywej ludzkiej twarzy nie widział. Widział

natomiast karcznię, która płonąć jasno, oświecała daleką okolicę i słyszał gwar charczyków, hulających na ruinach domu, w którym ujrzał światło dzienne, w którym wyrósł i wychował się. Wodził długo błędem, przestraszonym spojrzeniem dokoła, szukając matki, ojca siostry — ale nikogo nie było; tylko cisza go otaczała wielka, poważna, posępna, a każdy powiew wiatru przynosił mu nowe dźwięki krzyków i nawoływań. Poruszanie się dziewczyny, szelest liści bodiaków w drzenie go wprawiał. W obawie i trwodze, czy za nim nie pędzą charczyki, Jasek chyłkiem przemykał się przez burjany w pole. Oglądał się, czy nie słyszy za sobą kroków czyich, — nie było nikogo, ani ojca, ani matki, ani Sury. Podążył więc do Hryćkowej krynicy, gdzie sobie naznaczyli schadzki.—I tam pusto i głucho. Błady, przestraszony, zmęczony, usiadł i płakać począł, płaczem nerwowym, gwałtownym. Pierwszy raz w życiu sam się znalazł wśród nocy, w niepewności o los i o życie rodziców.

Kiedy zagon Hryńka gospodarzył w karczmie Salemona, Jurek, w naiwności swojej, przyjął charczyków za ludzi ratujących i pędził wprost ku nim głównym traktem. Zbliżywszy się na taką metę, że już mógł okiem dosięgnąć, i zdać sobie sprawę z tego, co widzi—cofnął się. Domyślił się, że to jakiś napad rozbójniczy; uwijające się koło ognia postacie charczyków, dolatujące z daleka oderwane wyrazy — wszystko to pozwoliło mu odgadnąć, że leci wprost

w ręce charczyów. Cofnął się więc — ale już było zapóźno. Dostrzeżono go.

Wnet krzyk posłyszał za sobą:

— Łapaj go! łapaj! Hu, ha!

Z tententu kopyt końskich wnosił, że pędzi za nim co najmniej kilku ludzi.

On tymczasem czesał żwawo traktem i byłby umknął niezawodnie.

Charczyzy pragnęli go widocznie żywcem złapać. Spostrzegłszy jednak, że go dogonić nie mogą... strzelać poczęli. I strzały te straszne nie były. W ciemności nocy chybiały ustawicznie. Co chwila tylko, to koło ucha, to nad głową świstały mu kule hajdamackie. Byłby zemknął — w tem znaczeniu, żeby do wsi i do folwarku zdążył. Nie uchroniłby się był w ten sposób od rąk hajdamackich, gdyż w chwili, kiedy on pomykał traktem bohusławskim, dwór w Janówce już płonął, a charczyzi wiązali do drągów matkę jego i rodzinę.

Przypadek zrządził inaczej. Jeden ze strzałów, wymierzonych w niego, trafił w lewą nogę konia.

Koń podskoczył, zarżał, zakulał i upadł jak długi, a z niego zwałił się na ziemię Jurek.

Ledwie miał czas przyjść do siebie od upadnięcia i zerwać się, już mu na karku siedziało kilku charczyów. Prawie wjechali na niego końmi, tak, że o ucieczce nie było mowy.

Jeden z bardziej krewkich, dojeżdżając, pchnął go spisą.

Szczeńściem, było to pchnięcie dość lekkie.

— Nie zabijaj! Czekaj!—mitygowali go inni. Kilka szabli podniosło się nad jego głowę.

— Czekaj! Niech go ataman wypyta. Tam będzie rozprawa...

Uwaga widocznie uspokoiła napadających.

Jurek stał milczący, zmęczony i podtrzymywał lewą rękę, z której przez rękaw krew płynęła.

— Puście mnie, ludzie dobrzy...—prosił.

— Poczekaj, suczy synu! Dopiero ci w Bohusławiu zaśpiewają!

— A dajcie-no, chłopcy, uździenicę; trzeba tego Laszka związać...

Któryś z charczyzów odjął troki, poczęli ręce, na tył założywszy, krępować.

Nadjechał Hryńko, rozpytał, o co chodzi.

— Dobrze—rzekł,—pójdzie z nami do Bohusławia, tam go ataman wypyta... zobaczymy, co to za ptaszek.

Zwrócił się do jednego z tych, którzy zajęli się krępowaniem Jurka:

— Machnij-no ty do karczmy i powiedz, niech jada, po co będziemy się tutaj guzdrać. Karczma i bez nas spali się.

Skrepowali Jurka, poczęli go po swojemu egzaminować, żartować z niego, poszturgiwać,—wreszcie i to się im znudziło. Pozapalali lulki, gawędzili, a paląc i gawędząc, doczekali się powrotu od karczmy współtowarzyszy i wszyscy ruszyli ku miastu, pędząc w środku swojej kupy objuczone konie i związanego Jurka.

Danyłko nie próżnował także. Niewiele miał do czynienia na dworze Janowieckim, gdzie były same kobiety. Kazał tedy skrępować Olszewską, Czarnecką i niańkę i ruszyć z niemi wprost do Bohusławia, sam zaś na drugi koniec wsi pojechał, gdzie rabowali dom popa.

Marynia tymczasem domyśliwszy się, że na dom napadli charczyzy, tyle tylko miała czasu, że wskoczyła do izby, na koszulę narzuciła szubkę lisią, i, nie wiedząc o tem, że i popa ten sam los spotkał, co ich, wymknęła się pod opłotki i biegła do niego po pomoc.

Pojmano ją w drodze do popa,—i do Danyłka, kierującego rabunkiem, przyprowadzono.

Był on właśnie zajęty indagacją ojca Mikołaja, napastując go w najbrutalniejszy sposób o to, ażeby powiedział, gdzie ma pieniądze schowane. A na nie-szczęście, pop uchodził za bogacza.

Służba o żadnej skrytce nie wiedziała, a oprócz popa, nikogo więcej nie było do badania, gdyż popadia, domyśliwszy się o co chodzi, smyknęła z dziećmi w konopie, które tuż przy domu rosły, z konopi w burjany, z burjanów w pole.

I cóż, koźła brodo, nie powiesz, gdzie pieniądze?—pytał Danyłko.

— Bóg mi świadkiem, nie mam.

— Breszesz sobako!

— Nie breszę!

— Nie powiesz mnie, to powiesz atamanowi! — wyrzekł z zacięciem.

Do otaczających go charczyzów się zwrócił:

— Zwiążcie-no tego brodacza.

Rzucono się na popa.

W tej chwili właśnie, przed rozwalonym na ganku popowskiego dworku Danyłką, stanęła nowa grupa charczyzów, która plondrowała komory chłopskie i w czasie tego plondrowania, przydybała Marynię.

Bandurka spojrzał na nią ostro:

— A to co za „pannoczka“?

— Ze dworu.

— A tamci?

— Poszli już... Ona uciekła... jak powiada.

— Od nas nie ucieknie! Związać ją... poman-druje razem z popem.

Rzucono się tedy do wiązania jej rąk.

Danyłko zatrzymał ich krótkim rozkazem:

— Czekaјte!

Zbliżył się do niej i poję szubki odwinął.

Jaskrawe światło płonących budynków, do popowskiego dworku należących, oświetlało scenę.

— Co to? Lisia szubka? Teraz gorąco, lato Bóg dał... może panna i bez szubki chodzić. Zdjąć z niej.

Nadaremnie Marynia broniła się, prosiła. Kilku charczyzów pochwyciło ją za ręce, ubezwładniło szamocącą się dziewczynę i szubkę ściągnęło.

Stała więc w jednej koszuli, drżąc od zimna i przestachu przed Danyłką.

Ojciec Mikołaj ujął się za nią:

— Czy wy się Boga nie boicie! Narzućcie jej choć świtkę na plecy.

— Daj swoją ryzę.

Pop miał na sobie biały kitel płócienny, szary od brudu, wyszarzany, podarty, poplamiony. Używał go na codzień przy gospodarstwie. Nie mówiąc tedy ani słowa, zdjął to okrycie z siebie i pomógł ubrać się Maryni.

Teraz dopiero Danyłko zakomenderował odwrót od Bohusławia.

Watażka już się był rozłokował w mieście. Miasto spało, kiedy się do niego Maksym zbliżył. Zbliżył się pod bronią, nie wiedział, że go zdobywać nie będzie, bo niema komu bronić. Zwyczajem tatarskim zapalić kazał przedmieścia. Skoro się tylko alarm zrobił, straż nocna uderzyła we dzwony. Ledwie się mieszkańcy pobudzili—Bohusław już płonął; oszczędzono tylko środkową część miasta, zamieszkałą przez Żydów, nie chcąc oddawać na pożarcie płomieniom tego, co można było zrabować.

Otoczono miasto dokoła, rozpoczęła się pukać na wiatr—a tymczasem przedmieścia płonęły i wrzask rozbudzonego ze snu, a przestraszonego żydowstwa, napełnił powietrze.

Na strzały hajdamackie nikt jednak nie odpowiadał—nie było komu strzelać. Mieszczanie, pragnąc uniknąć ostatecznego zniszczenia, co rychlej zawiadomili o tem watażkę i w gościnę zapraszali.

Wszedł tedy do miasta i rozlokował się z głównych swoim orszakiem w domach, otaczających rynek.

Pośrodku rynku stał ogromny ratusz drewniany. Niegdyś były tu wielkie sklepy, wielkie składy i piwnice. Z czasem miasteczko ubożało coraz bardziej, ratusz się walił, a nie było komu go poprawiać; sklepy więc przenosiły się do domów prywatnych, a w ratuszu sprzedawano tylko sól, dziegieć, powrozy, żelazne wyroby i mało co więcej.

Ogromne piwnice, które niegdyś były składem na wino i miód, wypróżniły się z drogocennych specyałów, a w chłodnych swoich murach przechowywały tylko sól, smołę, dziegieć, powrozy...

Piwnice te przeznaczone zostały na więzienie przez atamana. W tę stronę zdążał także nad ranem Danyłko.

Złożywszy zrabowaną zdobycz na rynku, przed mieszkaniem żeleźniaka, więźniów miał odprowadzić do ratusza i wtrącić do owego lochu, gdzie już kilkadziesiąt podobnych im pojmańców siedziało—różnej płci, różnego wieku, różnej narodowości. Co chwila przybywali nowi, a nikt nie wiedział, jaki los ich czeka.

Kiedy się zbliżał do bramy ratuszowej, a za nim dwóch charczyzów konwojowało związanego popa i Marynię, dzień już się robił, a przez szary zmrok przebijała się jasność.

Okuta brama, prowadząca do wnętrza ratusza, była zamknięta. <http://rcin.org.pl>

Jeden z czaty, otaczającej rynek, pokazał ją Danyłkowi z daleka.

— Tam?

— Tam, kozacze, tam. Widzisz tego dziada?

— Gdzie?

Hajdamaka do Danyłka się zbliżył, twarzą prawie jego skroni dotknął i, rękę wyciągnawszy, jakiś ciemny punkt w kącie bramy wskazał. Na ciemnym tle dębowych drzwi ledwie go dostrzedz można było.

— Patrzaj w tę stronę... na lewo... pod bramą...

Pokazując, palca od owego punktu nie odrywał.

— Widzisz teraz?

— Widzę.

— Otóż do tej bramy i do tego dziada wprost machaj... Dziadowi ich zdasz... Musi to być jakiś znajomy atamana, bo go tam na straży postawił.

Danyłko ruszył, a za nim ledwie nogami włożyła zmęczona, krwią ociekła Marynia. Nie miała na głowie przykrycia i dziwacznie była ubrana: w koszuli tylko, bez obuwia, na plecach miała stary, połatany, pomimo łat jednak w dziurach cały, letni chałat ojca Mikołaja. Okryła się nim jak mogła, ale dygotała od zimna i szła powoli, płacząc się co chwila w długich połach chałatu.

Nie tylko całe ciało, ale twarz nawet miała

krwią własną powalaną. Poraniła się, przeskakując płoty, ocierając się o bodiaki.

Charczyy spali jeszcze pokotem, chociaż już dniało na dobre. Ten i ów, posłyszawszy miarowe kroki koni, głowę podniósł, na prowadzonych jeńców spojrzął i, ziewnąwszy, na drugą stronę odwracał się.

Podjechali wreszcie pod samą bramę. W kącie, gdzie zawiasy wbite były do słupa, siedział zgarbiony dziad.

Wtem oczy podniósł i na pojmańców spojrzenie rzucił.

— *Laszku pryweły? Dobre, dobre... Zaraz... zaraz... schowajem... tam je i panyczy, nechaj tańciuje...*

Począł się dźwigać powoli, nie patrząc już na tych, którzy „Laszkę“ przyprowadzili, ani na Laszkę.

Danyłko tylko przypatrywał się dziadowi.

— *Didu Harasyme, hej!* — zawołał — także my znajomi.

Dziad okiem na niego rzucił.

— Ba i prawda... Ot, widzisz, doczekałeś się roboty.

— A wy skąd się tu wzięli?

— Mówiłem przecie, że będę was czekać... nu, i doczekałem się, a teraz na służbę u atamana stanąłem; kazał Lachów i Żydów pilnować... ot, tu w piwnicy siedzą. Cóż mam robić lepszego? Pilnuję.

Mówiąc to, pchnął wrota od ratusza i na oścież otworzył.

— *Dawajcie, chłopci Laszku...*

Marynia, zrezygnowana, zrobiła krok naprzód.

Sydor zaprotestował:

— Czekać! troki moje przepadną... trzeba rozwiązać.

Rozwiązali jej ręce i poprowadzili. Przodem szedł, powolnym, ociężałym krokiem dziad, nogami suwając i drogę pokazując.

— Tu, tu chłopcy...

Stanęli właśnie przed drzwiami, prawie pionowo w głąb ziemi prowadzącymi.

— Podnieście-no ładę!

Sydor podniósł.

— A teraz, *doniu*, hajda do kupy! — rzekł dziad do Maryni.

Z otworu owego bił zapach dziegciu, a jednocześnie słychać było szmery ludzkie, do jęków podobne.

Ukośne schody, w ziemi robione, prowadziły do piwnic.

Marynia stanęła na progu. Wiatr wionął, rozsunął poły popowej rasy i okrwawioną koszulę i ciało pokazał.

— A gdzie-to jej taki kontusz sprawiliście? — pytał dziad.

— W prezencie dostała — odrzekł sarkastycznie Danyłko.

Ledwie tyle weszła do lochu, że głowa jej

stanęła na równi z płaszczyzną drzwi, dziad krzyknął:

— Chowaj łeb, sobacza doczko!

Podniósł ladę i zatrzasnął za nią. Przedtem tą samą drogą poszedł ojciec Mikołaj.

X.

Kiedy się lada piwniczna zatrzasnęła, Marynia znalazła się odrazu w ciemności. Zbyt raptowne przejście od światła do ciemności oślepiło ją zupełnie. Zatrzymała się nagle i instynktownie na schodku. Nie wiedziała, gdzie iść. Stęchłe, cuchnące powietrze ją otoczyło, przesiąkłe zimnem, mającym zapach grobu. Rozworzyła ramiona i wyciągać poczęła ręce. Z tyłu za nią, a raczej nad głową, drzwi były, wysunęła więc ręce naprzód, szukając oparcia — i nie znalazła go. Długo wodziła w powietrzu rękoma, aż opadły nareszcie, nie zatrzymawszy się nigdzie.

Słyszała jakieś jęki, płacze, modlitwy, wydobywające się niby z głębi, ale nie umiała sobie zdać sprawy z jakiej to strony. Więc znowu obie ręce rozwiodła i wodzić poczęła po stronach. Przesuwała niemi, to w jedną, to w drugą stronę; nareszcie uczuła, że palce lewej ręki dotknęły jakiegoś stałego przedmiotu.

Posunęła się mimowolnie w tę stronę—i dłoń jej oparła się o coś zimnego, oślizłego...

Cofnęła rękę ze wstrętem.

— Są schody — odezwał się jakiś słaby głos z głębi podziemia.—Musi być pewnie kilkanaście.

Ktoś zrozumiał stan jej i położenie i w ten sposób z pomocą przyszedł.

Nie mogła zejść pociemku bez pomocy. Zbliżyła się więc znowu do owej ściany oślizłej i, opierając się o nią, schodzić zaczęła.

Chłód, zaduch, jęki i szmery zamkniętych tu ludzi wróciły jej przytomność. Zaczęła sobie здаwać sprawę z położenia.

— Przynajmniej nie będę sama... — myślała.

Im schodziła głębiej, tem więcej ją ogarniał zabijający zapach smoły.

Zeszła nareszcie. Nie widziała nikogo, ale czuła bliską obecność ludzi.

— Tutaj, tutaj proszę iść... — odezwał się ten sam głos, co i pierwej.

Szła na dźwięk tego głosu po omacku.

Nagle uderzyła się o jakiś twardy przedmiot całą piersią. Mimowolnie wyciągnęła ręce—i ręce jej dotknęły czegoś lepkiego.

— Tam są beczki ze smołą—przestrzegano ją.

Zapóźno przestrzeżono. Istotnie pod ścianami, z obu stron stały szeregiem beczki ze smołą i dziegiem — jedne zabite jeszcze na głucho, inne do połowy już wypróżnione; obok beczek stały szafliki,

smołą wypełnione, które dawniej jeszcze na noc do lochów schowano.

Każdy, kogo tylko wtrącono do tej piwnicy, nie mijał smoły.

Kiedy się już do ludzi zbliżyła, rozpoczęły się wypytywania: kto, skąd?

Powiedziała swoje nazwisko.

Nagle z pod ściany doleciał krzyk, łzami nabrzmiały:

— Maryniu! Dziecko moje!

— Mamuńciu moja droga!

Poznały się bez światła i w ciemności, na dźwięk głosu, szły do siebie.

Odszukały się...

Cała rodzina, z wyjątkiem Olszewskiego, będącego kędyś pod Barem, znalazła się we wspólnej piwnicy.

Nikt powitania rodziny nie widział.

Matka zapomniała na chwilę o nieszczęściu, a w ciągu dwóch godzin niespełna, po dwakroć płakała łzami radości.

Szczęśliwa była, że miała dzieci przy sobie.

Wszyscy, spędzeni do tej piwnicy, byli znajomi. Opowiadano więc sobie wzajemnie własne nieszczęście i cudze, płacząc i wzywając miłosierdzia Bożego.

W chwili, kiedy w ciemnej piwnicy zgromadzonych kilkadziesiąt ludzi modliło się i płakało, charcący budzić się poczęli.

Skomunikowano się ze strażą, otaczającą ze-

wnętrz miasto i przekonano się, że w całej okolicy niema ani jednego żołnierza polskiego, który mógłby wystrzałem z rusznicy bodaj na chwilę przerwać im spokój. Zwołano co sprytniejszych mieszczan i rozpytano ich, czy niema w okolicy jakiego wojska.

Tu i owdzie można było znaleźć trochę nadwornych kozaków, ale z ostrożności nie posyłano ich nawet.

Na środku rynku, o jakie może dwieście kroków od ratusza, rozsiadł się ataman ze starszyzną. Nie rozbijał sobie namiotu, bo każdy dom żydowski stał mu otworem.

Ledwie się obudził, pchnął jednego z „mołodyków“ na miasto.

— Ażeby tu nam zaraz *boroszno* było i picie! — rzekł stanowczo. — Weź ze sobą *dowbysza* i wybębnić każesz mój rozkaz.

„Mołodyk“ ruszył z kopyta.

Pokazało się jednak, że mieszczanie sami domyślili się tego.

Wnet po wyjeździe „mołodyka“ zaczęto zwozić i znosić traktament dla pana pułkownika. Wszystko, co kto miał najlepszego i najsmaczniejszego, niósł lub wysyłał na rynek, ażeby dzikość watażki uspokoić. Jedni przywozili swoje, drudzy — cudze. Gubernatora nie było wprawdzie w Bohusławiu, bo wraz z rodziną umknął na Wołyń, ale pozostały po nim, napełnione winem, miodem i gorzałką, piwnice,

które wypróżniano teraz dla ułagodzenia „pułkownika“.

W krótkim bardzo czasie rynek cały napełnił się jadem i napojem. Mieszczanie jednak i Żydzi siedzieli cicho po kryjówkach.

Szelest, zetknąwszy się z tymi, którzy „boroszno“ przywozili na rynek, szepnął im, że ataman się gniewa, że go trzeba koniecznie przebłagać i posłać deputacyę z pokłonem t. j. z chlebem i solą, że musi być na czele pop, a udział w deputacyi powinni wziąć i Żydzi. Niech się pokłonią atamanowi i proszą o opiekę.

Nietyle chciał przez to przyjemność zrobić Maksymowi, ile pragnął wystąpienie jego i niepohamowaną dzikość otoczyć pozorami sprawiedliwości, a pokorą uspokoić krwiożercze instynkta.

Watażka jednak był obecnie tak niepohamowanym, że się z lubością w krwi ludzkiej nurzał. Zapach krwi miał dla niego osobliwy urok... nie umiał mu się oprzeć, pożądał go i póty kipiał i burzył się, aż swoje krwiożercze pragnienia uspokoił. Gdy na niego taka chwila naszła—gotów był mordować i męczyć wszystkich, a nie potrafiłby przebaczyć nawet matce rodzonej.

Wtedy radami Szelesta gardził, który go do uspokojenia się powoływał, i broczył dalej, aż się krwią nasycił.

Takie pragnienie opanowało go teraz.

Mieszczanie bohusławscy, znosząc Żeleźniakowi i jego towarzyszom „boroszno“, na palcach chodzili

koło niego... ale watażka zasępiony był i gniewny. Iskry mu z oczu leciały. Nie mówił co mu dolega, ale ci, co go znali, wiedzieli, czego mu braknie.

Tymczasem ustawiono stoły, rozkładano na nich jadło, wtaczano na rynek beczki z piwem, miodem, gorzałką. Wszystko to odbywało się cicho ale sprawnie, jak gdyby na komendę.

Wreszcie zasiedli wszyscy do jedzenia.

Watażka kazał zwołać „dowbyszów“ i wyprawił ich na czele kilku mołodyków z rozkazem, ażeby się nikt nie upijał: kto upije się, łeb mu utnie. Pić można, ale przebierać miarękę... wara! Można będzie pohulać wtenczas, kiedy pozwolą. Teraz on obawiał się jeszcze. Nie chciał wierzyć, ażeby mu na łup oddano całe miasto bez wystrzału. Spodziewał się jakiejś zasadzki... pragnął tedy być na pogotowiu do walki.

Nie ściągnął więc straży obwodowej, ażeby być tem bezpieczniejszym. Gdy więc sam z połową watahy zasiadł do jadła, druga połowa odbywała czaty i pilnowała, ażeby ani jeden człowiek za obręb miasta nie wychylił się, a ulokowana na najwyższych drzewach straż, miała oko na całą okolicę.

Starszozna, z watażką na czele, siedziała już przy stole, gdy znać dano, że deputacya mieszczan przyszła powitać pułkownika.

Maksym przyjął wiadomość obojętnie i napozór spokojnie.

— Niech przyjdą.

W głosie jego brzmiała złość utajona. Oczeku-

gorzałki. Wina i miodu ani się dotknął. To „pański“ napój. Pił go wtedy dopiero, kiedy już miał dosyć siwuchy.

Z bocznej uliczki od ratusza wysunęła się garstka ludzi, na czele której postępował pop, pontyfikalnie ubrany; za nim kilku starców bez czapek niosło w ręku chleby, kołacze; jeden z nich trzymał talerz, na którym leżał bochen chleba, a na nim grudka soli.

Stanęli przed watażką, który nie wstał nawet na ich powitanie. Jadł najobojętniej trzymaną w ręku kiełbasę i palenicą pszenną zagryzał.

Podniósł wreszcie spojrzenie na posłów. Deputaci pochylili głowy na znak pokory, a pop, krzyż ku niemu zbliżywszy, oracyę krasomówczą rozpoczął:

— Jak słońce świeci i ogrzewa...

Watażka przerwał mu szorstko:

— Wy tu po co?

Pop zapomniał naraz pilnie wyuczonej mowy i coś bełkotał.

Starzec, chleb na misie niosący, do stołu się zbliżył.

— Przyszliśmy powitać Waszą Wielmożność— rzekł kłaniając się — z chlebem i solą, i prosić o opiekę nad miastem i nad nami.

Żeleźniak, słuchając, świdrował starca oczyma, pełnemi iskier.

— Zapóźno!

Krótki, urwany wykrzyk, wypowiedziany to-

nem groźby i gniewu, nie wróżył dobrze o rezultatach poselstwa.

— Bóg, który wszechmocnością swoją stworzył niebo i ziemię... — zaczął znowu odchrząknąwszy pop, ale mu watażka znowu przerwał:

— Zapóźno przychodzicie z pokorą! — zawołał. — Trzeba było wyjść wtenczas, gdy się do miasta zbliżałem.

— Niech nam Wasza Wielmożność przebaczy — odezwał się starzec, trzymający chleb w ręku, — nie nie wiedzieliśmy o zbliżaniu się Waszej Miłości.

— A teraz mi wasza pokora niepotrzebna!

Posłowie z zachowania się watażki łatwo domyśleć się mogli, co ich czeka. Przerzucili się ze sobą spojrzaniem, pełnem niepewności i trwogi.

— Niech Wasza Wielmożność ma wzgląd na nasze ubóstwo — rzekł stary, który w miejscu oniebiałego popa stał się rzecznikiem miasta. — Nie z zuchwałości naszej to się stało, lecz z niewiadomości. Gotowiśmy w dowód tego dać Waszej Wielmożności wszystko, czego zażadasz.

Watażka zaśmiał się pijackim śmiechem.

— Dziękuję wam! Ja i sam potrafię wziąć, co mi potrzeba. A póki co będzie, wracajcie do domu i znoście tutaj na rynek, co kto ma... Zobaczymy, co przyniesiecie.

Tak się smutno poselstwo zakończyło. Watażka nie przyjął od nich chleba i soli.

Gdy się wszyscy już nasycili dowoli, zmienił wartość: tych, którzy tworzyli linię obronną, a raczej

stali na czatach zewnętrznych, za miastem, otaczając je kołem, przeniósł na środek rynku, zaś rozlokowanych w rynku postawił na czatach zewnętrznych.

Nowo przybyli charczyzy rzucili się na jadło jak wiley, a nasyciwszy się, położyli się odpoczywać. Trwał ten odpoczynek mało nie do południa, a mieszkańcy drżeli przez ten czas z przestachu o swoje majątności i głowy.

W południe watażka ze starszyzną objechał miasto. Jeździł na pół pijany, z Szelestem tylko rozmawiając.

Wszędzie słyszał narzekanie charczyzów:

— A dokąd-że to będziemy leżeć na brzuchach?

— Roboty atamanie! Roboty!

— Pozwól pohulać!

Na wszystkie prośby i wykrzyki niezadowolenia, skierowane pośrednio, lub bezpośrednio do niego, nie odpowiadał wcale.

Powrócił wreszcie z objazdu na swoje stanowisko w rynku i miał bardzo burzliwą rozmowę z Szelestem. Ci, którzy patrzyli z daleka na rozmawiających, myśleli, że się za łby porwą — tak się kłócili. O czym zaś rozmawiali — nikt nie słyszał, bo niktogo do siebie nie dopuścili.

— Rób co chcesz, duszo pogańska! — krzyknął Szelest.

Krzyknął, plunął i odszedł.

Watażka sam został. Długo po rynku spoglądał, we wrzawę żołdactwa wsłuchiwał się, jakby łowił znaczenie pojedynczych wyrazów, które się o uszy

jego obijały. Oczy coraz bardziej krwią mu nabiegały, jak u szakala. Targał wąsy, sapał, brwi ścigał. Widać było na zewnątrz, że wrzątek jakiś w nim kipi.

Wreszcie głośno zawołał do bosza:

— Idź i powiedz ludziom, że ataman pozwala pohulać!

Za chwilę odezwał się bęben na rynku, później nastąpiła cisza, „dowbysz“ coś mówił. Ale i to chwilę tylko trwało.

Potem zahuczało powietrze dzikim rykiem:

— Hura! Hura! Hura!

Powstał ruch gorączkowy, gwałtowny, — poczęto konie poprężyć. Zamigotały do słońca spisy... Jeszcze moment jeden, a cała zgraja hultajstwa rzuciła się do łupu i rzezi...

Szelest udziału w tej rzezi nie brał. Stał tylko zamyślony smutnie, wsłuchiwał się w jęki, płacze, wołanie o pomoc.

— Hulaj, hulaj! — myślał, — przyjdzie i na ciebie prędko koniec, wraży synu!

Więźniowie, zamknięci w lochu ratuszowym, nie mieli najmniejszego pojęcia o tem, co się dzieje na mieście — do nich nie dolatał żaden krzyk, żaden jęk mordowanych. Zbici w jedną zwartą kupę, którą przypadek lub bliższe poznanie się złączył, wyczekiwali w niewiadomości i trwodze swego końca. W głuchej i posępnej ciemności lochu, słyhać było tylko przyciszone, trwożliwe opowiadania o wypad-

kach, jakich każdy był świadkiem i uczestnikiem, lub jeszcze cichsze szepty modlitwy.

Tymczasem miasto drżało jednym wielkim jękiem i płaczem... Gospodarzyła w niem po swojemu czerń hajdamacka. Rynek, pośrodku którego stały opróżnione stoły po uczcie, co chwila był świadkiem jakiejś sceny gwałtownej lub strasznej. Ktoś, wyrwawszy się z rąk oprawców, uciekał, gdzie go oczy niosły i nieraz okrwawiony wpadał na rynek i do nóg się rzucał atamanowi...

Żeleźniak z dziką złością odpychał od siebie ofiarę, lub milcząc skinął na otaczających go młodocików, którzy powinność swoją rozumieli. W jednym momencie kilkanaście spis schylało się do ziemi, potem przesywano niemi ofiarę i z krzykiem „hura“ podnoszono do góry, trzymając dopóki na spisach nie wyzionęła ducha.

Watażka ani okiem nie mrugnął, patrząc na to bezeceństwo. A tymczasem ziemia pokrywała się trupami, a środek rynku wypełniał się stosami sprzętów domowych, jakie tylko mogły mieć cenę, kupami najrozmaitszej odzieży, srebrnych i złotych naczyń, które ze skrzyń mieszczan i szlachty wydobywali charczy. Wszyscy obowiązani byli znosić to w jedno miejsce, a potem dopiero miano się dzielić.

Od czasu do czasu przylatywał Danyłko, rozmawiał półgłosem z watażką i znowu pędził w tę lub ową stronę miasta.

Pod wieczór ucichała wrzawa: jedni padli pod spisami lub nożami charczyków, inni zdołali ukryć

się po skrytkach lub lochach, albo przedrzeć się w step przez zaciśniętą obręcz hajdamaków. Spracowani „rycerze“, skrwawieni, obszarpani, zziajani, poczęli schodzić się na rynek na odpoczynek. Na-leżał się im. Sadowili się, gdzie kto chciał, kupkami pozrzucali z siebie wierzchnią odzież, powyjmowali lulki, okrwawionemi rękoma wykrzesali ognia, i dym puszczając, spoglądali na dogasające zgliszcza i trupy.

Watażka, w asystencyi nieodstępnego Danyłka i mołodyków, przypatrywał się bezmyślnem okiem jak na spędzone wołowe i końskie podwoły ładowano zrabowane rzeczy, — a co cenniejsze, mianowicie złote i srebrne, miały pójść do „batowni“. Napełnia-no niemi wozy w obecności atamana i wjuczono lu-żne konie, które miały być na każdą chwilę gotowe do ucieczki lub dalszego pochodu.

Jeden z charczyzów, dopomagający ładowaniu worów, do stojącego obok żeleźniaka się zwrócił:

— Nie ma bat'ku żydów i Lachów, a dobro ich przeszło do naszej kieszeni.

Danyłko tuż obok watażki stał.

— Jakto... niema? — odezwał się. — Breszesz, są jeszcze...

Pułkownik spojrzał na niego tak, jakby się py-tał: gdzie?

— A w lochu ratuszowym!...

— Prawda... — rzekł głucho żeleźniak.

Danyłko przypochebił mu się.

— Ojczye atamanie, i z tymi może sprawę zro-bisz?

— Trzeba...

Danyłko rzucił okiem dokoła, jakby szukał jakiegoś przedmiotu. Znalazł go. Spojrzenie jego spoczęło na malowanych na zielono słupach, stojących przed bramą wjazdową do żydowskiego zajazdu.

Ataman odgadł myśl swego adjutanta.

— Każ ich tutaj przyprowadzać po jednym.

Tymczasem rozmowa ta zgromadziła koło żeźniaka ze dwudziestu hajdamaków, ciekawych dowiedzieć się, co to z tego będzie.

Mołodyki rozbiegli się na wszystkie strony z różnemi rozkazami, a Danyłko wzięwszy ze sobą kilku charczów na ochotnika, do ratusza podążył, gdzie dziad Harasym pilnował zamkniętych w lochu jeńców. Kilku ludzi z tego orszaku niosło na ramionach drągi, zakończone hakami, używane zwykle w czasie pożaru dla rozrywania dachów.

Dziad Harasym przypatrywał się zdążającej ku niemu hałastrze, nie wiedząc, co to wszystko znaczy.

— Jak się macie, didu! — wołał zdaleka Danyłko.

— Bogu dzięki, Wy dokąd idziecie?

— Po waszych gości... Ataman woła ich na sprawę...

— A bierzcie ich sobie — odrzekł dziad Harasym obojętnie. — Siedzę tu przy nich niby kołkiem... Wy tam, słyszę, gospodarujecie w mieście, a mnie staremu to i pożywić się nie można.

— Czemuż to? Kto przeszkadza może?—odezwano się z tłumu.

Dziad Harasym ręką na drzwi, prowadzące do lochów, wskazał:

— Pilnować muszę...

— Teraz koniec twego pilnowania — rzekł Danyłko.

Do gromady otaczającej go zwrócił się:

— A no chłopcy, do roboty!

Rzucono się w momencie do lady, loch zamykającej i okute drzwi na dwie połowy otworzono.

Z głębi szmer głuchy dał się słyszeć.

Danyłko nad brzegiem lochu stanął, w ciemną szyję spojrział i uśmiechnięty złośliwie, na cały głos huknął:

— Hej, pany! A wychodźcie do tańca!

Cisza głucha, posępna, była mu jedyną odpowiedzią. Zdawało się, że i te szmery, jakie się dotychczas wydobywały stamtąd, nagle zamarły.

Danyłko do otoczenia swego się zwrócił:

— Bierzcie ich!

Usunął się sam na stronę.

Teraz dopiero pokazało się, jaką rolę miały odegrać owe haki pożarne: przeznaczone one były do wyciągania więźniów z piwnic.

W jednej chwili szyja, prowadząca do lochów, napełniła się napół pijanymi hajdamakami, pragnącymi co rychlej nowego widowiska, — i tylko z ciemnej głębi słyszeć było zgrzyt owych haków, trących się o siebie, zanim będą mogły znaleźć ofiarę...

W piwnicy panowała cisza. Naraz hałas powstał niszczący, z jękiem pomieszany, a płacze i wy-

krzyki mieszały się z prośbą o litość, z wezwaniami do Boga i świętych o pomoc i, stłumione w ciasnych i wilgotnych ścianach piwnic, wyrwały się na zewnątrz dźwiękami pełnemi rozpaczy...

A nad otwartą paszczą, prowadzącą do lochu, skupiła się gromada charczyzów, ciekawie zaglądnąca w głąb, rechocąca dzikim, pijanym śmiechem na każdy odgłos jęku, na każdy żart żołądacki, gruby, pospolity, cyniczny.

Dobrą chwilę trwało owo suwanie hakami w głębi lochu, aż nareszcie śmiech ogólny był świadectwem jakiegoś wielkiego zadowolenia.

— A co Hnatku? Złapałeś?

— Jest... Hej, tutaj! Do roboty!

Kilku charczyzów rzuciło się do pomocy,—poczęto drąg ciągnąć z całej siły; widocznie o hak już się zaczepiła ofiara. Nie widać jej było, lecz słyszeć po jęku i po tym wysiłku, z jakim hajdamacy drąg ciągnęli.

Ukazała się nareszcie... Był to pop janowiecki, którego hakiem za nogę i suknię ułowiono. Bez kapelusza, o skłóconej brodzie, zwichrzonych włosach na głowie, z bladą twarzą, o przestraszonym, gorączkowym spojrzeniu, w którym malowała się niepewność i trwoga, chwytając się rękami naokoło siebie, jakby instynktownie oparcia szukał, wołał błagając:

— Puście mnie ludzie... puście... pójdę, gdzie zechcecie... o Boże... zmiłuj się...

Słyszeć było z głębi urywane wyrazy:

— Grzech... piekło...

A na górze, nad otworem, prowadzącym do lochu, śmiech szyderczy rozlegał się.

Naraz z głębi jęk głuchy doleciał, a kilku ludzi, drąg ciągnących, naprzód pochyliło się.

— *Traścia twoju mamu, zaczepywsia!*—w jeden głos zawołano.

Istotnie, pop zaczepił się o kadź ze smołą i z haku się zerwał. Było to już przed samym progiem lochu. Wnet kilku w dół zeskoczyło, porwało leżącego na ziemi, okrwawionego i osmarowanego smołą popa i za nogi poczęto go włóczyć po schodach do góry.

Wywleczono go nareszcie i przed ratusz dostawiono.

Pop leżał, nie mając sił ruszyć się.

— Ha, to ty, *batuszka*, taki ciężki! — zawołał Danyłko, oglądając go ze wszech stron.

Pop ledwie znaki życia dawał.

Danyłko nogą go kopnął.

— Wstawaj *batuszka*, chodźmy do atamana.

Podźwignęli popa, wzięli go pod ramiona i całą hurmą do atamana poszli.

Pod jednym z zielonych słupów siedział żelazniak, w otoczeniu starszizny. Danyłko przodem poszedł i historję o utajeniu przez popa pieniędzy Imć panu pułkownikowi opowiadał.

Indagacya trwała dość długo. Uparty pop znośli z niesłychaną rezygnacyą wszystkie upokorzenia i zniewagi, a co do *hroszej*... zawsze odpowiadał je-

dnako: nie zakopałem, nie schowałem, żadnych nie mam. Każdy z otaczających atamana kozaków, radził użyć swego wypróbowanego środka. Stosowano tedy wszystkie owe środki, ale pop stał przy swoim: nie mam pieniędzy, nie schowałem, nie zakopałem...

Taka wytrwałość we wściekłość wprawiała hajdamaków.

— Przyklinować mu brodę do słupa! — ktoś wrzasnął z tłumu. — Niech stoi, póki nie zdechnie!

Podobał się watażce taki wyrok, a jak na toż słup stał bliźiuteńko.

Porwano tedy popa, zgnędniałego, zbroczonego, przestraszonego i na powszechne pośmiewisko, przybito mu w kilku miejscach brodę do słupa klinami.

Potem taką samą koleją i w takiż sposób wyciągano z lochu innych więźniów.

Pod wieczór kolej przyszła na Marynię.

Już słońce zachodziło, kiedy ją na plac przed żeleźniaka, ze związanymi wtył rękoma, prowadzono. Rasa popowska była potargana w szmaty, które z różnych stron wisiały, w miarę tego, z której strony zaczepiono hałmem; bosa nogi były okrwawione. Strugi krwi z nich ciekły, ślady zostawiając na ziemi. Tu i owdzie, na bladej jak ściana twarzy, widać było plamy zakrzepłej krwi. Nakrycia na głowie nie miała; skłaczone włosy piętrzyły się nad jasnym, białym czołem, oświeconem dwiema niebieskimi źrenicami, które błyszczały, wpatrzone w snop promieni zachodzącego słońca ze smutkiem i zadumą.

Dokoła siebie po drodze widziała trupy, obdar-

te niekiedy do naga, niekiedy pokawałkowane, o które co chwila potraçały nogi charczyzów, kałuże skrzepłej krwi, z błotem zmieszanej... Ryk zdziczałej czerni dolatał do niej, niewyraźny, bez słów, drżący tylko nutą niewypowiedzianej złości, nieświadomej dzikości.

Wiedziała, że idzie na śmierć. Szła zrezygnowana, z oczyma utkwionemi w światło, które za chwilę zagasnąć przed nią miało.

Orszak, prowadzący ją, zatrzymał się przed watażką.

— Czego uciekałaś? — wrzasnął żeleźniak.

Marynia w twarz mu spojrzała.

— Nie uciekałam...

W głosie jej brzmiała pewna buta i zuchwałość szlachecka.

Danyłko, który tuż za nią stał i watażce coś do ucha szeptał, z tyłu w kark ją uderzył.

— Breszesz! — wrzasnął.

Marynia pochyliła się pod uderzeniem, potem wyprostowała się i błyszczącemi od gniewu oczyma zmierzyła Danyłkę.

— Chamie! Po chamsku walczysz! — rzuciła mu wyniośle.

— Chciałaś do chorągwi dać znać? — pytał dalej ataman.

— Nie chciałam...

— Po cóż pędziłaś?

— Myślałam... że... pożar... nie wiedziałam, domyślałam się złego...

Indagacya Maryni widocznie nie zadowolila charcyzów, burzyli się na jej zachowanie się i butę. Najbardziej rozjątrzonem czuł się Danyłko.

— Powiesić ją!

— Zakłóć spisami!

Chwilkę trwał wrzask i hałas. Watażka stał milczący... namyślał się, jaki rodzaj śmierci wybrać dla niej. Powiesić? Nie wydało mu się wystarczającym. Ona obraziła wszystkich, a do powieszenia wystarczyło trzech oprawców tylko. Watażka chciałby, ażeby każdy z jego mołojców mógł swoją część zemsty na młodej Laszce wykonać.

— Zakłóć jak barana... — zawyrokował.

Sto spis podniosło się do góry, gotowych do wyroku.

Trzeba było pierwaj do owego zielonego słupa przywiązać. Odprowadzono ją tedy na miejsce stracenia i pod komendą Danyłka, przywiązywać poczęto. Przy jednym słupie męczył się pop, wisząc na własnej brodzie, przy drugim miała ona zginąć.

Przywiązali wreszcie... Na chwilę uciszyło się wszystko. Watażka przypatrywał się ofierze, zanim ostatnie słowo wymówi.

Marynia patrzyła oko w oko śmierci.

Naraz głosem dźwięcznym, świeżym, poczęła śpiewać po rusińsku pieśń do Boga Rodzicy, której się dzieckiem jeszcze nauczyła:

*Preczystaja Diwo, Maty ruśkoho kraju,
Na nebesi i na zemli tia wetyczaju,*

Ty hryszniakiw z tiazkoi muky —

Czerez Tvoi zbawliajesz ruky —

Ne daj propasty!

Śpiew ten — niespodziewany, uroczysty, w samej nieomal chwili śmierci rozlegający się, ogromne zrobił wrażenie.

Watażce, zdawało się, ostatni wyraz na języku zawisł. Cisza zrobiła się... pełna grozy i smutku.

Kilku starszych hajdamaków zdjęło czapki z głowy.

Przez chwilę stali wszyscy w milczeniu, słuchając nabożnej pieśni przywiązanej do słupa dziewczyny.

— Puścić ją! — odezwało się kilka głosów.

— Rozwiązać!

Nikt jednak nie miał odwagi w czyn wprowadzić życzenie większości.

— *Hodi wże! bude!* — krzyknęli inni.

Zdecydowano się odwiązać Marynię, zaprowadzić znowu do lochu; żałowano tylko, że jej oddać nie można jakiemu „dobremu“ popowi na diaczka.

Tego dnia już więcej nie tracono nikogo.

Scena ta nie przeszła jednak bez wrażenia. Watażka nie zadowolony był z tego objawu współczucia.

Na tem się jednak nie skończyło.

Ledwie zmrok zapadł i hajdamactwo położyło się pokotem, obok pomordowanych ofiar, do chwilowego odpoczynku, — ażeby swoim zwyczajem zabrać się na całą noc do kieliszka i pijatyki,—w obo-

zie zjawił się Sudijenko. Mieszkał on, jak wiemy, pod Bohusławiem.

Przyszedł odwiedzić żeleźniaka.

Na pierwszą wiadomość o tem, że Żeleźniak grabi i morduje w Bohusławiu, jaka się rozbiegła w okolicy, zdecydował się pójść do krewniaka i powstrzymać jego zbrodniczą rękę.

Przyszedł jednak zapóźno.

W towarzystwie Szełesta dążył przez rynek wprost do zajezdnego domu żydowskiego, przed którym owe dwa słupy, na zielono pomalowane, stały. Jedną połowę frontu tego zajazdu otaczała galerya, niby ganek, drewnianą balustradą, niegdyś widać malowaną na zielono, okolona. Na tej galeryi, pod oknem, stała ława, a przed nią stół prosty, dębowy, wielki.

Sudijenko, idąc, rozmawiał z Szelestem, żywą jakąś wiodąc dysputę.

Po chwili Szelest ręką na galeryę wskazał.

— Otóż masz i „pana pułkownika“...

Pogardliwa szorstkość brzmiała w tych wyrazach.

Sudijenko, mimowolnie okiem na galeryę rzucił.

Oprócz żeleźniaka nie było tam nikogo.

Watażka nie siedział na ławie, lecz na zydlu przy węższej stronie stołu, tak, że profilem zwrócony był do idących. Przed nim stała flaszką gorzałki i półkwaterek, który mu zastępował kieliszek. Oparły na rękę, siedział wpatrzony we flaszkę pełnemi

krwi źrenicami, w których malowała się dzikość i zuchwałość.

Dostrzegł on idących Sudijenka i Szelesta, ale tylko łypnął w ich stronę oczyma, — głowy nawet nie odwrócił.

Późno już było. Zmrok zapadał śród ciszy głuchej i smutnej, która całunem swoim pokryła zgliszczcza i trupy, leżące na wązkich ulicach miasta, zalegające plac przed ratuszem; słychać było żałosne odzywanie się niewidzialnego puhacza lub wrzaskliwe krakanie przelatujących gromadami kruków. Niekiedy ciszę tę ponurą przerywały dalekie wycia wilków, które pod noc zbliżały się do miasta żerując.

Sudijenko wszedł na ganeczek, gdzie siedział żeleźniak i milcząc stanął przed stołem, wpatrując się w watażkę. Szelest zatrzymał się, oparłszy się o baryerkę, otaczającą ganek i w kierunku Sudijenka i żeleźniaka spoglądał.

Watażka był już pijany, ale przytomności nie stracił jeszcze. Gorzałka podniecała go tylko.

Utkwiony w niego wzrok Sudijenka magnetyzował Maksyma formalnie. Oczy mu biegać poczęły niespokojnie, powieki drgały, machinalnie na stołku poruszać się począł. Gotów był lada moment wybuchnąć, hamował się tylko.

Wreszcie głowę w kierunku stojącego Sudijenka wyciągnął.

— *Zdorowi diad'ku...* — wybełkotał.

Sudijenko milczał, na powitanie nie odpowiadał, głową kiwał i w napół pijanego watażkę się patrzył.

— Maksymie... bój się Boga... co ty robisz...
Ataman nie podniósł się nawet z siedzenia.

— Co robię? Alboż nie widzisz...

— Widzę... ludzi mordujesz...

Watażka porwał się na równe nogi i wyiskrzzone groźnie oczy w Sudijenka utkwiał:

— A oni krwi naszej nie pili? Co?

Sudijenko z zaciśniętymi ustami w twarz jego, rozczzerwioną gorzałką, patrzył:

— Co ty oto pleciesz? Głupich czerńców słuchasz... Oni twojemi rękoma dla siebie żar grzebią...

Watażka, zdawało się, nie słyszał tego.

— *Hodi* ich panowania! *Hodi!* — krzyczał.

— Co ty oto gadasz? Jakiego panowania? Czyjzego? Spójrz na pomordowanych... tam większość swoich... Ty nie jesteś mścicielem krzywdy, ty zbrojem jesteś...

W żeleźniaku grała żądza morderstwa, wyglądająca z duszy czerwonymi oczyma.

— Wszystkich wymorduję! — krzyknął, w stół kułakiem uderzywszy — wszystkich! Ani jednego Lacha i żyda nie zostawię...

Z krzyku i gniewu piana mu się na ustach pokazała.

W Sudijence zawrzało oburzenie.

— Głupiś ty, głupi! — zawołał z akcentem, oka z żeleźniaka nie spuszczać.

Żeleźniak stał, oczy utkwivszy nieruchomie w Sudijenka.

— Co się stanie, to stanie — odrzekł z uporem watażka, — ale niechaj choć trzy dni panem będę!

— Tak! trzy dni będzie twego panowania, a siedem lat wieszania!

— Zobaczymy!

— Nie doczekasz może tego...

Żeleźniak ruch pełen rezygnacyi ręką zrobił:

— Bajdurzy! — rzekł niby sam do siebie.

Niepewnym giestem wskazał miejsce obok siebie Sudijence.

— *Diad'ku!* Co będzie, to będzie... a wy tymczasem siadajcie tutaj, i wypijemy...

Zaprosiny te zgorszyły starego setnika.

— *Cur tobi z twoją siwuchą!* Żłopaj ją sam...

Odwrócił się z obrzydzeniem, zdecydowany opuścić pijanego watażkę.

Zbliżył się do furteczki, zamykającej ową galerię. Spojrzenia jego spotkały się z utkwionym w niego wzrokiem Szełesta.

— Uciekajmy ztąd! — rzekł do niego, — chodźmy.

Szełest nic mu nie odpowiedział, jakby słów setnika nie słyszał.

Odeszli obaj.

Za nimi huczał głos watażki:

— Hej! Danyłko! Miodu niech tu przyniosą... beczkę... dwie!... muzykantów zawołać... niech grają... niech tańczą...

Szełest i Sudijenko przez chwilę szli milcząc.

— Rozhukał się, jak odyniec — zauważył Sze-

łest. — Trudna rada! Już go nie powstrzymasz... Daliśmy mu za wiele swobody... teraz czekać trzeba... lada dzień powinien Gonta nadejść... ten mu chyba łeb urwie...

Szelest próbował parę razy protestować przeciwko wybrykom Maksyma, ale bezskutecznie. Obawiał się zaś zbyt gwałtownie występować przeciwko ulubionemu watażce, ażeby nie narazić całej roboty i powziętych zamiarów, w które Żeleźniak wtajemniczony nie był.

Wszelki protest wreszcie nietylko nie doprowadziłby do niczego, ale groził śmiercią każdemu, ktoby zbyt gwałtownie przeciwko rozpoczętemu ruchowi i kierunkowi, jaki mu nadał Żeleźniak występował.

Jeden tylko Sudijenko, jako i krewny watażki i człowiek nie biorący żadnego udziału w projektowanym oddawna ruchu hajdamackim, śmiało czynił zarzuty Maksymowi, chociaż bezskutecznie.

Rozmowa, prowadzona przed chwilą z watażką, do głębi go oburzyła przeciwko sprawcom rzezi i pożogi.

Szli obydwa... tuż koło ratusza.

— Widzisz — zauważył Szelest, rękę naprzód wyciągając—jacy ludzie w obronę wzięli Ukrainę?

Sudijenko podniósł głowę, spojrział... i nic nie obaczył.

— Na bramę patrzcie, bat'ku...

— Patrę...

— Widzicie ten cień czarny przy słupie?

— Widzę...<http://rcin.org.pl>

— To dziad Harasym...

— On?

— Spił się i śpi we własnem błocie...

— Cóż on tu robi?

— Więźniów pilnuje... pełne lochy nazbierali tego pacholki żeleźniaka...

Zbliżali się do śpiącego dziada.

— A teraz odwróć się bat'ku po za siebie.

Sudijenko odwrócił się.

Wielki i obszerny plac jarmarkowy tonął w ciemności nocy; tu i ówdzie migwały małe światełka, niby świece, i wielkie czarne cienie kładły się po ziemi; to jedni, siedząc dokoła łojowej świecy, liczyli i dzielili się zrabowanymi rzeczami, drudzy— pijani i zmęczeni, spali pokotem.

— Patrz, to oni... ci pijacy, rabusie, złoczyńcy, mają bronić wiary w Ukrainie, a sami ostatni szeląg ze skarbonki cerkiewnej wyciągają, srebrne ryzy z obrazów zdzierają... Mając bronić Ukrainę od ucisku Lachów, a sami gorzej od Tatarów gospodarują!

Twarz mu poczerwieniała od gniewu.

— Tfu na takie śmiecie!—zawołał—toż to chyba cała pociecha, że tacy są robotnicy! Niechże się lepiej nasza Ukraina nie odradza nigdy, niż ma się odrodzić na hańbę uczciwych ludzi rękami rozbójników!

Odwrócili się znowu do ratusza i w kierunku leżącego dziada Harasyma poszli.

Zbliżyli się do niego.

Spał pijany. Brodę miał zapluta, świtkę na so-

bie powalaną, głowa jego spoczywała w jakimś gęstym płynie, cuchnącym gorzałką i kwasem.

— Oto stróż hajdamackiej sprawiedliwości! — rzekł Szelest.

Sudijenko zatrzymał się na moment.

— Dużo tam tych biedaków jest?

— Któż ich liczył!

— A gdyby ich wypuścić?

— Wypuścić?..

W tej chwili Szelest przypomniał sobie popa, wiszącego na brodzie przyklinowanej do słupa, stanął mu przed oczyma proces męczenia Maryni... i liłość obudziła się w sercu starego Zaporozca.

— Ha! Wypuścić... — rzekł niby sam do siebie,—a co powie ta hałastrą pijana i krwi nie syta?

Ręką wskazał czarną masę charczyzów, zmęczonych rozbojem, dzielących się resztkami łupów lub śpiących snem pijackim. Wątle, brudno-czerwone światełka, tu i ówdzie rozsiane, ledwie pozwalały rozpoznać ich kontury.

Sudijenko miał minę człowieka, który namyśla się co ma uczynić.

— Wiesz co — rzekł, zwracając się do Szelesta — wracaj ty do Maksyma...

— Po co?

— Niech on ciebie widzi... pokaż się mu...

Szelest zrozumieć nie mógł o co mu chodzi.

— Ja wypuszcze tych biedaków... żeby podejrzenie na ciebie nie padło.

— Ej, bat'ku, będzie bieda! Alboż wy nie widzicie co to za *zwiruka*?

— Ja dam sobie z nim radę, ale ty się nie narażaj... ty będziesz potrzebny jeszcze...

Pożegnał Szełesta i siłą prawie od bramy go popchnął.

Długą chwilę stał i za odchodzącym patrzył, aż z oczu mu zniknął.

Wówczas zbliżył się do Harasyma, leżącego w kałuży niechlujstwa, stanął nad nim, przypatrywał się z pewnym wysiłkiem, słuchał z natężeniem, jak gdyby sprawę zdawał sam przed sobą z tego stanu, w jakim był Harasym.

Zdawało się, że oprócz niego nikt więcej nie czuwa w mieście. Korzystając z ciemności, przystąpił do owych drzwi okutych, które mu Szełest pokazywał, i popróbowował otworzyć. Były zamknięte.

— Klucz pewnie u tego wieprza pijanego... — pomyślał sobie.

Więc znowu do dziada Harasyma nawrócił. Nachylił się ku niemu i obmacywać począł.

Dziad mrugnął oczyma i przebudził się na chwilę.

— Kto to? Czy to ty, Semenie? — bełkotał.

— Ja...

— Spoileś mnie... *traścia!*..

— Cicho... Spij... jeszcze ataman posłyszysz...

— Czego ty chcesz... Semenie... *traścia!*..

— Tsss... obróć się na drugą stronę i prześpij się trochę...

Sudijenko wszedł w przypadkową rolę Semena, a korzystając z niej, pijanego dziada obmacywał, kluczków szukając.

Harasym coś znowu przez sen bełkotać począł:

— Żydów sprzątać... trzeba... kiedy...

— Prześpij się... Pójdziemy...

— Dobrze... i ty się połóż...

— Kładę się... śpij...

W tej właśnie chwili klucz mu za pasem namacał i wyjął. Postać chwilę nad chrapiącym dziadem, przekonał się, że pijany piekielnie i poszedł drzwi od lochu otworzyć.

XI.

Sudijenko, otworzywszy drzwi od lochu, zeszedł do głębi po omacku, ściany się trzymając, poczuł pod sobą ziemię i zatrzymał się mimowolnie. Ciemno było zupełnie. Sięgnął więc do kieszeni, wydobył hubkę i krzesiwo i ognia skrzesał. Kilka błysków światła i potem zapalony cyr pozwolił mu objąć okiem całą jaskinię.

Wszyscy, mając w pamięci wyciąganie z pośród nich hakami ofiar, mimowiednie, w celu tylko obrony biernej, powodowani instynktem samozachowawczym, stłoczyli się ku tylnej ścianie lochu. Zgrupowali się w kupki, bądź przypadkowe, bądź pokre-

wieństwem złączone. Jedni stali przytuleni do siebie, przerażeni, szeroko otworzonymi oczyma patrzac w iskry, sypiące się z pod krzesiwa, nie wiedząc, co to wszystko znaczy: inni, zmęczeni i osłabieni męczarnią moralną, jaką zmuszeni byli przebywać, oparli się jedni na drugich głowami, leżeli nieruchomie, sił nie mając ruszyć się.

Wejście nieznanego człowieka, który krzesząc ogień, przypatrywał się tłumowi więźniów, w jednym momencie rozbudziło wszystkich. Opanowała ich niepewność i trwoga.

Ze stanu tego wyprowadził ich głos Sudijenki.

Krzesząc ognia i zapalając hubkę, mówił półgłosem :

— Loch otwarty... uciekajcie na Janówkę... Kto wie, niech pokaże drogę... tam już niema hajdamaków...

Ruch się zrobił w jednej chwili.

— Tylko cicho... po za ratusz... nie przez rynek, bo tam śpi pijana hołota...

Jakkolwiek strój Sudijenki na pierwszy rzut oka budził w więźniach obawę, słowa jego, w których współczucie i litość się odzywały, natchnęły wszystkich wiarą i nadzieją.

To też się hurmem rzucili do otworu.

— Nie kupą... nie kupą!.. po dwóch, po trzech wychodzić... a ostrożnie, ażeby który z was nie zbudził śpiącego dziada...

Nie upłynęło pół godziny, a loch się wypróżnił. Ani żywej duszy już w nim nie było.

Sudijenko stał nad otworem aż ostatni więzień wyszedł.

Postał jeszcze chwilę i patrzył za odchodzącymi.

— Z więzienia wydobyli się, obyż i rąk tych cyzów uszli! — pomyślał.

Potem zamknął cicho ladę na kłódkę, a klucz włożył znowu za pas śpiącemu bez pamięci Harasymowi.

Ani się ruszył, ani drgnął nawet.

Spał, jak zabity.

Zatknąwszy klucz za pas Harasymowi, Sudijenko do domu się skierował.

Rzucił jeszcze raz okiem na rynek, na śpiących hajdamaków — i na futor poszedł.

Dziad Harasym spał w najlepsze.

Jeszcze się brzask dzienny nie zarysował wyraźnie na niebie, kiedy w półcieniu nocy widać było kupkę ludzi, zbliżających się do ratusza. Ciemność nadawała im kształty olbrzymów, posuwających się powoli. Cisza nocy, otoczenie—szeregi spis, wetkniętych w ziemię, samopałów, opartych lufami o siebie, a pomiędzy spisy i samopały, gromady śpiących, pijanych charczów, trupy, wiszące na latarniach, lub słupach, albo też rozrzucone tu i ówdzie na drodze, we krwi własnej, skrzepłej broczące,—wszystko to nadawało temu obrazowi nocnemu charakter dzikości i grozy.

Na tle tego obrazu, przesuwała się grupa nieznanomych ludzi. Szli, szepcząc coś do siebie, wprost

do bramy ratuszowej, przed którą twardym snem pijackim spał Harasym.

Bliższe przypatrzenie się, do tych ludzi jeszcze więcej zaciekać mogło,—tembardziej, że półcień nocy pokrywał ich jakąś fantastycznością. W rękę nieśli długie kije, na których opierali się; na plecach torby, a odkryte głowy—siwe, w pięknych lokach, niedbale zwieszonych na ramiona i plecy, lub łyse przypominały biblijną wędrówkę apostołów.

Nie byli to jednak apostołowie, ale zwykłe dzia-
dy—żebracy, zwani pospolicie „torbysznyki“ — od torby, jaką naszali przez plecy.

Pewność kroku, świadomość kierunku w jakim dążyli, pozwalała domyślać się, że wiedzą dobrze, dokąd idą.

Istotnie szli wprost do bramy ratuszowej.

— Nie widać Harasyma...—odezwał się jeden z nich.

— Spi pewnie.

— Spóźnimy się—zauważył inny;—hajdamaki sobie kieszenie ponapychają, a nam figa.

— A toż dlaczego? Ataman pozwolił...

— Wielka rzecz, że pozwolił... On także hojny, ale na cudze.

— Co nam do tego kto daje, aby dawał.

— Tak... nie o to chodzi, ale w porę wziąć trzeba...

— Pewnie...

— Charczy niech sobie i w dzień gospodarują... to ich rzecz, a my tylko w nocy musimy. A nużby

kto zobaczył? Charczyy poszliby sobie szczęśliwie, a nas mieszczuchy wpakowaliby do jamy, a potem... na szubienicę.

Tak rozmawiając, przed bramą ratuszową stanęli.

Byli to żebracy z okolicy, dziady bezzębne i bezsilne, którym watażka pozwolił „pożywić się”—czyli obdrzeć trupy pomordowanych przez charczyków ofiar, z resztek, jakie jeszcze przy nich pozostały.

Na taką ucztę schodzili się dziady nad ranem.

Ten, który szedł przodem, bramę odchylił, Harasyma szukając.

Dojrzał go leżącego w cuchnącej kałuży, więc do innych odwróciwszy się, rzekł szeptem, ręką kiwając:

— Chodźcie...

Dziady wsuwali się przez pół otwartą bramę do dziedzińca ratuszowego, a ów przodujący nad Harasymem pochylił się.

— Diad'ku!.. Diad'ku!..—szeptał mu do ucha. Dziad chrapał i wąsami ruszał — ale spał.

Więc go kolega za plecy tarmosić począł:

— Wstawajcie... pora już...

Harasym nagle otworzył oczy, klipnął parę razy powiekami.

— Ha? Co Pora?

— Już świtać zacznie niedługo.

— A kto to? Ty Semenie?

— Ja...

Począł sobie oczy przecierać.

— Wypiłem trochę... — bełkotał.

Tymczasem inni wołać poczęli:

— Wstawaj! Wstawaj! Spóźnimy się!

Harasym na równe nogi się porwał -- i pierwszym ruchem jego było obmacanie pasa.

Klucza od więzienia szukał. Namacał go.

— Jest... — rzekł sam do siebie...

Potem do drzwi się zbliżył, ukląkł przed ladą i ręką w ciemności suwał po niej. Szukał kłódki. Znalazszy ją, pociągnął parę razy dla przekonania się, czy zamknięta i uspokojony, wyszeplenił przez zęby:

— Są sucze syny... bałem się, żeby nie uciekli.

Wyciągnął z kąta przy bramie kij sękaty, torbę, czapkę baranią, którą mocno na głowę nacisnął, nie troszcząc się o to, że słońce przypiekać będzie, i do kolegów odezwał się rezolutnie:

— Chodźmy!

Nagle... coś sobie przypomniał. Zatrzymał się, zrobił pół obrotu, na wschód się zwrócił, czapkę zdjął z głowy i przeżegnał się kilkakrotnie.

Za nim to samo uczyniła cała ta gromada dziadów-żebraków.

Po co oni zwracali się do Boga?—pewnie żaden z nich nie potrafiłby odpowiedzieć.

Wyszli nareszcie powoli z dziedzińca, — Harasym drzwi za sobą zamknął, — i, okrążywszy ratusz, poczęli plondrować w wązkich, ciasnych, cuchnących uliczkach miasteczka.

Oprócz nich żywej duszy widać nie było. Ci,

którym udało się życie uratować, przechowywali się po piwnicach i strychach; żaden z nich nie śmiał głowy wychylić z obawy, ażeby jej nie stracić. Ci, którzy w ręce charczyzów wpadli, zasłali trupami swemi owe wązkie ulice i progi mieszkań własnych.

Cni to byli przedmiotem rabunku.

Gdy dwudniowa prawie hulanka zbójcka krwią zboczyła ziemię, a trupami posiała, ataman wzdrygnął się sam przed własnym dziełem.

Pragnął ślady za sobą zatrzeć. Przeczuwał, że zbrodnia, na niewinnych ludziach popełniona, nie ujdzie mu bezkarnie; z obawy więc, ażeby znajomi i krewni nie poznali pomordowanych, pozwolił „torbysznikom“ obedrzeć trupy z ostatniej koszuli, z tym warunkiem, ażeby dziady do wspólnego dołu wrzucili wszystkich i ziemią zasypali.

Śpiący na pogorzeliśku wśród trupów obóz hajdamacki wyglądał strasznie.

Cały obszerny rynek, niby plac mustry, rozlegał się pijackiem chrapaniem charczyzów, a do wtóru mu odzywały się wycia wilków, otaczających pierścieniem miasto, szturmujących do niego ze wszystkich stron, na żer znęconych. Ten i ów śmielszy pod progi mieszczkańskich domów się wdzierał, porywał, co mu w paszczę wpadło i w step uciekał ze zdobyczą.

W miasteczku samem, na wązkich jego ulicach, gromadziły się kupy psów, które zasmakowawszy w ludzkim mięsie, rzucały się na trupy i ogryzały, co się tylko ogryźć dało. Włoczyły tedy po wszyst-

kich kątach różne cząstki ciała ludzkiego, wrywając je sobie wzajemnie.

Po nad tą gromadą ucztujących psów i wilków, unosiły się stada zbudzonych przedwcześnie wron i kruków, krążących po nad miastem, kracząc posępnie. Tu i owdzie spuszczały się one na ziemię, siodały szeregiem na niedopalonych belkach i spoglądały chciwie na rozrzucone trupy, nie mając jeszcze odwagi zasiaść na nich do uczty.

W takim otoczeniu i w takim towarzystwie gospodarzyli „torbyszniki“: jedni z nich obdzierali trupy, inni zwlekali je za nogi do dołów, wykopanych już wcześniej i, ziemią zarzuciwszy, zdawało się im, że ślad zbrodni zacierali.

Przy jednym z trupów pracował właśnie dziad Harasym. Był to chłopak młody, nie więcej nad dwadzieścia lat liczący może, porąbany i posiekany cały, posoką krwi obłany. Ubrany w szafirowy mieszczkański żupan, należał widocznie do zasiedziałej w miaseczku rodziny. Liczne rany na głowie i na twarzy od szabli, pokłóte ciało, najlepszym było dowodem, że się bronił dzielnie, że uległ tylko przewadze.

Leżał tedy rozciągnięty pośrodku ulicy, w kałuży krwi własnej, ociekły juchą skrzeplą, w szafirowym swoim żupanie i długich butach. Zamordowany go, zmęczeni widocznie, charczyzy nie chcieli się już dłużej koło niego parać. Tak więc w całkowitem swoim ubraniu został na ziemi, na świadectwo, że się zbójom bronił długo i mężnie.

W półcieniu brzasku dziennego napotkał go Harasym.

Obmacywał, nachyliwszy się nad nim, długo i powoli, wreszcie przyklął.

Powolność tej czynności miała swoją rację: była przeszkoda. Harasym zbliżając się do trupa, posłyszał warczenie psa. Zrazu go nie dostrzegł, bo i pies był szary, jak brzask budzącego się poranka. Z chwilą nachylenia się Harasyma nad trupem, pies odstał o dwa kroki może, na dziada patrzył i warczał, grożąc mu zębami. Poznał w człowieku krewnego, który mu żer odbiera. Bał się go i groził jednocześnie.

Harasym co chwila podnosił kij i w kierunku warczącego psa machał.

— Pójdiesz ty, *hadiuko!* — wołał.

Pokrzykując, na ziemi koło trupa usiadł, tuż przy nogach jego.

— Żupan pokłóty i podarty, ale buty *harne...* — mrucał do siebie.

Mówiąc to, skórę miał w rękę.

— Jucht dobry...

Zachęcony tem, ściągać począł z trupa obuwie.

Szło mu to opornie, bo buty siedziały mocno na skostniałej i obrzękłej już nodze.

Ile razy trup posunął się po ziemi, skutkiem pociągania Harasyma, tyle razy pies rzucał się na niego gwałtownie, za ramię zębami chwycił i, warcząc zjadliwie, ku sobie ciągnął. Zniecierpliwiony Harasym kij podnosił do góry, groził, klął— i psa

na chwilę odpędzął, ale jak tylko zaczął buty ściągać, a trup posunął się trochę po ziemi, pies znowu się na niego rzucał i w swoją stronę ciągnął.

Trwało to długą chwilę; pies ani na krok dalej nie odstępował od trupa, którego gryźć zaczął, a Harasym w żaden sposób butów ściągnąć nie mógł.

Tymczasem brzask rozjaśniać się począł. Zniecierpliwiony i rozgniewany dziad, tak był zajęty swoją czynnością, że nie spostrzegł nawet tego.

Wtem na załomie ulicy ukazała się jakaś postać, cichym krokiem, bosemi nogami zbliżająca się do dziada Harasyma. Stała prawie nad nim. Był to kolega w dziadowskim rzemiośle — Semen.

— *Hodi*, Harasyme! — rzekł półgłosem—dzień jak byk.

Harasym głowę podniósł.

— Uważasz, napotkałem buty doskonałe... a zdjąć ani rusz! Jeszcze w dodatku pies mi przeskadza.

Podniósł kij żebraczy i psu z daleka pogroził. Tym razem pies zachował się spokojnie: widząc, że nie z jednym, lecz z dwoma ma do czynienia, podgiął ogon jeszcze głębiej i warcząc, na stronę odszedł.

— Pora wracać... — rzekł Semen.

— Dużo jeszcze zostało... będzie się gniewał ataman.

— Jutro skończymy... Dzień... może kto zobaczyć.

Harasym podniósł się stękając i na trupa plunął.

— Tfu na ciebie! Przepadną buty!

Po tem przekleństwie dziady powlekli się dalej do domu.

Zaświtał wreszcie ranek. Wilcy w step kędyś uciekli, psy rozbiegły się po zaułkach ulic, po zagrodach, po opustoszałych zabudowaniach gospodarskich; dziady z torbami, naładowanemi resztkami odzieży, z trupów ściągniętej, udali się na spoczynek. W końcu jeszcze słońce zajrzało w oczy śpiącym charcyzom, oświetlając obraz zniszczenia i grozy, stworzony ich własnymi rękami.

Poczęli się budzić. Budzili się w niewiadomości, co poczną z dniem dzisiejszym. W takiej samej niewiadomości był i watażka. Pozostał w Bohusławiu dla odpoczynku niby, w rzeczy samej rozmyślał, w którą stronę się udać. Rozbójniczył ze swoją watahą bez planu żadnego: gdzie mu się zachciało, tam szedł. Nie był nigdy pewny, gdzie jutro się znajdzie, dokąd pójdzie, co będzie robił. Marzyła mu się Biała-Cerkiew, charcyzy mocno do tego namawiali, ręcząc, że się pochód opłaci zdobytymi tam skarbami—ale bał się, czy się tam nie spotka z jaką silną komendą polską. Humań nęcił go także. Ruszył niby na Humań, a w Bohusławiu zastrząął. Wstrzymywała go myśl tajemna: a nuż Gonta nie dotrzyma słowa, i zamiast z nim się połączyć do wspólnego działania, uderzy znienacka na jego watahę? Wszystkiego spodziewał się, nikomu nie dowierzał, nawet do Szełesta zaufanie tracił, chociaż mu tego nie okazywał.

Wśród takiej niepewności rozesłał zagony doko-

ła, czy mu wraz ze zdobyczą nie wpadnie jaka wiadomość pożądana.

Wiadomość taka przyszła—sprawiła tylko na razie wcale nie wesołe wrażenie. Jeden z zagonów wrócił i przyniósł pogłoskę o zbliżaniu się do Bohusławia nadwornej milicyi humańskiej, na czele której stał pułkownik Gonta. Wiadomość ta zasmuciła szczególnie szlechetne „towarzystwo“, które radeby było powiększyć swoje „batownie“, ale niechętnie oddałoby innym to, co już uważało jako swoją własność. Nic też dziwnego, że zbliżenie się Gonty trochę strachu im napędziło. Uderzono na alarm. Pułkownik kazał się przysposabiać do wymarszu—kiedy, dokąd? nikt nie wiedział. Watażka gotów był jednak w step uciec—tam czuł się bezpieczniejszym, niż w miasteczku.

Szelest liczył napewno na współdział Gonty, w niepewności jednak utrzymywał atamana rozmyślnie—ażeby obawą doraźnej kary, powstrzymać trochę krwiożerczość watażki i jego „towarzystwa“. Udało mu się to w części.

Tymczasem sam ofiarował się naprzeciwno Gonty się udać, z małym bardzo orszakiem, niby dla wybadania go, a w danym razie do skłonienia do kroku stanowczego. W ten sposób Szelest myślał o podtrzymaniu własnej powagi wobec watażki.

Wyszedł tedy na spotkanie pułkownika humańskiego—i przez dwadzieścia cztery godziny wieści o sobie nie dał żadnej. Żeleźniak z niecierpliwością posłańca wyczekiwał, gdyż wieść, jaką miał przy-

nieść, zdecydowałyby, w jaką udać się stronę. Wszystko było w pogotowiu do wymarszu.

Na drugi dzień dopiero, rankiem, przybiegł na spienionym koniu tak upragniony posłaniec. Leciał jak opętany wprost do atamana i przed nosem mu z konia zeskoczył.

Nikt nie wiedział o czem z nim mówił, tylko po rozmowie, Żeleźniak zwołać kazał sztab swój cały, sformować się jednej sotni pod bronią i na czele tego orszaku w step ruszył.

Ruszył na spotkanie Gonty.

Wystąpienie na czele małego oddziału miało charakter przyjacielski, charakter zupełnego porozumienia—to właśnie uspokoiło watahę.

Powitanie z Gontą nastąpiło w szczerym stepie.

Pułkownik humański wyjechał przodem, w niewielkim przybocznym orszaku, mając Szełesta tylko przy sobie. O parę wiorst wyprzedził swój oddział.

Z przeciwnej strony, od Bohusławia, zbliżał się Żeleźniak.

Jechał, wysoko w rękę trzymając buńczuk, za nim powiewała chorągiew, a trąby, litawry i bębny niezgodnym taktem grzniały jakąś dziką melodyę. Pochylili ku sobie chorągwie i buńczuki, zdjęli czapki, pokłonili się niemi w powietrzu, a potem z koni zsiadłszy, uściskali się, jak dwaj najserdeczniejsi przyjaciele.

Gonta nie poszedł jednak do Bohusławia. Nie dochodząc do miasteczka na jaką wiorstę, stanął obozem w stepie, pod gołem niebem. Dla siebie tylko

kazał rozbić namiot, gdzie przyjmował żeleźniaka i jego starszyznę.

Oddział cały był w pogotowiu do wyjścia; konie pasły się na przyponach, cztery działka polowe każdej chwili mogły zacząć kanonadę.

Obóz zachowywał się w rygorze i spokojnie; kordon strażniczy otoczył go dokoła, a żaden zagon, chociażby najmniejszy, nie wyruszył na plondrowanie przestraszonych mieszkańców.

Nie podobało się to IMci panu Pułkownikowi, ale niechęć w sobie zdławił.

Nazajutrz, równo ze świtem, znowu zawrzała okolica echem trąb, bębnow, litawrów, zlewających się w jedną nutę dzikiej radości.

Połączone oddziały liczyły przeszło dwa tysiące żołnierzy — reprezentowały więc siłę, jaką partya ukraińska w żadnym punkcie nie rozporządzała. Wiedzieli o tem obaj watażkowie, wiedziało i „towarzystwo“. A świadomość tej siły i przewagi objawiała się okrzykiem nieokiełzanej radości.

Z chwilą, kiedy złączone watahy dowiedziały się, że pójdą razem na Humań... na Humań pełen żydów, Lachów, złota i srebra, na Humań, którego zrabowanie stało się codziennem marzeniem hajdamaków, radość ich nie miała granic. Poleciały czapki w górę, a ciche powietrze stepowego poranku, rozległo się głośnem wołaniem, jak ongi w Czerwonym jarze:

— Na Humań! Na Humań!

Tym razem szli istotnie na Humań. Watahę żeleźniaka i swoją własną prowadził ten, który miał

stoczyć bój krwawy, a głowę jego przynieść na spisie i położyć u nóg Mładanowicza.

Nad stepem świeciło jasne słońce i na krańcach horyzontu wieszało się ponad ziemią blado liliowemi mgłami.

Powietrze drżało od gwaru idących hajdamaków, którzy trzymając się raczej kupy, niż regularnego układu, rozrzućili się szeroko po stepie w malowniczych grupach, oświetlonych jarzącem słońcem.

Trąby i kotły warczały nieustannie, napęniając echem powietrze. Przez cały ten rozgwar, przedzierając się pieśń, wyrrywająca się z tysiąca piersi hajdamackich, streszczająca w sobie jedyną myśl, ożywiająca te kupy:

Wedy, wedy atamane
Stepamy, jaramy,
Aż w Humani, na ryneczku
Wdarym kopytamy...

XII.

Gromadka mieszkańców janowieckich, jak trzymała się kupy w piwnicy ratuszowej w Bohusławiu, tak i wyszła kupą z więzienia, aż dopóki uliczkami pozamiejskimi w step szeroki nie wydostała się.

Nikt za nimi nie gonił—zwycięzcy spali, upojeni snem i gorzałką.

JMé pani Olszewska tworzyła środek owej gro-

madki; przy niej kupili się: Jurek, Marynia, Czarnecka, Salomon i Josek, — brakło tylko popa z Janówki, który z przyklinowaną brodą męczył się przy słupie.

W obszarpanej odzieży, albo napół nadzy, wszyscy znaleźli się naraz w stepie, śród nocy, między nadzieją wyzwolenia się z rąk hajdamackich, a obawą pogoni.

Nie poszli na trakt,—sama ostrożność nakazywała im usunąć się z głównej drogi, ażeby mimowoli nie wpaść w ręce nowego jakiego zagonu lub watahy. Do wsi nie śmieli zbliżać się także, ażeby się nie narazić na jaką zemstę osobistą, lub nie nasunąć się na oczy pijanej kupie rozhukanego hultajstwa, błędzącego samopas, a szukającego tylko rabunku lub krwi.

Okrażali więc wsie i futory, błędząc o głodzie i chłodzie pomiędzy łanami kłoszących się już zbóż i rozglądając się po okolicy, czy gdzie nie ujrzą oddziału polskiej chorągwi, ażeby pod jej skrzydłem znaleźć przynajmniej ratunek i chleb.

Daremnie jednak... Nigdzie nie zaszeleściły skrzydła husaryi polskiej, nigdzie nie zafurczały polskie chorągiewki, ale na horyzoncie kłębiły się czasem dymy, lub wybuchała łuna pożarna, świadcząc, że charczyzy gospodarują jeszcze w okolicy.

Wobec tego, powrót do domu równałby się wpadnięciu w ręce innych, nieznanym opryszków. Woleli więc ukrywać się po za krzakami leśnymi, po za falą złocących się zbóż, żywiąc się niedojrzałym

ziarnem i rosą otrząśniętą z liści dziewanny lub bo-
diaków.

Błądzili tedy wszyscy, tego lub owego wysyła-
jąc na ryzyko do futoru, lub wsi, po kawałek chleba,
w nadziei, że może im z chlebem pożądaną wiado-
mość przyniesie, jeżeli nie zginie od spisy hajda-
mackiej.

Przyszli wreszcie na dobrze znane sobie uro-
czysko — Hryckową krynicę. Parę wiorst było ztąd
zaledwie do Janówki, a bliżej jeszcze nieco do fol-
warku.

Noc już zapadła.

Siedzieli wszyscy skupieni na ziemi, rozmyśla-
jąc w cichości o smutnych losach swoich.

— Mamo—odezwał się Jurek szeptem—pójdę
ja, dowiem się do domu...

— Po co? Co tam znajdziesz?

— Pójdę... obejrzę...

Przez długą chwilę panowała cisza.

— Chybabyś po drodze do żony gajowego
wstąpił... Może nas przechowa... Nieraz doświadczył
od nas dobrodziejstwa...

— Dobrze... wstąpię...

Ruszył tedy znanymi sobie ścieżkami.

Do chaty gajowego było może jakich ze trzy
wiorsty.

Trafił jednak. Oświecały mu drogę gwiazdy
i księżyc młody, prowadziły psy znajome i zaprzyjaź-
nione z nim. Do samej chaty prawie dotarł, i w ko-
nopiach, wysokich jak las, które tuż naprzeciwko
chaty, o kilkadziesiąt kroków od niej zaledwie, ro-

sły, zapadł. Nie śmiał wprost do chaty się udać, bo widział, że małe jej okienko rzęsiście oświetlone, na dziedzińcu przy jasiach stoją powiązane konie, a przez wązką sień chaty, co chwila przesuwiają się jakieś postacie.

Wydało mu się to podejrzanem.

W podejrzeniu owem umacniał się tembardziej, że dolatywały go, stłumione zamkniętymi drzwiami i oknami, głosy jakieś—niezwykłe: były to chrypliwie śpiewane pieśni, jakieś wykrzyki urwane, gwałtowne.

Oczywiście — przyjęcie i pijatyka. Ale zkąd? Gajowy uchodził za człowieka trzeźwego, pewnego...

Korzystając z tego, że psy zachowywały się przy nim spokojnie, zbliżył się do samego brzegu kopci i przyglądać się począł.

Przez okienko widział wewnątrz pieca, buchające szerokim, czerwonym płomieniem, ogarniającym do połowy ogromne „kazany“.

— Pewnie „hałaszkę“ gotują dla gości... — pomyślał.

Oparta o odźwierek, stała Motra, żona gajowego, ręce na piersiach skrzyżowawszy: przysłuchiwała się rozmowie ludzi, będących w chacie—Jurek nie widział ich, pewnie siedzieli przy stole—i rzucała co moment okiem na garnek gliniany, stojący na uboczku na przypiecku, obłożony żarzącymi się węglami. Nie ruszając się od odźwierka, podnosiła od czasu do czasu rękę, w której warzęchę trzymała i płyn, zawarty w owym garnku, mieszała.

Jurek patrzył, nie mogąc nic a nic zrozumieć

z tego wszystkiego. Do środka chaty wejść bał się— ci ludzie i ta uczta miały charakter przyjęcia znanych mu już dobrze charcызów. Wyczekiwał więc spokojnie, czy się do konopi nie zbliży Motra lub gajowy, ażeby się z nimi rozmówić. Nikt jednak nie wychodził.

Wśród takiego oczekiwania zrobił się nagły, nieopisany hałas we środku chaty. Jurek rzucił okiem przez okno: garnek ów, obłożony węglami, w którym Motra warzęchą mieszała, płonął słupem jasno-fioletowego ognia, a w tym momencie koło przypiecka zamigotało kilkanaście głów męskich, które się tłoczyły hałasując. Wśród harmidru i tumultu, jaki się zrobił, odróżniał tylko dyszkant Motry:

— *Warenycha propała! Warenycha propała!*

Słowa te rozwiązały mu zagadkę, na jaką patrzył.

Motra warzyła dla swoich gorzałkę z miodem i przez nieostrożność pozwoliła się jej zapalić.

Unikając pożaru, jeden z gości porwał ową palącą się warenychę z garnkiem gołemi rękoma i na podwórze ją rzucił. Płomień buchnął na razie, ale gorzałka rozpląnęła się po ziemi, wsiąkać poczęła... i zgasła.

Gromada męczyzn, którzy się wysypali z chaty, otoczyła kołem palącą się warenychę. Ten i ów skrobał się w głowę i dowcipkował, ale ostatecznie rady na to nie było — ulubiony napój wsiąknął w ziemię i spalił się.

— *Sto czortyw-by...* — zawyrokował jeden z bardziej niecierpliwych gości.

— *Propało!* — wyrzekli inni, zrezygnowani.

Wreszcie gospodarz się odezwał do żony:

— No, syp żono, hałuszki... Zjemy i bez warenychy.

Do rozsypanej po dziedzińcu gromady gości się zwrócił:

— Chodźmy do chaty...

Milczkiem wszyscy poczęli się grupować koło progu chaty i pojedynczo wchodzić do wnętrza.

Jurek całą tę scenę obserwował z konopi i znaczenie jej doskonale rozumiał. Nie wierzył jednak, ażeby gajowy z charcyzami się bratał. Gościńę ową uważał za jedną z takich przymusowych, jakie się w owe czasy często zdarzały, a od których nie można było wykupić się inaczej... jak gorzałką i jadłem.

Nie ruszał się tedy z konopi, wyczekując, co to będzie dalej?

Naraz uspokoiło się w izbie.

— Jedzą teraz... — pomyślał.

Jakoż istotnie jedli, a on, ochłonawszy nieco z przestachu i niepokoju, głód uczuł straszliwy.

Przytuł się jednak do psa, ażeby mu cieplej było i zdrzemnął trochę.

W tem drzwi skrzypnęły.

Na progu chaty ukazała się dobrze znajoma postać Motry. Mimowolnie ruszył się silniej niż potrzeba. Zaszleściły łodygi konopi.

Widocznie zwróciło to uwagę żony gajowego,

bo w tę stronę, z kądem szelest słyszeć dał się, głowę pchyliła. Pochyliła... i zatrzymała się. Nasłuchiwała. Konopie szeleściły znowu i z pośród łądyg wysunęła się kudłata głowa Sirka.

Ujrzawszy gospodynię swoją, ku niej się rzucił i ogonem kręcąc, ku konopiom kierował się.

Motra z zachowania się psa domyślała się łatwo, że Sirko nie bez racyi biega ciągle od konopi do niej i od niej do konopi.

Wtem z wnętrza chaty odezwał się głos gajowego:

— Ho, żinko! A nasyp-no *pyrohiw!*

Więc do chaty nawróciła i wypróżnione misy napęlniła pierogami.

Zachowanie się jednak Sirka nie dawało jej spokoju. Więc misy wypełniwszy, znowu na dziedziniec wyszła, rozglądać się poczęła i dostrzegła Sirka, zwróconego głową ku konopiom i kręcącego ogonem.

— Musi tam być ktoś znajomy... — pomyślała.

Jurek na sam brzeg konopnego zagonu przypełził, Motrę widział z daleka, ale obawiał się przemówić głośno, ażeby który z gości nie posłyszał. Do gości nie miał zaufania.

Widząc zbliżającą się ku niemu, wyszeptał:

— Motro...

Ten szept w ciszy nocy wydał się jej szeptem „nieczystej siły“.

Stanęła więc jak wryta i żegnać się poczęła.

— W imię Ojca, i Syna, i Ducha...

Głośne jej żegnanie się znowu szept przerwał:
— Motro... to ja... Cicho...

Głos wydał się jej znajomym. Kręcenie Sirka ogonem działało także uspakajająco.

— To ja... Juraś Olszewski...

Ledwie to nazwisko wymówił, kiedy Motra, brwi zmarszczywszy, syknęła:

— *Mowczy, wraża detyno!*

Jednocześnie rozchyliła konopie i do leżącego na ziemi Jurka pochyliła się.

— Co ty robisz tutaj, paniczu?

Jurek opowiadał urywanemi słowy, krótko całą historię ostatnich dni.

Wysłuchawszy go, rzekła:

— Przepadniesz, *wraża detyno!* Ta-że tu pełna chata hajdamaków!

Jurek chciał coś odpowiedzieć, ale mu słowa w gardle ugrzęzły. Zapomniał o głodzie, o pragnieniu, o chłódzie.

— A matka gdzie? — pytała Motra.

— Błąka się po stepie.

— A siostry?

— Z matką.

Pomyślała chwilkę.

— Macie wy co jeść?

— Nie.

— Poczekaj tutaj.

Odwróciła się od niego i szybkim krokiem ku chacie poszła. Długo nie przychodziła, tylko na tle oświetlonych okien chałupy widać było przesuwającą

się jej postać wyniosłą, od chaty do komory, i cień długi, który się kładł od niej na ziemi aż do konopi.

Wreszcie, z komory wyszedłszy, zatrzymała się na chwilkę pod przyźbą, coś położyła i do chaty cicho wsunęła się. Pragnęła widocznie przekonać się, czy nikt za nią nie śledzi, bo z chaty wprost już poszła do przyźby, to, co położyła tam, wzięła, (była to torba płócienna, wiktuałami napełniona), a zarzuciwszy sobie na plecy, po pod opłotki do konopi doszła.

Sirko ją przyprowadził aż do tego miejsca, gdzie był schowany Jurek.

— Na, weź... — rzekła do niego Motra — i uciekaj pókiś cały... Jak cię tylko ujrzy kto tutaj... pożegnaj się z życiem! Przechować ciebie nie mogę... boję się! Widzisz jak huczają — ręką na okna chaty wskazała, — gdyby się który dowiedział, że przechowuję Lacha, toby mię na spisach roznieśli...

Powiedziała to — i znikła z przed oczu.

Nie miał po co tedy iść do domu, — wiedział, że w okolicy szwendają się charczyzy; chęć oglądania rumowisk i pogorzeliisk, mógłby łatwo życiem przypłacić.

Wdziawszy więc torbę na plecy, począł powoli wysuwać się z konopi i omijać po pod rowem zagajnik, pośród którego stała chata gajowego, aby co rychlej wydostać się na znajome ścieżki stepowe.

Worek na plecach mu ciążył, głód doskwierał, męczyła obawa, ażeby się nie spotkać z jakim wilkiem stepowym, któryby mu pożywienie wraz z życiem odebrał.

Ale na stepie panowała cisza taka, że mu aż w uszach dzwoniło. Tylko od czasu do czasu przepłynął powietrzem huk sowy, zbudzonej w zagajniku, od chaty gajowego rozlegało się szczekanie psa, albo wycie wilka, które śród ciszy nocnej wydawało się stokroć groźniejsze i silniejsze, niż zwykle.

Na ostatnim załamie zagajnika, rozścielił się na ziemi olbrzymi cień konia. Jurek ujrzawszy go, w trawie przysiadł i obserwował z daleka; nie był pewny, czy to koń pasący się luzem, czy może z jakim zbójnikiem stepowym ku niemu się zbliża. Przypatrując się pilniej, dopatrzył, że koń bez jeźdźca się pasie, zastanowiła go jednak nieforemna figura boków konia, bardziej zgrubiałych, niż zwykle bywają. Zdaleka robiło to wrażenie juków, wiszących na nich. Po dłuższem wpatrywaniu się, przekonał się jednak, że to nie juki. Noc, cisza, fantastyczne światło księżyca, które zalewało zupełnie step, pachnący rosą i trawą... nadawały widzianym obrazom kształty olbrzymie, niewyraźne, otaczały każdy większy krzak rośliny urokiem pewnej tajemniczości.

Jurek siedział tedy cały przemokły od rosy, kroku z miejsca ruszyć nie śmiał i w pasącego konia wpatrywał się, nie mogąc przypuścić, ażeby samopas się błakał. Zdawało mu się, że w trawie spoczywa jego właściciel, przywiązawszy trzęźlę do nogi. Tymczasem koń, skubiąc trawę, szedł wprost na niego.

— Musi to być oczywiście jakiś przybłąda — pomyślał — albo jeźdźca w stepie zgubił.

Ruchy konia w tę i ową stronę pozwoliły Jur-

kowi obejrzyć go dokładnie i wytłumaczyć sobie ową nieforemność boków, która go uderzyła: nie były to juki, ale siodło. Koń stracił widocznie jeźdźca i w step ruszył. W stepie musiał pokładać się na ziemię i tarzać się, próbując siodło z siebie zrzucić; było jednak widocznie mocno przypopreżone, nie zdołał go więc zrzucić, ale zdołał z grzbietu zsunąć na bok. To uniemożliwiło mu wszelkie dalsze próby w celu pozbycia się niepotrzebnego balastu, więc po stepie błąkał się z tem siodłem.

W takiej pozycyi ujrzał go Jurek.

Na tem się jednak nie skończyło wszystko. Koń wydał mu się znanym... szczególnie maść kasztanowata przypominała mu owego kasztana, na którym do palącej się karczmy Salomona wyjechał. Oczom swoim nie wierzył jednak. Noc, światło księżycowe, oddalenie, przeszkadzały mu potwierdzić stanowczo swój domysł.

Spróbował jednak sposobu używanego niegdyś: nie wysuwając głowy z trawy, zawołał tylko:

— Koś, koś, koś...

Koń głowę podniósł i wołania nasłuchiwał.

Nie było wątpliwości, poznał głos pana.

Jurek jak z procy wyskoczył z trawy, o worku i o jadle zapomniawszy, i w paru susach był już przy koniu. Za szyję go rękoma objął, całował, pieścił, przemawiał do niego najczulszemi wyrazami, jak do przyjaciela i brata. Koń na te wszystkie pieśczoty odpowiadał mu tylko rzeniem urywanem, krótkiem, jakby umyślnie starał się nadać mu łagodne brzmienie.

Wśród tych pieszczot Jurkowi błysnęła myśl pewna...

Odjął z szyi końskiej ręce, przychylił się nieco, i w jednym momencie rozpoprężył kasztanka, siodło mu na grzbiet nasunął, ustawił, znowu popręgi podciągnął, przyprowadził go za uzdę do tego miejsca, gdzie worek z pożywieniem zostawił, worek ów umocował przy boku konia, wsiadł nań i znaną drogą przez step ruszył.

Zkąd się tu kasztan wziął... w nocy, na stepie? Jurek nie umiał dokładnie wytłumaczyć. Prawdopodobnie jednak uciekł od hajdamaków i w step umknął. Błądził tedy po stepie osiodłany, wylizując się powoli z rany, aż nareszcie napotkał przypadkowo swego pana i towarzysza młodości, z którym bawił się od dzieciństwa, a potem mu służył.

Poczuwszy konia i siodło pod sobą, Jurek począł się mimowoli zastanawiać nad tem, co robić będzie z koniem i ze sobą.

Zanim na Hryckową krynicę zajechał, już miał plan gotowy.

Gromadka wygnańców janowieckich siedziała kupką w burzanach, kiedy od ziemi szmer jakiś doleciał. Szmer ten przestraszył wszystkich. Poczęli kolejką uszy przykładać do ziemi, nasłuchiwać, a każdy, podnosząc głowę, mówił z rezygnacją:

— Ktoś jedzie...

Niepokój i obawa zwiększały się coraz bardziej, im tentent stawał się wyraźniejszym, im łatwiej mo-

zna było przekonać się, że ów nieznajomy jeździec zbliża się coraz bardziej do ich kryjówki.

Jak stado kuropatw, zaskoczonych nagle przez psa, skupia się i przysiada do ziemi, w spokoju szukając ratunku, tak też i gromadka janowiecka uczyniła.

Nikomiu przez myśl nie przeszło, że tym jeźdźcem mógł być Jurek.

Nagle miarowy tentent konia ustał prawie... więc nowa obawa i nowe pytania: coby to być mogło? Niewiadomość sama była męczarnią.

Jurek przewidywał, jakie wrażenie uczynić może zbliżanie się w nocy jeźdźca do kryjówki, konia więc zostawił dobrze za sobą, a sam piechotą poszedł.

Do niewidzianych jeszcze ludzi szeptał, szamocąc się w burzanach:

— To ja... ja... Jurek...

Wołanie to było balsamem uspokajającym.

Opowiedział w krótkich słowach wszystko, co zaszło, i do konia wrócił po torbę z prowizją, daną mu przez Motrę.

Odwiązał ją, do konia się znowu przytulił, za szyję objął, coś pieśczośliwym głosem mówił, a koń poważnie i spokojnie głosu przyjaciela słuchał, jakby go rozumiał. Potem, poprawiwszy trzęźłę, zarzucił torbę na plecy i konia zostawiwszy wśród trawy, piechotą do kryjówki poszedł.

Po chwili już było widać tylko las burzanów, łobód, bodiaków, rosnących w przyjacielskiem sąsiedztwie, po nad niemi drgały fale księżycowe,

a o kilkadziesiąt kroków, na uboczu, na stepie pasł się samotny kasztan, jak wówczas pod zagajnikiem przed chatą gajowego.

Posiłek, przyniesiony przez Jurka, był bardzo pożądanym. Podzielili się nim wszyscy umiarkowanie, pamiętając o jutrze.

Przeżuwając powolnie, mechanicznie, kawał palanicy, Jurek siedział zamyślony, wodząc okiem po twarzach matki i sióstr. Myśl mu się przewijała przez głowę, której nie miał odwagi wypowiedzieć.

Długie milczenie przerwała pierwsza Olszewska.

— Już chyba temu gospodarowaniu hajdamackiemu będzie wkrótce koniec...

Salomon westchnął, Jurek milczał.

— Wątpię... — odezwał się po chwili. — Przez tydzień cały hukali: na Humań! na Humań! I pójdą na Humań...

— Pójdą... — wtrącił, westchnąwszy znowu, Salomon.

— Oczywiście, bo nikt im nie przeszkodzi — dodał Jurek.

Nagle do matki się zwrócił:

— Moja mamó! Na co ja mamie tutaj? Niepotrzebny zupełnie...

Olszewska nie mogła zrozumieć tego nagłego zwrotu myśli syna. Pochyliła tylko bliżej ku sobie głowę jego i pocałowała.

— Moje dziecko... Boża to wola, trzeba się z nią godzić...

— Tak, Boża wola... ale tu o mnie chodzi, moja mammo... Po co ja tutaj? do czego? Gdyby się nasi bili z tymi zbójami, biłbym się i ja... a tak... co? Gdybym wiedział, że się przydam na co... siedziałbym. Nie potrafiłem i nie mogłem bronić ani domu, ani matki... Co Bóg miał dać... to dał...

Matka przerwała mu mowę:

— Co tobie, moje dziecko?.. — spytała niespokojnie.

Mimowolnie ręką przesunęła mu po czole, jakby się przekonać pragnęła, czy syn jej nie bredzi w gorączce.

Głowa jednak była chłodna.

— Tak — ciągnął Jurek dalej — ja tu nie jestem nikomu potrzebny. Tu mordują nas bezbronych: wcześniej, lub później, przydybie mnie jaki rozbójnik... i skończę życie na szubienicy, lub od spisy hajdamackiej. A tymczasem tam biją się... Może się przydam na co ojcu...

Kobiety, słuchające go, odgadły, o co Jurkowi chodzi.

— Co ci Pan Bóg dał?—zawołała matka.—Porzucisz nas na pastwę hajdamaków?

Jurkowi pot zimny wystąpił na czoło.

— Dotąd i wy i ja byliśmy igraszką losu. Co Bóg przeznaczył... to i będzie.

Matka i siostra mówiły mu o obowiązkach serca, on myślał o obowiązku obywatela. Z wyrostka stał się mężem dojrzałym...

— Z koniem się nie rozstanę teraz, moja mamó. Kiedym go odnalazł, widać przeznaczenie już takie, ażebym na nim siedział. Wyjechawszy ztąd, prędzej może i dla was pomoc wynajdę, niż siedząc w burzanych i wyglądając, czy nie nadciągną zkąd hajdamaki, ażebyśmy nowego schronienia szukali.

Być może, że słowa te trafiły do przekonania Olszewskiej; po dłuższej chwili milczenia, odezwała się spokojnie:

— Jedź, moje dziecko...

Ani słowa nie rzekła więcej.

Obowiązek obywatelski przeważył nad uczuciami osobistymi.

XIII.

Jurek nie znał drogi do Baru, nigdy tam nie był — ale znał kierunek. Utkwiło mu w pamięci kilka miast, na które kierować się należało: Taraszcza, Wołodarka, Plisków, Lipowiec, Woronowica, Brańków. Tą drogą więc ruszył.

Salomon, który przez cały czas rozmowy Jurka z matką zachowywał się milcząco, gdy się przekonał, że wyjazd do Baru jest niecofniony, odezwał się:

— Nu, dobrze pan robi, że jedzie; jak mają nas pozabijać charczyzy, to pozabijają tak samo z panem, jak i bez pana. Po co na tych paskudników cze-

kać? Niech pan lepiej jedzie, może się panu uda wyrwać nas z tego nieszczęścia.

Pomyślał chwilkę.

— Tylko proszę wielkim gościńcem jechać... niech pana Bóg broni trzymać się małej drogi, tam szwendają się te paskudniki i w dzień i w nocy, a szerokiego szlaku boją się.

Uwaga ta, bardzo praktyczna, przydała się Jurkowi, szczególnie z początku, bo od Bohusławia począwszy, między Taraszczą, Wołodarką, Pliskowem, a Lipowcem, na bocznych drogach wszędzie mógł się na plondrujących charczyzów natknąć. Za Lipowcem było ciszej, a koło Winnicy, Woronowicy, Braiłowa zupełnie cicho.

Trzeciego dnia, jadąc bardzo dobrze, stanął na popas w Mańkowcach. Ztamtąd już tylko półtorej godziny miał do Baru.

Postać Jurka—obdrapaną, obszarpaną, w odzieży zbieranej widocznie przypadkowo i z różnych osób, jakoteż i kasztan, istny obraz nędzy i głodu—zwracała na niego wszędzie uwagę. Ten i ów brał go za włóczęgę z początku, po krótkiej jednak rozmowie, ujęty szczerością opowiadania, ze współczuciem przysłuchiwał się opowieściom młodego chłopca o ludziach i wypadkach, o których koło Baru głuche i niedokładne błądziły gawędy.

Temu tylko zawdzięczał, że się nie dostał do kozy jako włóczęga.

Do Mańkowiec ledwie już dowlókl się na zmęczonym koniu. Głód go zmorzył, nędza i przebyte

cierpienia. Gdyby nie ta pewność, że już... już Bar zobaczy, byłby może padł na drodze ze znużenia.

Przywiązawszy tedy kasztana do kółka, whitego w słupek, stojący przy karczynie mańkowieckiej, do izby poszedł.

Ledwie się dowlókl do ławy i usiadł machinalnie. Jadła już ze sobą nie miał ani odrobiny; wziął mało, ze względu na tych, których zostawił w kryjówce z burzanów przy Hryćkowej krynicy, a to, co wziął, dawno już spałaszował. Konia tu i ówdzie w stepie podpasał i poił, ale sam od Woronowicy jechał o głodzie.

Usiadł tedy na ławie i siedział posepnie. Przez okno widział plac wielki i kościół, którego, wjeżdżając od Czerniatyna, nie dostrzegł, chociaż mu stał przed oczyma prawie.

— Kościół!...—pomyślał sobie—toż i parafja być tutaj musi...

Nie o zbawieniu duszy w tej chwili myślał, lecz o głodzie.

Wahał się, czy nie pójść może na parafię i nie poprosić o chleb.

Ale rozmyślenia jego przerwane zostały. Z alkiejra wysunęła się powoli postać żyda rudego, o zezowatych oczach, dobrze już podstarzałego, który mu się wielce ciekawie i podejrzliwie przypatrywać począł. Był to lis szczwany—postać Jurka odrazu go uderzyła i zainteresowała.

— A zkąd Wielmożny pan jedzie? — spytał z akcentem złośliwym.

— Z daleka... — odciął się Jurek krótko.

— Przecie?

— Z Bohusławia.

Arendarz zamilkł raptownie. Zdawało się, że mu język przysechł do krtani. Zdziwionemi i przestraszonymi oczyma wodził po całej postaci Jurka, jakby się pytał: coś ty za jeden?

Podróżny ów stał się dla arendarza zagadką. Wiedział od żydków przejezdnych, co się tam działo w Bohusławiu — wspomnienie o tem napępiało go przestraszonym i grozą. Nie mógł odgadnąć, czy miał przed sobą jednego z rozbitków, czy jednego z wysłańców tej dzikiej armii, która wszędzie niosła za sobą pożogę i mord.

Po długiej chwili ledwie się na ponowne pytanie zdobył:

— Z przeproszeniem pana: czy pan nie żartuje?

— Wcale nie.

— Więc to wszystko prawda, co ludzie mówią?

— Nie wiem, co mówią, ale dzieją się tam straszne rzeczy.

Arendarz westchnął.

— Tu jeszcze, Bogu dzięki, hajdamaków nie ma... ale — mówił zwolna — wszędzie jest swoja bieda, dlaczegóżby u nas nie miała być?

Z kolei Jurek o tę biedę nie pytał.

Żyd jednak uspokoić się nie dał.

— A Wielmożny pan teraz gdzie jedzie?.. jeżeli wolno zapytać.

— Do Baru.

Arendarz ręką ruch rezygnacyi zrobił.

— Tam także miodu niema!

Kiedy tych słów domawiał, na owym placu przed kościołem i przed karczmą zrobił się niezwykły ruch, harmider, zatętniały kopyta końskie, zahuczały głosy jakieś, szorstkie, ostre.

Jurek odwrócił się do okna mimowoli, Żyd także się pochylił gorączkowo i w jednym momencie odskoczył, jak oparzony, głosem przestraszonym wołając:

— Ot i bieda nasza! Nie trzeba było na nią długo czekać.

W głosie jego nie drżała jednak ta nuta przestachu, jaka odzywa się zwykle w głosie Żyda, wie-trzącego niebezpieczeństwo. Śnać z taką biedą spotykał się często i niezbyt się jej obawiał.

Obszerny plac przed kościołem i przed karczmą napełnił się kilkudziesięciu konnymi żołnierzami, wysłanymi z Baru na „picowanie“.

Ciury zostali przy koniach, a kilku towarzyszy do izby szynkowej weszło. Wejście ich butne, zamaszyste—widać, że się tutaj czuli jak u siebie w domu—nie zdekoncertowało siedzącego przy stole Jurka. Rzuciwszy okiem na obdarte jego suknie, na wy-nędzniałą postać, żaden mu głową nawet nie kiwnął, nie kiwnął i Jurek. Markotno mu się zrobiło, że pierwsze spotkanie się z wojskiem polskim tak jakoś przykro dla niego wypadło, ale udał, że tego nie odczuwa i siedział sobie spokojnie.

Tymczasem z arendarzem stała się nagle przemiana. Zdawałoby się, że muskuły jego nabrały naraż niezwykłej giętkości, twarz przybrała wyraz zadowolenia, ożywiła się. Biegał po izbie, aż mu się broda trzęsa.

— Mam miód winnicki, od Kapucynów... — mówił, schylając się do jednego z przybyłych towarzyszków i uśmiechając się pochlebnie.

— Łiesz! — odpalił towarzyszk.

— Jak życzę panom zwycięstwa! — zaklinał się Żyd.

Krzyknął, w kierunku alkierza zwróciwszy się:

— Rejze! A przynieś garniec miodu!

Tymczasem ów towarzyszk usiadł zamasyście przy Jurku, szablę odpasał, przy sobie na stole położył i do arendarza się zwrócił:

— A cóż tu parchu nowego? Powiadają, że już się pod Bar ruszyli... nic nie wiesz?

Żyd udał zdziwionego.

— Ruszyli się? Nu? I jabym nie wiedział? To być nie może!

— Niech się tylko pokażą!

Tu pięść złożoną podniósł do góry i trząsa nią zawzięcie.

— Dawno im się to należy—potakiwał arendarzk.

Rejze w jednym momencie miód przyniosła i przed owym towarzyszkem postawiła.

Gość pociągnął haust dobry z gąsiorka i znowu do arendarza się zwrócił:

— A o hajdamakach nic nie słyhać?

— U nas Bogu dzięki nic, ale... ot ten pan — tu ręką na Jurka wskazał—z pod Bohusławia właśnie jedzie. Aj waj! Straszne tam rzeczy.

Słowa Żyda zwróciły uwagę na Jurka towarzyszy, a przede wszystkim sąsiada.

— Waszmość tak siedzisz—rzekł sąsiad z ukosa na niego patrząc—jakbyś trzy dni nie jadł, kiedy tu o hajdamakach mowa.

— A, bom nie jadł.

Słowa te zdekoncertowały towarzysza. Grzeczniej się tedy do Jurka zwrócił:

— Z kimże mam honor rozmawiać?

— Olszewski jestem.

— A ja Czerwiński—rzekł powstając towarzyszy i kłaniając się Jurkowi.

Tu wpadł w dyalog inny kolega.

— Mamy w załodze Barskiej Olszewskiego... dzielny żołnierz.

— Prawda... tak, tak... Wysoki starzec z siwą brodą... zięcia ponoś ma przy sobie.

— To mój ojciec...

— A ten drugi... nie pamiętasz?

— Szelepiński... — podpowiedział Jurek.

— Tak, tak...

— Więc Waszmość do Baru dążysz?

— Do Baru.

Tu IMé pan Czerwiński na arendarza huknął:

— Hej żydzie! Dajno jeszcze gąsiorek... a przykaskę tam jaką wyszukaj!

Żyd ruszył się jak opętany, a tymczasem Jurek jął opowiadać szeroko i długo o ruchach hajdamackich, o charakterze tych ruchów, o losach własnych i rodziny.

Jedli i gawędzili. Rozmowa stała się ożywioną i powszechną. Zасыpywano Jurka pytaniami. Przyszło wreszcie z kolei i do tego, że Jurek przyczynę swojej podróży do Baru wyłuszczył.

Zaimponowało to IMci panu Czerwińskiemu.

— Młodyś, ale zuch!—zawołał w zapale.—Mości panowie—zwrócił się do kolegów—godzi się wypić zdrowie tego odważnego kawalera. Niech żyje!

Podniosły się gąsiorki do góry, zabrzączały. Jurek podjadł sobie i podpiał—pierwszy raz w życiu.

Kiedy się przepijania kolejka skończyła, IMé pan Czerwiński głos zabrał, jako był wymowniejszy od innych:

— I w Barze będą nie przelewki, Mości panie Olszewski. Przyjdzie tu do siekaniny, oj przyjdzie! Pan Łowczy koronny obwąchuje Bar ze wszystkich stron, ale ugryźć nie śmie. Zagląda jak pies, czy nie znajdzie jakiej dziury, ażeby mógł wleźć do komory... zawsze gdzieś dostanie po gębie i odejść musi. Czeka tylko, ażeby się rzucić na nas, ale i nam pomoc nadchodzi.

Tu nachylił się do ucha Jurka i szeptać począł:

— Mieliśmy pisanie tajemne od IMci pana Giżyckiego, że się w półtora tysiąca koni do nas wybierają. Jeżeli uda mu się obejść pana Łowczego, tożto da mu po tebinkach!

Tu zaśmiał się na całą gębę, współbiesiadnicy zawtórowali mu głośnym śmiechem, a IMć pan Czerwiński podniósł gąsiorek swój do góry i, kręcąc wąs, mówił:

— Mości panowie! Póki jeszcze żyją Pułascy, póki żyją tacy panowie, jak Joachim Potocki, i tacy biskupi, jak ksiądz biskup Kamieniecki, tak długo, da Bóg, nie damy się takim, jak pan Łowczy koronny; nie będziemy się kłaniać takim lalkom, jak ta nasza malowana, co siedzi na zamku warszawskim.

Wrzawa się zrobiła wielka. Krzyżowały się różne głosy, ale górował nad niemi głos IMci pana Czerwińskiego.

— Mości panowie! — wrzeszczał — za zdrowie przewodców naszej konfederacy!

— Za zdrowie! Za zdrowie!

Pili i krzyczeli, co sił starczy.

Najwcześniej oprzytomniał Jurek.

— Dobrze mi tu w towarzystwie tak ochotnych rycerzy — rzekł — ale do Baru spieszyć muszę.

— I nam pora — odezwało się kilka głosów z różnych stron.

— Więc podążymy razem? — zwrócił się do Jurka IMć pan Czerwiński.

— I owszem, w kompanii weselej będzie.

— Maszże tam Waszmość gdzie przytulić się?

— Tymczasem ulokuje mnie ksiądz Marek... a potem... do szabli.

IMć pan Czerwiński szeroko oczy otworzył i na Jurka nieco zdziwiony patrzył.

— Jaki ksiądz Marek? Karmelita? Jandołowicz?

— Tak, to nasz powinowaty... ten sam właśnie.

— Winszuję, winszuję—rzekł z akcentem respektu.

Rozpoczęło się krzątanie się po izbie—suwanie ławami, przypasywanie szabli, wreszcie jeden po drugim wysuwał się cichaczem za drzwi. Po pewnym czasie, orszak cały, uformowawszy się jako tako, przejechał plac przed-kościelny i na lewo, na gościniec, wiodący do Baru, nawrócił.

Ledwie za Mańkowce wyruszyli i w las głęboki wjechali, od strony Baru doleciał do nich huk strzału armatniego, a potem regularna kanonada.

IMć pan Czerwiński do jadącego obok niego Jurka odezwał się:

— Oho, pan Łowczy koronny poszczekuje!

— Może się gdzie podjazdy ucierają — ktoś wtrącił.

— Pleciesz Waszmość... Podjazdy z harmat nie pukają.

Uwaga była słuszna.

Owo pukanie jednak jak powstało raptownie, tak też i cichnąć poczęło rychło, a kilka pacierzy nie minęło, gdy ustało zupełnie.

Istotnie, ustanie strzelaniny mogło być najlepszą wskazówką, że się na nic poważnego nie zanosilo. Musiała to być nowa próba pana Łowczego.

Szarym zmrokiem dopiero do miasta wszedł oddział IMci pana Czerwińskiego. W bramie dowie-

dzieli się od straży, że Giżycki przyprowadził półtora tysiąca koni.

Pan porucznik asystował Jurkowi pod same wrota niedokończonego jeszcze klasztoru Karmelitów i pożegnał go uprzejmie.

— Mocno prochem pachnie — rzekł do swego nowego towarzysza—zanosi się na porządną robótkę.

— Oby Bóg dał, korzystną dla nas.

Jurek przed bramą konia przywiązał i pociągnął za dzwonek od furty klasztornej.

— A kto to się włóczy po nocy?—odezwał się głos z za furty.

— Podróżny...

— Co? Jaki podróżny? Tu moiści panie nie klasztor, ażebyście się do misy zbiegali.

Uwaga ta zdekonzertowała Jurka.

— Masz tobie!

Od furty jednak nie odchodził.

— Przecież nie będę nocował na ulicy!—rzucił niewidzialnemu interlokutorowi.

— A to jedź Waćpan do pana Starosty... on ulokuje... tu pełno.

— Ależ ja z księdzem Markiem potrzebuję zobaczyć się!

— Co-o-o? Z jakim księdzem Markiem?

— Karmelitą...

— Ksiądz Marek jest wprawdzie teraz w celi swojej, ale... cóżeś Waść za jeden, że ci tak do niego pilno?

— Krewny jego jestem... Olszewski...

Za drzwiami furty słychać było niecierpliwe splunięcie.

— Tfu! Co Waśc oto pleciesz! Olszewski jest tutaj.

— Ja jestem Jerzy Olszewski.

Za drzwiami rozległ się wykrzyknik pełen rezygnacji:

— Ha!

I w tej chwili klucz zaskrzypiał.

W otwartej furcie, śród zmierzchu, ledwie zarysowały się kontury olbrzymiej, wąsatej postaci szlachcica, która piersią swoją całą furkę zasłaniała. Nie był to pokorny furtyan, ale dobrze uzbrojony drągal, który go mierzył pytającym i badawczym spojrzeniem. Korpusem swoim zasłaniał mu drogę.

— Zkądże Waszmość przybywasz?—pytał niedowierzająco, pilnie obrzucając okiem całą postać Jurka, wyglądającego obszarpanie i nędznie.

— Z Ukrainy.

— Ba, Ukraina wielka! Znam ją przecie, jak własne wąsy.

To mówiąc, całą garścią wąsy pogładził.

— Ja jestem z pod Bohusławia.

Szlachcic nie mógł ukryć swego zdziwienia.

— Cóż to u licha! Przecież mam zaszczyt służyć w chorągwi partyi ukraińskiej IMci pana Olszewskiego z pod Bohusławia, która właśnie w tym klasztorze kwateruje.

— Tem lepiej!—zawołał Jurek.— Ja jestem właśnie synem IMci pana Olszewskiego.

Wyrazy te uspokoiły szlachcica.

— Tak-że Waś i gadaj!

Po chwili rzekł spokojniej:

— Ruszaj Waszmość prosto przez refektarz na górę, a tam na lewo pierwsza cela ks. Marka. Ja tymczasem dam znać IMci panu Rotmistrzowi.

Powiedziawszy to, furtkę zamknął i w głąb dziedzińca poszedł.

Jurek z bijącym sercem szedł przez napół oświetlony refektarz, tylko mu w uszach dzwoniły echa własnych kroków.

Stanął nareszcie przed celą... i po chwili nieśmiało zapukał.

Drzwi się otworzyły do środka tak, że Jurek stanął odrazu naprzeciwko ks. Marka, ledwie go piersią nie dotykając.

Na widok księdza, opanowało go uczucie rzewne, smutne, głębokie, które mu piersi ścisnęło i krtań, łzami do oczu napływało. Rad był, że będzie mógł wypłakać się przed kimś, swoje bole i zmartwienia opowiedzieć.

Celka, w której się znalazł, miała pięć kroków długości i cztery szerokości, a całym swoim wyglądem przypominała cele pustelników. Tuż naprzeciwko drzwi, pod oknem wielkiem, zakratowanym jak w więzieniu, przytulona była szeroka dębowa deska, zamiast stołu, nie wiedzieć jakim sposobem, gdyż nie opierała się wcale na nogach ani na krzyżach. Na tym improwizowanym stole leżał brewiarz rozło-

żony. Znać było, że ks. Marek wprost powstał od brewiarza, ażeby Jurkowi drzwi otworzyć.

Na prawo od owego stołu dębowego przy oknie, w kącie były drzwiczki od szafki, w ścianę wmurowanej, a wzdłuż tej samej ściany stała prycza sosnowa... golusieńka... ani posłania na niej, ani poduszki, tylko w głowach czarny dębowy krzyż wisiał.

Ubogą tę nad wszelki wyraz celę oświetlało pełgające światelko kaganka, ustawionego na przy-mocowanej do ściany deszczułce, tuż nad owym sto-łem dębowym.

Ks. Marek, otworzywszy drzwi, wnet Jurka poznał. Wycieńczony niedostatkiem i głodem chłopak, w strzępkach odzieży, z oczyma łez pełnemi, całą swoją postacią opowiadał smutne dzieje.

Ksiądz na widok jego zaniemiał. Ręce tylko złożył, palce zacisnął i ruchem, pełnym przestachu i zdziwienia, do twarzy je przyłożył.

Jurek jak długi do nóg ks. Marka upadł.

Nie miał sił mówić.

— Ach, ojczy! — jęknął tylko, i łzy, które mu długo powieki paliły, strumieniem buchnęły.

Ks. Marek schylił się i łagodnie za ramiona Jurka ujął. Chłopiec szlochał, łzy połykając i tłumiąc.

— Wstań... wstań... moje dziecko — mówił ks. Marek wzruszony i blady, pochyliwszy się nad Jurkiem,—nieszczęście... prawda... Karze nas Bóg, ciężko karze... ale nie tyś winien... nie, są inni... Kiedyś

kara dosięgnie, nie ich, ale sumienie wnuków i prawnuków ich na pastwę zgryzot wyda...

Podjął Jurka, gwałtem prawie na zydelku posadził, chwilkę jeszcze ze współczuciem, w milczeniu, na niego patrzył, potem zbliżył się, za szyję mocno objął, do piersi przytulił, pocałował i rzekł spokojnie:

— Trzeba ojca powiadomić, żeś przyjechał.

Szlachcic jednak, co furtę Jurkowi otwierał, już IMci panu Olszewskiemu o wszystkim zakomunikował.

Za chwilę tenże wraz z Szelepińskim do celi ojca Marka przyszedł.

Olszewski domyślał się, że jakaś ważna przyczyna sprowadziła Jurka do Baru, domyślał się nawet tej przyczyny, odgadując ją z pogłosek, nadchodzących z tej lub owej strony, o ruchu hajdamackim.

Wiedział, że wataha żeleźniaka na Bohusław poszła, ale nie wiedział, jak gospodarzyła.

Jeden rzut oka na Jurka odkrył mu w części smutną tajemnicę.

Rzucili się sobie w objęcia,—syn z płaczem niepowstrzymanym, ojciec łyzy gwałtem w sobie tłumiąc.

Potem rozpoczęło się długie opowiadanie o tem, co zaszło i co się stało z rodziną całą.

Jurek, uspokoiony nieco, opowiadał wszystkie przejścia swoje, wszystkie wrażenia, wypadki, cierpienia—nic nie utaiwszy, nawet pobudek, które go skłoniły do opuszczenia matki i sióstr i do przybycia do Baru.

Olszewski słuchał tego opowiadania w milczeniu, ani jednym słowem go nie przerywając, a ojciec Marek stał o ramę okienną oparty, zamyślony, twarz całą obiema dłońmi rąk zakrywszy.

Wreszcie zapanowała cisza.

— Dobrześ zrobił, moje dziecko, żeś przyjechał — odezwał się Olszewski. — Tam marniałeś, tu możesz być potrzebny.

Ojciec Marek odjął dłonie od twarzy; pełne oczy miał łez.

— Chodź tu, mój synu...

Jurek zbliżył się i ukląkł, ażeby nogi księdza Marka pocałować.

Ten rękę mu na głowie położył.

— Niech ci Bóg błogosławi... — rzekł wzruszony. — Dobrześ zrobił... Tam ludzie cierpią, tu walczą za ojczyznę. Na cierpienie znajdzie się pociecha; do walki rąk potrzeba, ramion silnych, serc prawych...

Nachylił się i w głowę go pocałował.

— Wstań!.. Niech Bóg czuwa nad tobą...

Potem do ojca i syna się zwrócił:

— I tu nie zanosi się na dobre... to prawda. Obsaczą nas, jak wilka w oborze, i zwyciężą... Ale większy Pan Bóg, niż pan Rymsza. *Bellum pater omnium*. Kto mieczem wojuje, ten od miecza ginie. Na wojnie nie rodzą się ludzie... mawiał nasz Czarniecki... Idźcie moi kochani spać, bo jutro, kto wie, czy nam na pobudkę nie zagrają.

— A cóżeś z kasztanem zrobił? — zapytał ojciec, kiedy próg celi przestąpili.

— Przed bramą klasztorną.

— Poślę po niego.

Pan Łowczy koronny to się do Baru zbliżał, to odstępował. Niby straszył, widać jednak było, że się trochę lękał i wołał posługiwać się białą chorągwią parlamentarza, niż kulami działowemi. Giżycki próbował go obejść i z tyłu uderzyć—nie udało mu się to: utrzymywał, że posiada za mało żołnierza. W ogólnej obronie Baru szła bardzo niedołącznie. Chociaż obie strony rozporządzały jednakiemi siłami, barzanie nie mogli się zdecydować na krok stanowczy, nawet po przyłączeniu się do nich Giżyckiego, który garnizon twierdzy znacznie wzmocnił i siłę na stronę konfederatów przeważył. Zamiast wyjść z Baru i IMci Pana Łowczego w puch rozbić, wahano się i zwlekano.

Miał rację Łowczy koronny, że stanowczego kroku unikał, bo on czekał na sukurs, ale nie mieli racyi obrońcy Baru, bo ten sukurs był dla nich zgubą.

Branickiego nie było wprawdzie tuż pod Barem, —leżał obozem w Derażni i wyczekiwał. Barzanie tłumaczyli to sobie tchórzostwem: tymczasem ten i ów, chroniąc się do miasta, przynosił wiadomość, że z jednej strony ciągnie Apraksyn, z drugiej Weisman.

A barzanie po dawnemu siedzieli spokojnie, jak u Boga za drzwiami, ucierając się z podjazdami pana Łowczego, który chciał czemkolwiek ich zająć.

Raniutko 19 czerwca, na dobrą godzinę do świtu, zahuczały nad Barem działa... Spodziewano się trochę tej muzyki, ale tym razem pierwsze strzały

wydały się poważną przegrywką. Łatwo spostrzegli wszyscy, że z trzech stron biją: od Derażni, od Wasiutyniec i od futorów barskich. Tak. Z jednej strony zachęcał do poddania się Apraksyn, z drugiej Weisman, a z trzeciej przemawiał IMć pan Branicki, zawsze skory do parlamentowania i do zgody na temat miłości ojczyzny, którą tak kochał w osobliwy sposób — bijąc ją i zdradzając.

Z wałów zamkowych odpowiadano na te strzały—bez energii. W mieście i w fortecy powstał gwałt i rwetes nie do opisania. Mieszczanie i Żydzi, w jednych koszulach, zerwawszy się z łóżek, biegli, otoczeni kłębamii dymu, do zameczku. W momencie miasto stanęło w płomieniach: żydowskie domostwa i chałupy mieszczan, z drzewa klecone, słomą kryte, płonęły, jak świece lub suche smolaki, a nad niemi latały ogniste węże, sycząc w powietrzu—kule, niosące wszędzie zniszczenie i przestrah.

Zameczek nie był wcale wolny od tego ogólnego zamieszania: tu płonąć poczęły niewielkie zapasy siana i słomy, ówdzie wyleciała w powietrze prochownia, zasypując ziemią i resztkami kamieni ludzi i konie. Niewielka liczba pieszego żołnierza zajęta była na wałach koło strzelby, a konna szlachta nie mogła się w żaden sposób sformować i rozwinąć, tak z braku miejsca, jakoteż z powodu ciągłego sypania kul armatnich. Ci nawet, którzy sformować się potrafili, nie wiedzieli, w jaką stronę się udać i co robić.

Atak był gwałtowny i mało spodziewany. Sformowane oddziały, nie widząc nieprzyjaciela na oko,

nie wiedziały ani w jaką stronę, ani na kogo uderzyć.

Wszyscy nie pomagali, lecz przeszkadzali sobie wzajemnie.

Po kwadransie może huku ze wszech stron i zalewania miasta kulami armatnimi, rozległy się szalone, dzikie okrzyki z dwóch stron—od futorów barskich i od Wasiutyniec. Zdawało się, że się niebo na ludzi wali. Nad miastem, w szarzejącej mgłę poranku, słychać było świst przelatujących kul, trzask i łomot palących się budynków, jęki ludzi, a nad tem wszystkim górowały owe dzikie wykrzyki.

Wtem, jednocześnie prawie, jak na komendę, na grobli wiodącej z futorów barskich i od wsi Wojtaszówki, błysnęły w mgłę poranka szeregi bagnetów, pochylone nieco, które płynęły, zda się, powietrzem, na skrzydłach owego dzikiego ryku.

To piechota szła do ataku.

Na wałach, otaczających zameczek od strony Wasiutyniec i Wojtaszówki, widać było coraz wyraźniej, na różowem tle poranku, olbrzymią postać mnicha, trzymającego krzyż czarny w ręku, zwróconego na działa i kule. Co chwila napływał ku niemu obłok dymu armatniego, albo zasypywały go iskry z burym dymem pożarów zmieszane, a wiatr poranny je rozwiewał, jakby umyślnie pragnął go brzaskiem jutrzeńki oświecić.

Z braku dostatecznej liczby żołnierza pieszego, obrona zameczku stawała się prawie niemożliwą, oddziały więc szlachty, jeden po drugim, wymykały się za miasto i szablą uderzały na piechotę.

Trwało to zamieszanie godzinę może, gdy nad zameczkiem zaszeleściła biała chorągiew...

Bar zdał się na łaskę i niełaskę pana Łowczego.

Co się stało z Olszewskim, z Jurkiem, z Szelepińskim, z ks. Markiem? Nikt na razie nie wiedział.

Widziano tylko, jak Olszewski, na czele swego oddziału, pędził z szablą w rękę na przednie kolumny Apraksyna, które, najeżone bagnietami, czekały jego przybycia.

Na wale zaś zamkowym długą chwilę widać było postać ks. Marka, trzymającego krzyż czarny w ramionach.

Potem nagle tysiąc bagnietów błysnęło na wałach.

Strzelanie ustało w chwili właśnie, kiedy błysnęły pierwsze promienie wschodzącego słońca. Cała masa wojska, wypełniająca ogromną płaszczyznę, rozścieloną między lasem wasiutynieckim a Wojtaszówką i korytem Rowu, wsunęła się do zameczku, rozlokowała się po przedmieściach; na polu pozostały tylko trupy i ranni, o których nie było komu się troszczyć.

Na pobojuwisku znaleźli się także Olszewscy... ojciec i syn.

Stary Olszewski leżał na ziemi i dogorywał. Ręce miał pokrwawione, porąbane, a piersi w kilku miejscach przekłute bagnietem.

Nad nim pochylił się na kolanach Jurek. I on był ranny... niewiadomo od kuli, czy od bagnetu, ale mu z pod rękawa fala świeżej, różowej krwi sączyła się.

Pod wpływem bólu moralnego i miłości synowskiej, sam nie wiedział, co robi. Miał tylko jedną myśl... ratowania ojca. Jak to zrobić?.. Nie wiedział. Machinalnie podkładał ręce pod głowę ojca, ażeby go podnieść trochę, w ramiona ująć i do pierwszej chaty chłopskiej zanieść. Czuł jednak, że mu ciało sztywniało w ręku, szyja się wyprężała.

Ojciec coś szeptać począł. Nachylił się do twarzy jego.

— Daj pokój... Zapóźno... koniec już..

Urywane słowa coraz niewyraźniej składały się i zamierały na ustach. Wpatrywał się tedy w drżenie warg, ażeby z ich ruchu myśli odgadnąć.

Ojciec szeptał coraz niewyraźniej:

— Matka... pamiętaj... ksiądz Marek niech pochowa...

Słońce biło mu wprost w oczy, więc je gwałtownym ruchem otwierał, jakby pragnął wchłonąć w siebie promienie, które ostatni raz odbijały się od źrenicy.

Znowu poruszyły mu się wargi, a Jurek znowu nadśłuchiwać począł, wpatrując się w bladą twarz ojca. Zdawało się mu, że twarz ożywiła się, że się brwi na niej ściągnęły mocniej niż zwykle, że w otworzonych nagle oczach błysnęło uczucie gniewu.

Wtem Jurek poczuł, że ojciec jego rękę mocno ścisnął, a ucisk ten wydał mu się żelazem chłodnym, które nagle obręczem ściągnęło jego mięśnie.

Przypadł do ręki ojcowskiej, pocałował, a ojciec —już nie żył.

Leżał wyciągnięty na zielonej murawie stepo-

wej, nad nim jasny błękit nieba wisiał, słońce szeroką tarczą rozglądało się po pobojuwisku.

Jurek, pochylony nad piersią ojcowską, płakał. Była to pierwsza śmierć, jaką w życiu swoim oglądał zblizka. Patrzył z rozpaczą, pełną bezsilności, której nazwać nie można, jak uchodziło mu drogie życie — a on nie mógł zatrzymać go bodaj na moment jeden; czuł boleść głęboką, bezimienną, smutną... Pierś, której zawsze słyszał miarowe bicie — bić przestała.

Sztywniały powoli wszystkie członki, twarz wypogadzała się: brwi ściągnięte rozchodziły się, prostowały, a na ustach i na czole osiadała pogoda i spokój...

Ból Jurka począł przybierać inną cechę — łagodną, smutną. Przestał płakać — trzeba było coś zrobić. Co? Nie miał na to żadnej odpowiedzi. Obcy w tej stronie — oprócz ks. Marka nie znał nikogo, a jak na toż nie wiedział, co się dzieje z ks. Markiem i z Szepelińskim, który kędyś zawieruszył się w bitwie. Nie wiedział nawet, czy żyją obydwa. Na razie pragnął dostać się do najbliższej wsi, znaleźć jaki wóz i konie i przewieźć tam ojca.

O życzeniu jego — być pochowanym w Bohusławiu, przy kościele, — wiedział. Pragnął więc przede wszystkim złożyć ojca do trumny, a potem przewieźć na Ukrainę. Jak to się zrobi? Nie miał pojęcia.

Na pobojuwisku było cicho. Z rannych, kto tylko mógł, włókł się o własnych siłach albo wprost do Baru, albo do wsi i futorów poblizkich, ażeby tam znaleźć ratunek. Zostali tylko ci, których godziny były policzone. Ledwie dosłyszalne ich jęki nie prze-

rywały ciszy poranku. Latały tylko nad nimi wrony, krakały kruki, żer czując.

Jurek dźwignął się nieco, na kolanach stanął i w wyciągnięty trup ojca wpatrywał się. Słońce w samą twarz sypało mu snopy promieni i złota... na pożegnanie.

Znowu mu oczy nabiegły łzami.

— O śpij... śpij... drogi ojcze... — wyszeptał. Łzy stłumiły mu mowę.

Trzeba się było na coś zdecydować.

Znał jedno tylko miejsce — Bar, ale za żadne skarby świata nie byłby tam poszedł. Na prawo, nad rzeką, błyszczała białymi chatami jakaś wioska: — Nie, nie pójdę! — pomyślał... Ani tam drzewa zielonego, ani przykrycia żadnego. Skierował się tedy wprost do lasu, który miał przed sobą. Za tym lasem były futory Wasiutyńskich, szlachty zagonowej z Wasiutyniec.

W tę stronę tedy chyłkiem podążył.

Z drogi, prowadzącej przez wielki las do Wasiutyniec i Łuki Barskiej, co chwila w prawo lub w lewo odchylały się ścieżki lub drogi, które wiodły widocznie do sadyb i futorów, w głębi lasów rozsiadłych.

Jurek przy każdej ścieżce lub drodze zatrzymywał się, wahał się, namyślał się — i szedł dalej. Niełatwo było zdecydować się, w jaką stronę pójść, nie wiedząc, gdzie zajść można. Był zmęczony, strapiony, zbolały. Upływ znaczny krwi, na który na pobojuwisku uwagi nie zwracał, mając czem innem myśl zajętą, coraz bardziej go osłabiał. Nogi się pod nim uginały; czuł upadek

sił tak wielki, że przysiądać musiał po drodze i pokładać się.

Omdlenie go opanowywało, a w chwilach przytomności, głód uczuwał. Chorym nie był, jeno osłabionym.

Pomimo to wszystko, szedł dalej, zawsze lasem i lasem. Mimowolnie zatrzymał się przed wązką kołową drożyną, przykrytą zupełnie prawie krzakami leszczyzny, a w głąb lasu prowadzącą.

— Pójdę...—pomyślał sobie.—Zdawało mu się, że go jakaś siła na tę drogę popychała. Nie mógł się jej oprzeć, poszedł.

Pół godziny może szedł drogą ową, gdy mu wreszcie pomiędzy graby i jesiony migać poczęły zabudowania futoru.

— Chwała Bogu! — mimowolnie z ust mu się wyrwało.

Natężał wszystkie siły, szedł coraz spieszniej, a tymczasem zdawało mu się chwilowo, że ziemi pod sobą nie czuje: głowa mu się kręciła, nogi drżały, w oczach się ćmiło.

Dążył wprost do obszernej chaty, niby dworku szlacheckiego, przed którym ganek na ośmiu kolumnach z ciosanego drzewa się opierał.

Pod ścianą stały ławki.

Jurek ledwie do tych ławek zdążył, usiadł i zemdłał.

Nie wiedział, co się z nim stało, bo był to przypadek, który go pierwszy raz w życiu spotkał. Kiedy po długiej chwili ocknął się, ujrzał przed sobą kobietę

bosą, ale w perkalikową sukienkę ubraną, która, stojąc przed nim, kwartę miedzianą z wodą trzymała w rękę.

— Zemdliło Waszmości... Proszę trochę wody się napić... — rzekła.

Kwartę mu podsuwała aż do ust.

Jurek parę haustów łyknął i lepiej mu się jakoś zrobiło.

— Toż Waćpan pewnie z pod Baru?

— Z pod Baru.

— Ranny?

— Trochę...

— Zdejm-że Waćpan ten żupanik, trzeba będzie obmyć ranę i przewiązać.

Siwe oczy tej niemłodej już kobiety patrzyły tak łagodnie, tak dobrze, że nie można było nie posłuchać.

Rana była od bagnetu, ale niewielka i bezpieczna. Kobieta mu rękę obandażowała i na temblaku przewiesiła.

— Dziękuję matko... dziękuję... Niech wiem, komu mam dziękować... Jak godność?

Kobieta spojrzała na niego zdziwionem okiem.

— Wasiutyńska jestem przecie... któżby tu mógł być inny?

Mówiła to takim tonem, jak gdyby cały świat miał wiedzieć, że to jest zaścianek Wasiutyńskich.

Wasiutyńska, patrząc na Jurka ze współczuciem, odezwała się:

— Chodźże Waszmość do izby... przekąsić coś trzeba... Tam, gdzie szable w robocie, niema czasu na jadło.

Rubaszne te nieco zaprosiny zmieszały Jurka.

— Dziękuję... dziękuję bardzo...

— Potem Waszmość podziękujesz.

— Ja tu właściwie za interesem przychodzę—
rzekł, wstając z ławki i za panią Wasiutyńską podążając do izby.

— Jedzenie interesowi nie przeszkadza...

Posadziła Jurka za stołem, stojącym w rogu izby, i zakrzętała się koło jadła.

— Muszę jednak Waszmości uprzedzić— mówiła, kładąc chleb, sól, masło na stole—że tu niema z kim mówić o interesie... ja sama jestem w domu.

— Ach, Boże mój! — wyrwało się Jurkowi.

— Mąż mój pojechał z Wasiutyńskimi do Wojtaszówki, a syn w Berdyczowie.

— Cóż ja pocznę!

Wasiutyńska mówiła dalej:

— Mąż pewnie z południa wróci, bo co tam mają robić? Wyliczą sto dukatów, a ks. Marka zabiorą...

Nagle Jurkowi oczy się rozszerzyły.

— Co? Jakiego księdza Marka?

— Juźci naszego... z Baru. Wzięli go do niewoli, ale obiecali wypuścić, jak im sto dukatów położą... Nie było rady... zebrano między panami braćmi sto dukatów i oto mąż pojechał wykupić księdza.

— Niechże Bogu będą dzięki! — zawołał Jurk, mimowolnie ręce składając, jak do modlitwy.

Wasiutyńska ze zdziwieniem przypatrywała się chłopcu, który jadł wprawdzie chleb, ale widać było, że mu jadło z ochotą do gardła nie idzie.

— A Waszmości kto potrzebny do interesu?—
spytała

— Chłop jaki przydałby się mi... cieśla...

— Cieśla? A toż na co?

— Trumnę dla ojca zrobić...

Przy tych słowach, łzy mu ciurkiem z oczu popłynęły.

Wasiutyńska ze współczuciem patrzyła na niego, nie mówiąc ani słowa.

— A gdzież ojciec waści? — po chwili spytała.

— Na pobojowisku leży.

Wasiutyńska przeżegnała się nabożnie.

— Niech mu Pan Bóg da królestwo niebieskie, a ludzie dobrą sławę.

Umilkli oboje. Jurek łzy rękawem otarł.

— Poczekaj Waśc nieco, przyjdzie stary i pewnie ks. Marka przywiezie, to się jakoś na to poradzi.

— Ja jestem krewny ks. Marka — wtrącił Jurek.

— Tem ci lepiej... A tymczasem jedz Waśc... Umarłym spokój duszy, a żyjącym chleb potrzebny.

Wszelkie jednak zachęty pani Wasiutyńskiej niebardzo skutkowały. Jadł mechanicznie, siedział jak na szpilkach, ciągle ku drzwiom poglądając i nadstawiając ucha.

Minęło już południe i słońce dobrze z południa się nachyliło, a panów braci Wasiutyńskich z ks. Markiem jak nie było, tak nie było.

Aż pod sam wieczór echa leśne przyniosły turkot kół z owej drożyny, prowadzącej do sadyby, —

z początku brzmiały one głucho, potem coraz wyraźniej, coraz bliżej.

— Jadą! — zawyrokowała Wasiutyńska.

Jurek westchnął mimowolnie.

— Ach, gdybyż ksiądz Marek przyjechał! — pomyślał sobie.

Pani Wasiutyńska, niecierpliwa i ciekawa, aż na drogę wyszła, a za nią podążył Jurek.

Zdaleka między liście drzewne migał na załomach drożyny wóz. Dolicyli się czterech osób.

— Waścine oczy młode, powinny być dobre... — zauważyła Wasiutyńska. — Czy pewny pan jesteś, że cztery osoby?

— Pewny...

— No, to jest ksiądz Marek, bo pojechało tylko trzech Wasiutyńskich.

Jurek słuchał, ale oczu nie odrywał od wózka, migającego w dali.

— Jest! — wykrzyknął nagle i pobiegł, ile sił starczyło, naprzód.

Ksiądz Marek poznał go widocznie, bo wózek kazał zatrzymać i naprzeciwno niemu szedł powoli.

Nie miał już tej twarzy spokojnej, co onegdaj; malował się na niej smutek, pognębienie, ledwie nie rozpacz.

Oka nie spuszczał z idącego naprzeciwno Jurka.

— A ojciec? — było pierwsze słowo, które wymówił.

Jurkowi zadrgały wargi, chciał coś powiedzieć, a przez łyzy urywanym głosem ledwie wymówić zdołał:

— Zabity!

Ksiądz stanął jak wryty; twarz mu zbielała, oczy szklily się łzami.

— Nie nasze sądy, nie nasza wola, ale Boga— rzekł z pokorą.—Lepsza piękna śmierć, niż głupie życie.

Tuż za nimi podążał wózek, na którym siedzieli Wasiutyńscy.

— Zmówmy, mój synu, Anioł Pański za jego duszę....

Ukląkł na drodze, twarzą zwrócony w stronę Baru; przy nim klęczał Jurek, obok niego trzech Wasiutyńskich z głowami odkrytymi, którzy ani domyślali się, o co rzecz chodzi,—a ks, Marek głośno Anioł Pański za dusze zmarłe odmówił.

Towarzyszyła tej modlitwie tylko cisza leśna, ozłacały ją ostatnie promienie zachodzącego słońca, wdzierając się w gąszcz leśną przez szpary gałęzi, a kosy i sikorki ćwierkaniem swoim wtórowały jej.

Po modlitwie, wszyscy już szli piechotą do domu. Ks. Marek znany tu był wszystkim i znał wszystkich. Otaczali go wielkim mirem, a na pierwszy odgłos, że do niewoli wzięty został, złożyli się na sto dukatów, ażeby go wykupić.

Idąc, rozmawiali o wypadkach, które świeżo zaszyły. Jurek opowiadał ostatnie chwile ojca, o życzeniu jego być pochowanym na ziemi rodzinnej, w Bohusławiu, przez księdza Marka—stąd przeszedł do przyczyny, dla której ojca na pobojuwisku zostawił — i o szczęśliwem spotkaniu się z księdzem Markiem.

Nim do domu doszli, już i postanowienie zapadło.

Trzej Wasiutyńscy, ledwie konie wyprzęgli, wzięli się do siekiery, a że dębowe deski były gotowe, nie minęło godziny, kiedy trumna była zbita—wielka, potężna, silna jak te dęby, które sto lat układały się w jednostajne warstwy, zanim dojrzały i na użytek poszły.

Jurek radby był biedz co rychlej na pobojowisko, ażeby uprzętnąć ciało ojca,—bał się, ażeby je nie wrzucono do wspólnego dołu. Obawy swoje przed księdzem Markiem wyraził.

— Nie obawiaj się, mój synu. Teraz niema komu grzebać umarłych.

Myśl ta szarpnęła go za serce.

— Trzeba czekać nocy... Pojedziemy razem, zabierzemy ojca i pobłogosławimy na wieczny spoczynek kości tych, którzy do spoczynku ułożyli się na stepie. Teraz niebezpiecznie. Gdzie trzeba... tam ryzykować.

Noc wreszcie nadeszła. Położono trumnę na wóz drabiniasty, siedli na nim trzej Wasiutyńscy, ks. Marek i Jurek, i wyruszyli na pobojowisko. Pan Bóg im drogę oświecał. Szeroki księżyc na krawędzi nieba się podniósł i prowadził ich. Jurek drogę zapamiętał dobrze,—jechali tedy prosto do tego miejsca, gdzie na ziemi rozciągnięty leżał Olszewski.

Cicho było, głucho, pośepnie. Nad olbrzymią płaszczyzną, którą ledwie okiem zmierzyć można było, wisały tylko promienie księżyca, od lasu wycie

wilków dolatywało ze szczekaniem psów zmieszane, a daleko, daleko—na krawędzi tej płaszczyzny, mięgały światełka, niby błędne ogniki.

Spokój nocny pokrył skrzydłami swemi zwycięzców i zwyciężonych.

Jurek szedł przodem przed wozem, drogę pokazywał i konie za cugle prowadził. Wreszcie krok poczał wolnić — i zatrzymał się.

— Tu...

Wszyscy stanęli. Wasiutyński podał księdzu kropidło i wodę święconą, która w buteleczce zawsze od przypadku wisiała na sznurku koło obrazów.

Za przykładem księdza Marka, uklękli wszyscy przy trupie Olszewskiego i odmówili ciche modlitwy, a potem ksiądz ciało umarłego pokropił wodą święconą. Zdjęli trumnę z wozu, postawili na ziemi. Jurek klęczał jeszcze i modlił się.

Ksiądz Marek ramienia mu się ręką dotknął:

— Trzeba ułożyć ciało... i wracać.

Trzej Wasiutyńscy stanęli Jurkowi do pomocy, dźwignęli z ziemi ciało, w onej trumnie dębowej ułożyli je, na wóz wsadzili i tu dopiero wiekiem trumny nakryli.

Wszystko to odbywało się w cichości — nikt ani słówka nie rzekł. Słychać było tylko skrzyp trumny lub tarcie się deski o szczeble drabin. Ułożywszy trumnę, cały orszak w milczeniu, bez czapek, wóz otoczył i jakby na rozkaz czekał.

Ojciec Marek stał, twarzą zwrócony w stronę Baru i pobojo-wiska. Smutne myśli i przeczucia kołowały mu się w duszy.

— Ruszajmy ojcie... — odezwał się któryś z Wasiutyńskich.

— Zaraz... poczekajcie...

Znowu kropidło ujął w rękę, odmawiał półszepem jakąś modlitwę i na cztery strony pobożowisko kropił.

— Spokój wam... spokój, wy nieznani z nazwiska, których Bóg wie w jakiej stronie łzy opłakiwać będą...

Urwał... ale nie skończył: nie dosnuł myśli, nie wypowiedział uczuć tych wszystkich, które mu w duszy kłębiły się. Słowa jego dźwięczały, jak modlitwa pogrzebowa... głucho, posępnie, echa nie podawały ich sobie, nie niosły daleko. Tylko trzy siwe pochylone głowy Wasiutyńskich i Jurek słuchał tego pożegnania.

Nikt ani słówka nie przemówił.

Po długiej chwili takiego milczenia, ks. Marek przeżegnał się i do jednego z Wasiutyńskich się zwrócił:

— Jedźmy, ojcie...

Wóz, skrzypiąc, potoczył się powoli do domu; za nim piechotą zdążali ksiądz Marek, Jurek i dwaj Wasiutyńscy, — trzeci konia wiódł.

Trumnę z wozem wtocono do stodoły.

Ksiądz Marek podjął się odwieźć ciało Olszewskiego do Bohusławia i ostatnią posługę przyjacielowi i krewnemu oddać.

Trzeba było jednak parę dni przeczekać, zanim się trochę okolica uspokoi.

Na wspólnej naradzie zdecydowano jednak Jurka wysłać przodem, ażeby się o losie matki i sióstr dowiedział i do nowego ciosu je przysposobił; ks. Marek miał się dowiedzieć o losie Szelepińskiego i z jednym z Wasiutyńskich przewieźć ciało Olszewskiego do Bohusławia.

Jurek jeszcze dzień jeden został na futorze... zbyt był zmęczony, wstrząśnięty tem wszystkim, co przeżył ostatniemi czasy.

Przed wyjazdem, poszedł jeszcze z ks. Markiem do trumny ojca, ażeby przy niej pacierz odmówić.

Po modlitwie, ksiądz Marek odezwał się do niego:

— Przynieś-no mi tu Waśc kawał węgla

Jurek nie zdawał sobie sprawy na co to; poszedł i przyniósł.

Ks. Marek zbliżył się do trumny i na wieku ogromny krzyż czarny nakreślił.

Jurek, pożegnawszy ks. Marka, szczątki ojca i gościnnych gospodarzy, których mu los szczęśliwy spotkać pozwolił, na kresy ukraiinne wyruszył.

XIV

Po wyjeździe Jurka do Baru, nic się nie zmieniło w życiu tej gromadki tułaczy, którą los wyrwał z więzienia hajdamackiego a na stepy i lasy ją rzucił.

Zapas pożywienia, który przypadkowo wpadł im w ręce przy pomocy Jurka, dawno się wyczerpał, — chodzili więc zgłodniałi po stepie, kryjąc się po burjanach i łobodach w dzień, a w nocy przemykali się miedzami na pola, zasiane pszenicą i żytem i wytartem, napół dojrzałem ziarnem, żywili się.

Co się działo na świecie—nie mieli o tem pojęcia, a od nikogo wiadomości zaczerpnąć nie mogli. Nie wiedzieli więc—zarówno o tem, że Bar wzięty, jak i o tem że Humań padł pod nożami charcызów.

Cała jednak okolica nie wyglądała na spokojną, czy uspokojoną,—z kilku drobnych oznak mogli o tem wnosić: nikt nie kosił łąk ani stepów, ani jeden sierp nie tknął zboża, chociaż żyto w niektórych miejscach już dojrzewało. Widocznie nie było rąk do roboty, albo ludzie obawiali się jeszcze wychodzić w pole, ażeby się nie narazić błędzącym tu i ówdzie charcызom.

Czekali więc, w tej pielgrzymce przymusowej, jakiegoś znaku lub wieści—a znaku i wieści nie było.

Tymczasem cierpienia i smutki wzmagaly się.

Trzyletnia prawie dziewczynka pani Czarneckiej, która z babką i matką przebyła szczęśliwie wszystkie stacye cierpień,—od nocnej podróży przy skrępowanej matce do Bohusławia, aż do więzienia w piwnicach ratuszowych, — zachorowała nagle. Chłody nocne i brak prawidłowego odżywiania zakończyły się rozbiciem i znękaniem młodego organizmu. W łachmany owinięta, leżała w ramionach matki, cicha, nieruchoma, apatyczna,—tylko w pe-

wnych odstępach czasu otwierała oczy i ledwie do-
słyszalnym głosem szeptała:

— Wody...

O jadło prosić przestała.

Stan taki niewypowiedzianą rozpaczą nappełnił
matkę, a twarze wszystkich powłókł smutkiem współ-
czucia i żalu.

Dziecko prosiło o wodę, której nie było bliżej,
jak w Hryćkowej krynicy — ale jak tej wody za-
czerpnąć i w czym ją trzymać? Nikt nie miał przy
sobie żadnego naczynia do czerpania, ani butelki.
Zbierano tedy rano rosę z dziewan i w naturalnych
żałomach liści ją przechowywano z wielkim trudem
i wysiłkiem.

Nieraz przychodziło na myśl pani Czarneckiej,
ażeby wrócić do Janówki lub pójść do Bohusławia
i tam szukać pomocy dla dziecka. Ale wyjść z ukry-
cia — to znaczyło oddać się w ręce charcызów, czyli,
mówiąc inaczej, pozwolić dziecku skonać na spisach
hajdamackich.

Ogarnęła ją rezygnacya chrześcijańska, pełna
pokory i niewytłumaczonej, nieusprawiedliwionej
niczem nadziei, — jeden z tych stanów psychicznych
duszy ludzkiej, który nie ma imienia, a graniczy
z jednej strony z niemą rozpaczą, a z drugiej ze
spokojem śmierci.

Dziecko przestało wreszcie i o wodę prosić...
Z początku otwierało usta na znak pragnienia, po-
tem leżało już bezwładne, od czasu do czasu otwie-
rając szafirowe oczęta i wodząc niemi z wyrazem
prośby o litość i ratunek...

Coraz cichsze dziecko matka starannie tuliła do siebie, pragnąc mu cierpienia nagrodzić miłością. Kołysała je... utulała...

— I cóż? — pytała Olszewska.

— Jakoś śpi, mammo...

Dziecko spało... Leżało nieruchome, apatyczne, —nawet oczy przestało otwierać. A matka wciąż je trzymała na rękę, ogarniała łachmanami, ażeby chłód poranny nie zawiał, i kołysała... kołysała...

Zbliżyła usta do czoła, ażeby je pocałować — i nagle z piersi jej wyrwał się krzyk pełen rozpacz:

— Mamo! Nie żyje!

Rozwinęła łachmany — dziecko sztywne już leżało u niej w ramionach. Pochyliła się nad trupem, czołem dotykając twarzy dziecka, i wybuchła tak gwałtownym płaczem, że wszystkie drgania jej serca w jeden jęk się zlewały. Przy niej, siedząc na ziemi, skulona, z rękami opartymi na kolanach, płakała Olszewska, obok niej stał Salomon i szeptał zbiełałymi ustmi modlitwę za umarłych...

Kiedy matka i córka szlochały, nie mogąc bolu utulić, Jasek smutnem, głębokiem spojrzeniem błądził po lazurówem niebie, szukając tego Boga litości i miłosierdzia, którego na świecie nie znajdował...

Bezgraniczny żal objął całą gromadkę tułaczy, dla której szczebiot dziecka był jedyną radością.

Nie było w co ubrać dziecka, nie było świec, ażeby je w głowach jego zapalić...

Narwano trawy świeżej, naznoszono liści dziewanny, miękkich, jasnych, puchem srebrnym omszo-

nych, przyniesiono pęki macierzanki, o szarych, białych łodygach, drobnych listkach, wśród których ma-lutkie, różowe kielichy wyglądały — i usłano łoże w zacisznym kątku burzanów stepowych, pod pniami dziewan i burkanów, pod jasno-szafirowym stropem głębokiego nieba...

Ciała jednak nie można było zostawić bez pogrzebu, chociażby dlatego, ażeby nie sprowadzić gromady wilków, błakających się wśród stepów.

Nasunęło się przeto nowe pytanie: gdzie je pogrzebać?

Chodziło o to, ażeby pogrzebać w takim miejscu, do któregooby z czasem trafić można i ciało przenieść na cmentarz.

Miejsce takie było. O dwie wiorsty może od terażniejszego schroniska tułaczy, była wielka mogiła, zwana Kniaziową. U stóp tej mogiły zdecydowano się pogrzebać trup dziecka.

Wieczorem udali się tam wszyscy. Niebezpieczeństwa nie było żadnego: droga wiodła szczerym stepem, na którym ani pług, ani koła wozu nie powstały nigdy. Drogi nikt im nie potrzebował pokazywać, bo mogiłę o parę mil widać było. Brnęli tedy bezpiecznie w trawie zieonej, tak, że im tylko popiersia wychylały się z pomiędzy kit trzciny stepowej, brzanki, mietlicy, burkanów... Jasny księżyc i gwiazdy oświecały smutną drogę.

Wykopali wspólnemi siłami dół, wyścielili dno jego trawą i macierzanką, i do wiecznego spoczynku ułożyli ciało.

Matka i córka ukłękły do modlitwy.

Kiedy Niedźwiedzica dobrze ku ziemi pochyliła się, zwiastując przybliżenie się dnia, cała gromada tułaczy wyruszyła do swojej zwykłej kryjówki.

Zbliżali się właśnie do niej, gdy uderzył ich widok wozu, w parę koni zaprzężonego, a stąd nowy przestrach, czy kryjówka nie została wykryta. Przy koniach i wozie nie było nikogo.

Przysiedli tedy na ziemi, każdy pod osobnym krzakiem, nasłuchując z jakiej strony szmer ich dojdzie, ażeby w przeciwną uciekać i łamiąc sobie głowę nad tem — coby nowego mógł im ów wóz zaprzężony zwiastować?

Tym wozem przyjechał Jurek.

Był już w Janówce, nie zastał nikogo i domyślał się łatwo, że nie wiedząc o tem, jakie wypadki zaszły, błakają się jeszcze po kryjówkach stepowych, a że znał je, więc też udał się wprost na miejsce, konie z wozem na wszelki wypadek w stepie zostawiwszy.

Jakież jego było zdziwienie, gdy w kryjówce nie zastał nikogo. Różne robił przypuszczenia,—nie wpadł tylko na jedno, że matka i siostra grzebały pod mogiłą Kniaziovą dziecinę.

W głowę zachodził.

Już miał wracać do Janówki. Wtem Maryni przyszło na myśl: może to Jurek? może go ojciec przysłał?

Ażeby na wszelki wypadek nie zdradzić kryjówki innym, podeszła, o ile mogła najbliżej, do dawnego swego ukrycia i zawołała:

— Jurek!

Wykrzyk ten znowu połączył całą rodzinę... na nowe smutki. Jurek dowiedział się, skąd wracają matka i siostry, one dowiedziały się, iż ojciec już nie żyje, że Szelepiński zginął bez wieści, a Jurek przyjechał na pogrzeb ich prosić do Bohusławia, dokąd już pewnie ks. Marek z trumną ojca przyjechał.

Nie było więc czasu do stracenia i wszyscy wsiedli na wóz i do Bohusławia podążyli.

Ksiądz Marek dnim przedtem przyjechał. Zastał zupełną ruinę i pustki. Na rynku i na wszystkich niemal ulicach miasteczka leżały jeszcze nie pogrzebane, na pół rozłożone trupy, lub tylko szczątki ich, przez psy i ptactwo drapieżne roznoszone. Wiatr przysypał je popiołami niedopalonych domów, które czarnemi, zwęglonemi żebrami dawały smutne świadectwo ruinie i zniszczeniu.

Na wieść, że pod Humanem pobici i powiązani zostali charczyzy, ci, którzy uciec zdołali przed nożem pułkownika, wracali do domów, znajdując zamiast domów niedopalone szczątki belek i słupów, a na progu wywalonych drzwi, niedognite szczątki pomordowanych krewnych i znajomych.

Kościołek stał pustką. Na zawiasach żelaznych skrzypiały kawałki porąbanych i rozbitych na drzazgi drzwi i wiodły do wnętrza. Tu dopiero na każdym kroku widać było ślady gospodarowania charczyków: wielki ołtarz porąbany, posiekany, drzwiczki od schowanki z Najświętszym Sakramentem oderwane — kielichy i naczynia kościelne zabrane. Zam-

ki od szaf z ornatami i droższymi sprzętami odbite, szafy i kufry wypróżnione. Złote ramy obrazów poskrobane — widocznie połysk złota wabił i zachęcał tych, którzy złota tylko szukali. Na ławkach kościelnych leżały suche kawałki chleba, cebuli, czosnku — resztki uczty hajdamackiej.

Księdza, ani usługi kościelnej nie było, — czy zdołali ująć, czy padli ofiarą rzezi i hulanki charczyzów — nikt nie wiedział.

Pojawienie się ks. Marka w miasteczku było pierwszym śladem odzycia. Mieszczanie, Żydzi, dzieci, kobiety, chłopci — wszystko to garnęło się do niego ze łzami, ze skargą, ze smutkiem. Wszyscy bez wyjątku potrzebowali pociechy moralnej, pragnęli przed kimś swoje skargi, swoje żale wypłakać, — i oto wśród pogorzeliśk ujrzano wóz chłopski, na nim wielką trumnę dębową, z czarnym krzyżem na wieku, a poprzedzała ją pieszo znana dobrze mieszkańcom Bohusławia, wyniosła postać ks. Marka.

Zanim wóz do kościoła dojechał — już temu niezwykłemu orszakowi pogrzebowemu towarzyszył tłum ludzi.

Wiść o katastrofie w Humaniu i o karze, jaka spotkała charczyzów od generała Kreczetnikowa, była hasłem, zwołującym niedobitków z różnych stron. Wszystko to ciągnęło przedewszystkiem do Bohusławia, instynktownie szukając w każdym miasteczku opieki i bezpieczeństwa.

Orszak pogrzebowy zatrzymał się przed kościołem.

Ks. Marek pokropił wewnątrz wodą święconą, ustawiono pośrodku mary, a na marach stanęła trumna, czarnym krzyżem naznaczona. Po odprawieniu cichej modlitwy przy niej — ojciec Marek z Wasiutyńskim poszli na odpoczynek do pierwszego lepszego, otworem stojącego zajazdu.

Wedle życzenia nieboszczyka, miano go pogrzebać na cmentarzu koło kościoła. Z tym kościołkiem łączyło się całe życie Olszewskiego, pragnął tedy i kości swoje złożyć tam, gdzie go przykuwały najdroższe pamiątki. Na tym cmentarzyku rodziców swoich grzebał, w kościele ślub brał, chrzczył dzieci, a teraz miał być pożegany ostatniem słowem krewnego i przyjaciela na wieczny spoczynek.

Nazajutrz rano Jurek przywiózł do Bohusławia gromadkę janowieckich tułaczy; Salomon i Josesk poszli szukać krewnych, a Jurek z matką i siostrami wprost do zajazdu pojechał, gdzie odpoczywał ks. Marek.

Nie spał już i odmawiał właśnie swoje poranne pacierze, gdy przez okno wóz nadjeżdżający ujrział.

Różaniec za pas wetknął i z izby wyszedł.

Zbliżające się ku niemu kobiety zęgnął krzyżem świętym w powietrzu.

— Pokój... pokój... pokój z wami... — mówił. — Bogu Najwyższemu niech będą dzięki, że was z rąk hajdamackich wyrwał.

Niewiasty cisnęły się ku niemu i ręce całowały. Ksiądz Marek wszystkich za głowę ścisnął i znak krzyża nad nimi robił.

— Chodźcież do izby, moje dzieci...

W izbie rozpoczęły się znowu długie opowiadania o wypadkach, które świeżo zaszły, o hajdamakach, Humaniu, Barze.

— Wszyscyśmy sieroty... Waćpani straciłaś męża, córki i syn ojca, Marynia narzeczonego, ale czeka nas jeszcze cięższa strata, jeżeli nie będzie większego miłosierdzia Bożego i rozumnej obrony...

Po chwili znowu mówił:

— Już się tu wszystko przysposobiło do pogrzebu... Odpoczniecie trochę, potem pójdziemy do kościoła, odprawimy Mszę św., oddamy ciało matce ziemi... i w drogę, każdy do swojej roboty. Muszę oddawszy ostatnią posługę przyjacielowi i krewnemu, biedz dalej, szlachtę ze snu budzić, bo biada jej, jeżeli śpiącą wezmą we dwa ognie.

Potem poszedł do swojej izby, zostawiwszy niewiasty z Jurkiem.

Około godziny dwunastej, zapukał do nich.

— Chodźmy do kościoła — rzekł.

Nie czekał, aż wyjdą i przodem sam ruszył. Kościół coraz bardziej napelniał się ludem; najwięcej było kobiet, starców i dzieci. Kto był w miasteczku, szedł do kościoła. Była to chwila tak smutna, tak ciężka, że kto żył tylko a o Bogu pamiętał, zapominając o różnicy religii, szedł do otwartej świątyni, ażeby wspólnie z innymi złożyć tam swoje skargi i żale.

Ks. Marek odprawił krótką, cichą Mszę, — potem na kazalnicę wszedł.

Stał długą chwilę, okiem wodząc po całym kościele, po tłumie znękanym, obdartym, zbiedzonym, jaki kościół napelniał, wsłuchując się niejako w ciche westchnienia i tłumione łzy modlących się.

Wreszcie przeżegnał się głośno i tak mówił:


— Nie zaczynam przemowy do was, kochani bracia, od słów Ewangelii Świętej, bo nie naukę duchowną chcę wam powiedzieć. Mamy przed sobą trumnę człowieka, któregośmy niedawno jeszcze znali i kochali wszyscy. Dziś ten człowiek jest już na sądzie Bożym. Umarł... prawda, bo żył, powiecie. Prawda święta, umrzeć każdy potrafi. Ten oto, którego tu trumnę mamy przed sobą, umarł nie na łożu śmierci, nie otoczony lekarzami, ale z szabłą w rękę, jak żołnierzowi przystało, walcząc za Ojczyznę. Dobrze jest życie własne szanować, ale wtedy tylko, gdy je pożytecznej pracy poświęcamy, bo inaczej nic ono nie warte.

...Jeżeli przeto wspominał dobre imię tego otoczonego, na którego trumnę patrzymy, to tylko dlatego, ażeby powiedzieć wam, czego Ojczyzna od was wymaga dzisiaj: raczej uczciwej pracy, niż gnuśnego życia. W czasach żyjemy, kiedy maluczcy stają się wielkimi, a wielcy żyją jak karły, nic nie robiąc, potrząsając tylko resztkami łachmanów, pozostawionych im w spadku po wielkich przodkach. Gdzieindziej szukają oni sławy, niż ich przodkowie. Miewała kiedyś Polska Gostomskich, Ostrorogów, którzy ziemię orząc, miłej Ojczyźnie służywali — a cóż się dzisiaj z jej sługami dzieje?

...Smutne nastały czasy. Garlaczów się tylko namnożyło, którzy idą, pokrzykując wesoło, jako by-
dło z dzwoneczkami na pastwisku, ale robotników
uczciwych mało. Trzmielę tylko huczą i trutnie, cu-
dzym się miodem żywiąc. Alboż to tego nie oglą-
damy co dnia?

... „Nie będzie w Polsce dobrze, aż pierwej bę-
dzie bardzo źle“ — mawiali nasi ojcowie i dziado-
wie — i ponoś mieli rację. Kto wie, czy ono złe nie
poczyna się już; wiemy, kiedy źle, bo nas boli, nie
wiemy tylko kiedy złe się skończy. Azaż to niesz-
częściem nie jest, że coraz więcej mamy pośród sie-
bie fałszywych proroków, którzy zamiast siać zgodę
powszechną, sieją tylko niezgodę między bracią
wspólnej matki, jednych przeciwko drugim jątrzą,
a świętych wyrazów: Ojczyzna, lud, wolność, miłość,
używają jako środków do wypychania sobie brzu-
chów. Kupczą niemi, jako kupczykowie, którzy
sprzedają ludziom imbir i pieprz, chociaż nie wma-
wiają w nikogo, jakoby sprzedawali małmazę i cu-
kry. Dla takich opryszków — „to w zysku, co w py-
sku“, acz się do tego, Boże uchwaj, nie przyznają.
Jeden krowę za rogi trzyma a drugi ją doi — tak to
zwykle na świecie bywa.

... Maluczcy są a pyszni, chcieliby przewodzić
wszystkim, a Bóg im po temu nie dał rozumu i cnoty.
Zamiast tedy przewodzić — wicherzą. *Non omnia
omnibus apta*. Nie każdemu w szubce przystoi. Wiel-
ką politykę zostawić trzeba wielkim ludziom, wiel-
kim rozumom. Niejeden byłby dobrym krawcem

The image shows the front cover of an antique book. The cover is decorated with intricate, dark green or black floral and arabesque patterns on a light-colored, possibly gold-leafed, background. The design features large, scalloped medallions and a vertical decorative band on the right side. A circular white label is affixed to the upper right corner, containing the text 'F 834'.

F
834